

Czytelnik  
Warszawa 1979



**Jean d'Ormesson**  
**Przegrana miłość**

Przełożyła Katarzyna Dzieduszycka

Dla Niny przede wszystkim  
i dla każdego, kto zechce.

Kochałam, Panie, kochałam: chciałam, żeby mnie miłowano.

Racine

Miłością nazywam tutaj wzajemną torturę.

Marcel Proust

W sercu ludzkim są nie powstałe jeszcze miejsca, do których cierpienie wchodzi po to, żeby mogły powstać.

Leon Bloy

To, co opowiem, jest najzwyczajszą historią miłości, która mogła być miłością szczęśliwą. Sam nie wiem, czy opisując jej dzieje chcę ją przeżyć raz jeszcze, czy też wymazać z pamięci. Dzisiaj została we mnie tylko łagodna gorycz łzawych wspomnień.

Z pewnością istniałem już przed tą podróżą do Ezymu w tamten letni upalny wieczór. Wielka pustka dzieli mnie dzisiaj od twarzy o zatartych już rysach, od twarzy, która kiedyś kazała mi o wszystkim zapomnieć. Wydaje mi się, że w moim trochę szalonym i prawdopodobnie niedorzecznym życiu, marnując młodzieńcze lata, starałem się zabić czas niecierpliwego oczekiwania na chwilę, w której miała pojawić się miłość i rozpacz, ponieważ szanujących się młodych ludzi nic bardziej nie pociąga niż bezsensowne nadzieje i smutek po ich utracie.

Byłem wtedy chłopcem ani nazbyt głupim, ani nazbyt inteligentnym, ani pięknym, ani brzydkim, ani dobrym, ani złym. Oczekiwałem wszystkiego od życia, a jednocześnie nie chciałem niczego przyspieszać i mniej więcej regularnie dzieliłem czas pomiędzy sen, rozrywkę i pracę. A zatem wieczory w „Champo”, czerwone obicia kawiarnianych krzeseł, noce spędzane nad notatkami, które robił za nas jakiś gorliwy tępak, rano rogaliki, wiosną brzegi Sekwany i pestki z czereśni, które wypluwaliśmy, przesiadując na balustradach. Nie zastanawiałem się wiele ani nad śmiercią, ani nad Bogiem, ani nad sensem istnienia, z którego czerpałem dzień po dniu, nie myśląc bynajmniej, że jest ono zagrożone. Czekalem. Byłem raczej wesoły i zuchwały, z pewną skłonnością do zmiany nastroju. Kobiety traktowałem jako rozrywkę, ale nie starałem się ich zatrzymywać. Trzy razy w tygodniu chodziłem na Sorbonę, gdzie spędzałem większość czasu na ziewaniu. Całkiem już zapomniałem o opuszczonym na zawsze Poitiers. Miałem kilku przyjaciół, ze dwudziestu kolegów, kochanki, gdy tego zapragnąłem, ulubioną restaurację,

mało doświadczenia, niesłychany głód życia i bardzo dużo złudzeń.

Pierwszy raz zobaczyłem Beatrycze bodaj że owego wieczoru, gdy padał ulewny deszcz. Poszedłem do teatru z przyjaciółką - na imię miała Helena - i czekałem na antrakt, żeby móc ją pocałować. Z pocałunkami łączyłem przyjemność milczenia. Nie znoszę wygłaszania między szatnią i bufetem opinii na temat Edypa czy duszy słowiańskiej. A pocałunki to jeden ze sposobów, żeby milczeć.

Właśnie kiedy umilkliśmy, przeszła obok nas Beatrycze, którą znała moja przyjaciółka. Nie przypominam sobie, co o niej pomyślałem. Zdaje się, że nic nie pomyślałem. Zauważyłem, że jest trochę smutna, chyba ciemnowłosa i dość ładna. Wkrótce o niej zapomniałem.

W cztery dni potem było już lato i wakacje. Zrobiło się bardzo gorąco. Wyjeżdżałem do Włoch, znanych mi z opisów Stendhala.

Lato, słoneczna Italia i niebawem miłość: tak, mam skłonność do banału. Moje życie było raczej puste, słabe więzi łączyły mnie z krajem, z rodziną i klasą społeczną, do której należałem, z kolegami i przyjaciółkami. Włochy z powodu słońca wyobrażałem sobie jako ojczyznę miłości. Już we Włoszech, obudziwszy się w pociągu, w kącie przedziału, gdzie przespałem na siedząco całą noc, mimo zmęczenia poczułem, że coś się we mnie narodziło: była to radość; jej pojawienie się w dużym stopniu zawdzięczałem przeczytanym książkom; na młodego człowieka, jakim wówczas byłem, spłynęło po prostu szczęście. Przywarłem czołem do szyby. O tej porze słońce bardzo blade i płaskie nadaje dniom, potem najsłoneczniejszym, wygląd niepewny, jakby znużony, prawie smutny. Mijaliśmy pola, rozległe łąki obsadzone drzewami, ryżowiska zalane wodą. Biała od kurzu droga przecinała żywopłoty, przeskakiwała rzeki. Za drogą, za polami, za ryżowiskami, hen, daleko,

z.cieniów nocy wylaniały się góry. „To są równiny Lombardii - mówiłem sobie zachwycony - a tam są Alpy”. Jeszcze dalej to Bergamon i jeziora, trochę bardziej wprawo - Werona, pałace Vicenzy, a potem Wenecja, Rawenna, Bolonia i Ferrara, Padwa i Modena... Zamknąłem oczy. To było prawdziwe szczęście: rozdziło się z nazw, które jakby dziwnym zrządzeniem losu rzuciły złoto swojego malarstwa, swoją chwałę, swoje mozaiki na cały otaczający je kraj. Szyba, o którą oparłem czoło, była chłodna: miałem nadzieję, że pociąg nigdy się nie zatrzyma; powtarzane w nieładzie słowa przyspieszały rytm serca i dziwną radość odnajdowałem w tym bladym świetle, między chłodem nocy i upałem dnia, w tym uciekającym bezruchu, kiedy w ciche mruczenie wagonów, gdy odliczałem do czterech, włączał się brutalny, oczekiwany i zawsze ten sam donośny stukot kół wtaczających się na nową szynę.

Od dawna stworzyłem sobie własną mitologię, która rozpałała moją wyobraźnię. Lubię wyjazdy, zrywanie więzów, drogę ku słońcu, oczekiwanie czegoś, co ma nadejść. Nie cierpię przywiązania, odpowiedzialności, życia towarzyskiego, robienia kariery. W pociągu byłem naprawdę wolny, bo już wyruszyłem w podróż, a jeszcze nie dotarłem do celu. Jechałem naprzeciw niejasnym nadziejom: były one ogromne, jako że niczym nie ograniczone. Patrzyłem przez szybę i nie snułem żadnych planów, poza tym jednym: chciałem być szczęśliwy. Syciły moją łapczywość nazwy stacji, małe Fiaty na drogach, włoskie gazety, bladoniebieskie niebo, które wkrótce nabierze barwy głębokiego błękitu. Zawdzięczałem to szczęście i poczucie wolności Stendhalowi i Giono. Widziałem kiedyś film pod tytułem „Senso” i neorealizm włoski nie miał dla mnie tajemnic. Wiedziałem nawet, kim był prezydent de Brosses i to, że Montaigne nie znosił prowincji rzymskiej. O, byłem wspaniały! Zaczęła się piękna pogoda i upał. Dzięki Bogu

nikogo nie kochałem i sądziłem, że zdolny jestem każdemu zadać cierpienie. Byłem jeszcze bardzo młody: na tym polegał cały urok.

Upajały mnie filmy, marzenia, literatura. Jedno we Włoszech jest przykre, mianowicie to, że nawet najwięksi głupcy, prowadzeni jakby niewidzialną ręką wśród niezliczonych pamiątek i wśród tylu obietnic, duchowo zaczynają dojrzewać. Widziałem za plecami małych pucybutów i sprzedawców *gelati -wzgórza*, rodzące się pod portykami, madonny wśród skał, widziałem płomiennych w pocałunkach i gwałtownych w miłości neapolitańczyków, mających nieraz coś z okrucieństwa Hiszpanów, pewnie po Borgiach, a zarazem coś z łagodności świętego Franciszka z Asyżu. Nie dręczyły mnie ani skrupuły, ani wyrzuty sumienia, miałem czyste serce i pałającą głowę. Od czasu do czasu pociąg gwizdał. Ludzie słysząc ów gwizd mówili sobie zapewne: „To rzymski pociąg”, i odwracając się na drugi bok, zasypiali jeszcze na dwie godziny. Słońce wznosiło się powoli. O tak, niebo jest coraz bardziej błękitne. Pogoda będzie zdecydowanie piękna. Ogarnęło mnie podniecenie.

Rzymski dworzec wydał mi się uroczy. Biały i wesoły, zbudowany raczej dla przyjezdnych niż dla tych, którzy odjeżdżają. Oczekiwali mnie przyjaciele. Wychodząc na plac doznałem znowu uczucia szczególnego szczęścia, które ogarnia nas w zetknięciu z Italią. Rzym promieniał słońcem. Wysiadając z pociągu postanowiłem, że będę szczęśliwy.

Dzisiaj jestem skłonny sądzić, że wszystko rozpoczęło się na tym placu przed dworcem, między zielonymi taksówkami i gromadą gadatliwych bagażowych. Czuję jeszcze słońce, którego promienie palą mi twarz, słyszę śmiech przyjaciół, doświadczam jeszcze nadziei i oczekiwania, które teraz oceniam jako niejasną i okrutną zapowiedź mojego rzymskiego lata. Ale może ta chwila na

placu, gdy stojąc w słonecznym skwarze zawahałem się przez moment, była taka sama jak wiele innych chwil, zmieszana z tyloma innymi, i może wcale nie doznawałem wtedy tego, co sobie dzisiaj wyobrażam. Przeszłość opowiadamy zawsze z całym bagażem nie istniejącej wówczas przyszłości, zawczasu przypominając sobie jej zakończenie.

Wśród przyjaciół, którzy powitali mnie na dworcu, widziałem tylko Franciszkę, młodą, bardzo piękną kobietę; kiedyś była moją kochanką. Brakowało mi pewności, czy jest nią nadal. Miałem dla niej wiele sympatii. Nie wiedziałem, że właśnie jest w Rzymie. Zobaczywszy ją znowu, ucieszyłem się niezmiernie i natychmiast powiedziałem sobie, że słońce Włoch będzie świecić nad naszą zmartwychwstałą miłością.

Przeszedłem przez plac. Wchodziłem w Rzym. A moje pierwsze kroki na tej ziemi dźwięczą mi jeszcze w uszach jak głos przeznaczenia, oznajmiający, że kurtyna poszła w górę.

Z Franciszką rozstałem się przed wieloma miesiącami. Ale jej nieobecność nigdy nie oznaczała zerwania. Rozstaliśmy się już ze dwa, trzy razy i ponowne spotkania przebiegały zawsze tak łatwo, że aż nas to śmieszyło: nasz ideał życia był bardzo prosty, trochę niemądry, ale dostatecznie przyjemny.

Znajomi przyjechali po mnie samochodem. W drodze do hotelu „Albergo al Grasso de Ua” zabawiałem się odgadywaniem, który z tych trzech towarzyszących nam młodych Włochów jest kochankiem Franciszki. Na Piazza Venezia Roberto rzucił jakieś zuchwałe słówko; na Piazza Colonna Riccardo zrobił wiele mówiący gest. Patrzyłem na Franciszkę uśmiechając się niemądrze, co miało znaczyć, że mam się na baczności. W hotelu żegnając się ze mną powiedziała: „Zadzwoń jutro”. Ucieszyło mnie nasze ciche porozumienie.



Kolację — szynkę i figi — zjadłem sam na tarasie trattorii, naprzeciw kościoła jezuitów, olśniony pierwszym wieczorem spędzonym w Rzymie. Zaślepiła mnie także naiwna młodość, niecierpliwa i niedorzeczna.

Nazajutrz, telefonując do Franciszki, byłem ostrożny, ale równocześnie bardzo spragniony jej widoku. Głos i śmiech Franciszki, bardziej niż słowa, pozwalały mi żywić nadzieję.

Kiedy łączą nas z kimś więzy uczuciowe, porozumiewamy się z nim nie tyle za pomocą słów, co raczej za pośrednictwem pewnej modulacji głosu i nieznacznych zmian w zachowaniu, a przyzwyczajenie i sympatia pozwalają nam odgadywać w tym pragnienie, gniew, niecierpliwość lub oddanie. W moich stosunkach z Franciszką urocze - albo może po prostu zabawne - było to, że owe symboliczne znaki dyktowały nam nasze serca: lekko podniesiona lewa brew, nagle ściszony ton głosu; one to popychały nas na znane nam ścieżki, gdzie czekaliśmy na siebie. Tylko nigdy nie można przewidzieć, czy w tę znowę dwóch serc nie> wedrze się zimna logika słów. O przyszłości myślimy w ciszy. Możemy też wypowiedzieć takie słowa, które każą milczeć sercu. Tak więc niepewność, prawie niepokój mieszały się ze swobodą i łatwością naszych wzajemnych stosunków, jakbyśmy ciągle posługiwali się znakami kodu ryzykując, że możemy łatwo zapomnieć o ich znaczeniu.

Telefon dodawał wiele uroku owym rozpoznawczym zabiegom. Franciszka znakomicie prowadziła grę za pomocą tego mechanicznego przekąźnika, który jest wymysłem diabła wśród niewinnego świata przedmiotów: telefon, gitara i dwuznaczny telegram. Posuwaliśmy się naprzód wilczym krokiem, maskując pożądanie, z ironią w pogotowiu i z pewnym rozczuleniem, ukrywanym przez stojący zawsze na czatach cynizm.

We Włoszech, w tym mieście, w którym byłem po raz pierwszy, w którym nikogo dobrze nie znałem prócz Fran-

ciszki, choć i tak nie bardzo wiedziałem, jakiego rodzaju więzy nas łączą, przeczuwałem, że zaczyna się dla mnie nowe życie, mniej skomplikowane, łatwiejsze, bardziej ożywione, pełne rzeczy nieprzewidywanych i zachwycających.

Umówiłem się z Franciszką w południe przy fontannie Trevi. Wyjaśniła mi, że jest to centrum folkloru, stworzone przez ruchliwe agencje turystyczne dla znudzonych Amerykanek. Wykąpałem się, ogoliłem, przez dobry kwadrans studiowałem plan Rzymu, odwracając go do góry nogami, po czym wyszedłem spokojny, z wysoko podniesioną głową, z rozjaśnionym umysłem, jak przystało pojawiać się w mieście, gdzie nie ma się jeszcze wrogów, którym należy się kłaniać, ani przyjaciół, których należy unikać. Szedłem dość długo, zanim dotarłem do fontanny tryskającej wodą ze wszystkich stron: z kamieni, z posągów koni; jej dno było usiane drobnymi monetami. O niej to wyczytałem w jednej z moich świętych ksiąg, z którymi się nie rozstawałem od dwóch miesięcy: „Gdyby umilkła fontanna Trevi, Rzym pograżyłby się w wielkiej ciszy”.

Franciszka już czekała przy fontannie. Na mój widok uśmiechnęła się i podeszła bliżej. Powiedziałem, że wygląda prześlicznie, że jestem szczęśliwy widząc ją i że miasto bardzo mi się podoba. Były w nas pragnienia i hamowane uczucia, wiedzieliśmy, jaką wartość dodają ukrytej namiętności powolne zabiegi i wystawiona na próbę cierpliwość.

Franciszka posiadała dużą wiedzę. Nauczyła mnie wielu rzeczy, jak na przykład tego, że istnieje sztuka życia, sztuka miłości, oddychania, że czekanie jest umiejętnością, i tego również, że my sami wyznaczamy cenę wszystkiego. Pierwszy raz chciałem pocałować ją w czerwonej taksówce, bardzo już zdezelowanej, prawie kwadratowej. Spodziewałem się, że wybuchnie albo wymierzy mi policzek. Dozwolone były między nami zwyczaje, rzec by

można, nieco słowiańskie, pewne znaki kabalistyczne, dłoń w czarnej rękawiczce unoszona powoli w górę, palce na moich ustach wzbraniające pocałunku, ciepłe wargi, które kpiły ze mnie. Byłem zafascynowany i trochę zamroczony ową magią. Życie z Franciszką przybierało formę czarodziejskiej recepty przeciwko nudzie i banalności wrażeń.

- Tylko żadnych kościołów, ruin, siedmiu *wzgórz*, po kolei ani szwajcarskiej gwardii, ani tajemnic Etrusków - zapowiedziała Franciszka.

Ja natomiast bardzo pragnąłem zwiedzić Rzym. Głowę miałem pełną zabytków, oślepiało mnie słońce, lubiłem ten upał wiszący nad miastem, kolorowe place, tryskające wszędzie fontanny, prążkowane ubrania mężczyzn; miałem ochotę łązić po ulicach bez chodników, kupować *seta pura* i skórzane walizki, popijać kawę *espresso*. To były moje rzymskie wakacje. Chciałem wspinać się po schodach, które zbiegały ku placom, i na sławne *wzgórza* pokryte marmurowymi posągami.

Franciszka nie znosiła malowniczych widoków, lokalnego folkloru i w ogóle turystyki. Wydaje mi się, że lubiła ludzi. Lubiała z nimi rozmawiać, odgadywać ich myśli, rozumieć ich, przede wszystkim lubiła się im podobać: wolała to od oglądania starych kamieni. Nie przepadałem znów tak bardzo za zabytkami, ale wbrew gustom Franciszki zachowałem skłonność do zachwycania się rzeczami, którymi ona z całego serca pogardzała. Mam mianowicie słabość do *wzgórz*, okrągłych placów, małych kościołów, wyrytych w marmurze sentencji, fontann i cyprysów.

- No dobrze, dobrze - powiedziała z westchnieniem. - Chodź, pokażę ci te twoje *wspaniałości*.

W jej głosie brzmiała zrezygnowana serdeczność, jakby pobłażliwie ze mnie kpiła. Wsiedliśmy do dorożki. Franciszka nie była gadatliwa, ale odzywała się czasem zniemacka, nie przywiązywała wagi do drobiazgów, ale cechowała

ją subtelna przenikliwość. Pierwsze zwiedzanie Rzymu odbyło się więc w dorożce zaprzężonej w szpakowatego konia, w towarzystwie kobiety, która umiała żyć.

Spytałem ją, co właściwie robi w Rzymie? To samo, co w Paryżu. A więc dlaczego w Rzymie? Ponieważ zmiana powietrza dobrze na nią wpływa. Zmiana powietrza dla Franciszki to zmiana mężczyzn. Owa skłonność i ciągła rotacja obiektu zainteresowań bawiła mnie, a jednocześnie irytowała. Franciszka posiadała niewiarogodne wprost możliwości konsumowania istot ludzkich. Było to aż przygnębiające. Powiedziałem jej, co myślę na ten temat.

Mineliśmy policjanta, który stał z uroczystą miną, w nieco komicznej pozie, chroniąc się przed słońcem pod wykrzywionym parasolem. Franciszka wzruszyła ramionami. Należała do tych kobiet, które słowem, gestem lub sposobem bycia sprawiają, że nagle zewsząd osaczają nas pytania: zewsząd, ale żadne nie pochodzi od nich samych.

- Ach, Franciszko, tak bardzo chciałbym, żebyśmy w Rzymie byli szczęśliwi - wymamrotałem bardzo szybko i bardzo cicho.

Często chełpiłem się przed sobą brakiem uczuć. Zdarza się jednak, że ulegam pewnym słabostkom, które wbrew woli drażą moją obojętność i beztroskę. Byłem w Rzymie. Panował upał. Patrzyłem na śmiejącą się Franciszkę i w tym mieście pełnym słońca i czyhających niebezpieczeństw byłem skłonny przypisywać jej całą radość, którą miał mi ofiarować Rzym, a przez głowę przebiegła mi wówczas myśl, że jeszcze ciągle ją kocham.

Franciszka знаła mnie dobrze. Często mówiła, że czuje się tak, jak gdyby to ona mnie ukształtowała. Powoli odwróciła się w moją stronę i z pochyloną głową, podniosłszy w górę oczy, spojrzała na mnie.

- Jaki ty jesteś niemądry! - rzekła ze śmiechem. W jej głosie, tak mi się przynajmniej zdawało, dosłyszałem nutę

tryumfu, czułości, coś jakby akcent wesołego okrucieństwa i obietnicy.

Siedzący przed nami dorożkarz okazywał zniecierpliwienie. Od razu zrozumiał, że po raz pierwszy zwiedzam Rzym. Był jakby trochę zasmucony słuchając tego, co mówię, brakiem należytego szacunku dla miasta, które przecież tak gorąco pragnąłem zobaczyć. Trudno mi jednak interesować się bardziej otaczającym mnie światem niż sobą samym. Obrócił się na koźle.

— Koloseum! — zauważył nagle, wskazując ręką najpierw na lewo, potem na prawo - łuk Konstantyna, bazylika...

Odwracałem głowę to w lewo, to w prawo, uśmiechałem się grzecznie i mówiłem niemądrze: „Ach, tak!” z uczuciem niezadowolenia z siebie, zastanawiając się jednocześnie, co jest tego przyczyną. Franciszka sprawiała wrażenie zachwyconej. Przecież tak jak ja, bardziej niż ja, należała do tych, których urzekają tylko istoty ludzkie, natomiast widoki szybko nudzą. Położyła głowę na moim ramieniu i zaczęła nucić półgłosem.

Od sześciu tygodni myślałem jedynie o mojej pierwszej przechadzce po Rzymie. Miałem przy sobie Franciszkę, a Rzym przesuwał się przed moimi oczami jak absurdalna dekoracja. Miałem prawie żal do siebie za nietrwałość uczuć. Marzyłem przecież o Italii Stendhala i Chateaubrianda, a teraz podczas tej pierwszej wędrówki po Rzymie nie umiałem nawet oderwać się od siebie samego. Przypomniał mi się pobyt w Londynie, dokąd pojechałem na zaproszenie jednej z ciotek, żony handlarza stałą w Sheffield, którego wojna nie zdążyła zubożyć. Przyleciałem samolotem, potem jakimś okropnym pojazdem dotarłem do domu przy Kensington Road. Pachniało tam bekonem, środkiem przeciwko molom, panował zaduch nie wietrzonych pomieszczeń, ale już w dniu przyjazdu odkryłem w jakimś kącie dwie powieści Aragona i trzy tomy „W

poszukiwaniu straconego czasu". W ciągu dziesięciu dni przez wszystkie ranki, popołudnia i wieczory, wyciągnięty na kanapie pochłaniałem te skarby. Kiedy po powrocie do Paryża dziadek rozpytywał mnie o Tatę Gallery i o Tower, doszedł bez trudu do wniosku, że jestem idiotą. Podróże do niczego mi nie służyły: było to zawsze i wyłącznie spotkanie z sobą samym. W Rzymie, po którym tyle sobie obiecywałem, opanowała mnie ta sama niemoc: nie mogłem wyjść poza siebie, naprzeciw barwie kamieni, różowym domom, koniom z marmuru, cyprysom, których mimo całego uroku i mimo długiego na nie oczekiwania nie potrafiłem już dostrzec.

- Franciszko, a ci chłopcy, których widzieliśmy wczoraj...? - spytałem półgłosem.

- Tak? - powiedziała Franciszka.

Wyprostowała się i trochę odsunęła, żeby lepiej mnie widzieć. Mój Boże! Jak ją to musiało bawić! Wiedziała już, co mnie dręczy. Jej życie było właśnie takie: dla niej przyjemność, dla innych pytania. Jechaliśmy ciągle naprzód. Dorożkarz przestał się do nas odzywać. Kontemplowałem sam, nieco zgorzkniały, Rzym papieży i cesarów.

- Który z nich jest twoim kochankiem?

Cudowna Franciszka! Zaczęła się śmiać.

- Oto Święty Piotr - powiedziała.

Przejechaliśmy przez most nad szeroką, wijącą się rzeką: to był Tyber. Minęliśmy ogromną, kolistą budowlę; dopiero później dowiedziałem się, że to Zamek Świętego Anioła. Stawiając po raz pierwszy stopę na placu Św. Piotra, głowę miałem całkowicie zaprzątniętą młodymi Włochami, wmawiając sobie jednocześnie, że są mi najzupełniej obojętni - i nie wykluczone, że tak było w istocie. Ale nie mogłem pozbyć się ich obrazu.

Owo pogmatwanie myśli na pewno nie przemawiało na moją korzyść. Ale chcę opisać tutaj rzeczy, które się we mnie dzieją, bez osłonek. Są one niestety kruche i niejasne,

z czasem twardnieją i przeradzają się w uczucia, w pragnienia, w obrazy, swój początek jednak biorą z przypadku, jakby ze śmiesznego kalejdoskopu, którym ktoś szybko potrząsa. W dniu kiedy po raz pierwszy zobaczyłem kolumnadę Beminięgo i Zamek Świętego Anioła, nie znałem dobrze tysiąca legend i mitów, które mieli w pamięć dawni miłośnicy podróży, oglądający te najwspanialsze pomniki historii: na przykład Michał Anioł umierając powierzył swoje tajemnice i dawał ostatnie rady nazbyt śmiałym sukcesorom; albo gdy na rozkaz Sykstusa V w zupełnej ciszy, której zabroniono naruszyć pod karą śmierci, w czasie wznoszenia grożącego upadkiem obelisku na placu Świętego Piotra i ogólnego zamętu wśród robotników, marynarz narażający swoje życie krzyknął „Puszczajcie liny”; albo jeszcze - papież Aleksander Borghia, gdy z wysokości Zamku Świętego Anioła patrzył przez łąki na przesuwaną się orszak żałobny ze zwłokami syna, księcia Gandawy, zamordowanego podstępnie zrozumiał nagle, że to Cezary, jego drugi syn, idący teraz przy marach, własnoręcznie zasztyletował brata, gdyż obaj kochali swoją siostrę Lukrecję tą samą beznadziejną miłością. Te wszystkie wspaniałe sceny znikają pod naporem tańczących mi przed oczyma twarzy, na które patrzyłem dzisiaj. Guido, Riccardo, Roberto: uparcie zadawałem sobie pytanie, do którego z nich należała Franciszka. Tak podróże niewiele przyczyniają się do uszlachetniania umysłów. W tych zasmucających wyznaniach będzie można bez wątpienia dostrzec wyraźne oznaki pożałowania godnej lekkomyślności, ograniczenia, braku kultury lub po prostu zbyt łatwego życia. I chyba tak jest naprawdę. Ale niewiele mnie to obchodzi.

Doprawdy nie umiem powiedzieć, jak dalece kochałem Franciszkę. Sądzę, że byłem lekkoduchem, młodzieńcem beztroskim, często miłym. Nie byłem też głupszy niż inni. Natomiast miałem dziwaczny sposób rozumowania, irytu-

jacy, może nieco wariacki. Godzinami marzyłem o Świętym Piotrze, o Tybrze, o Zamku Świętego Anioła. Więc przecież jestem tutaj; i myślę wyłącznie o tych chłopcach, zastanawiając się, czy kobieta, co do której nie byłem pewny własnych uczuć, należała do jednego z nich. Ciężko znosiłem myśl, że nie posiadam jej całkowicie, że nie znam jej na wskroś.

Nie żyję w harmonii z upływającym czasem: byłem w Rzymie, zanim do Rzymu dotarłem. A o Franciszce prawie nie pamiętałem. Teraz, kiedy tu jestem, widzę urojone problemy. Tłumaczę sobie, że sam stworzyłem Franciszkę, towarzyszących jej chłopców, ten drażniący niepokój, siedząc w konnym pojeździe u stóp Koloseum. Nie potrafię ujarzmić myśli, które nagle zaczynają we mnie kiełkować niby jakieś dziwaczne rośliny. Pojawiają się, żeby wypełnić pustkę w moim umyśle. Może gdybym posiadał serce, nie tworzyłbym tych wszystkich pozbawionych treści widziadeł. Ale moje serce milczało, zanadto kochałem życie; nie miałem serca, miałem słabostki; byłem cyniczny i łatwo ulegałem wpływowi; toteż rodziły się we mnie uczucia błahie i niepohamowane, samowola i okrucieństwo, które pozwalały mi wierzyć, że jak inni mam serce i władam moimi uczuciami. Innych gnębią prawdziwe zmartwienia, ja stwarzałem je sobie wyciągając z nicości coś absurdalnego i bolesnego, co nagle stawało się obecne i bardzo szybko przybierało ogromne rozmiary.

Franciszka patrzyła na mnie.

- O czym tak rozmyślasz, kochany Filipie?

- Ja? - powiedziałem - O niczym.

Mój Boże! Te głupie odpowiedzi! O niczym. O wszystkim. O rzeczach nieważnych. Jakże dobrze rozumiem, czym jest pokusa, aby widzieć ludzi takimi, za jakich się podają, ograniczając się jedynie do obserwowania ich, do sądzenia po czynach, bez wkraczania w sferę tego, co porusza wewnątrz. Wszystko tam zbyt niejasne, zbyt nieu-



chwytne, niewyraźne i niepotrzebne. Niewyraźne? Ależ nie, przeciwnie, wyraźne przez tyl\*» setek słów, przez twierdzenia zguune i niezgodne, co, raz wypowiedziane, nadają tej galaretowatej masie idei i uczuć całą konsystencję. Czułem się ciągle tak, jakbym wkraczał na nie kończące się bezdroża. Kochałem Franciszkę. Nie kochałem jej. Byłem w Rzymie. Nic mnie tu właściwie nie obchodziło. Byłem zazdrosny lub obojętny, sentymentalny lub cyniczny, rozsadzało mnie szczęście i po brzegi wypełniała mnie literatura. Cieszył mnie sam fakt życia, a potem ogarniało mnie dziwne zniechęcenie. Wydawało mi się, że wszystko, moje uczucia, moje życie, moje związki ze światem i z innymi wygrywam w kości, nie mając przy tym nigdy pewności, czy to ja sam nimi rzucam.

- Przebac mi, Franciszko - powiedziałem. - Wszystko się we mnie jakoś dziwnie gmatwa.

Może byłem tylko zmęczony podróżą. Możliwe również, że pragnąłem jej, niepewny wzajemności. Franciszka знаła ten niespokojny wir błahych uczuć, które mną zawładnęły. Nie wiem, co myślała na temat naszej znajomości. W każdym razie nie była jej niemiła. Lubiła to, co ją intrygowało. Bawiła się moją słabością ukrywaną pod pozorami cynizmu. Wsiadając z dorożki, wzięła mnie za rękę. Poszliśmy w stronę kościoła.

- Nie denerwuj się - powiedziała tonem ironicznym.

Złościł mnie ów sposób traktowania. Nie podobało mi się, że Franciszka, bo tak to wyglądało, wykorzystuje niepokój mojego serca, aby zyskać nade mną ukrytą przewagę, co zresztą - tak przynajmniej sądziłem - sprawiło jej przyjemność. Wziąłem ją w ramiona i pocałowałem.

Kiedy rozpamiętuję pierwszą przejażdżkę po Rzymie, przypominam sobie bardzo wyraźnie pięć początkowych punktów, do których odwołuje się moja pamięć: fontanna Trevi, olbrzymi krąg Koloseum, most na Tybrze i Zamek Świętego Anioła, kolumnada Berniniego - tam wymieniam

liśmy pocałunki. Wyobraziłem sobie kamerę filmową posuwającą się tuż za nami: film przedstawiałby Koloseum, rzekę, dorożkę, młodego mężczyznę i młodą kobietę: ona ma włosy prawie czarne, lekko skośne migdałowe oczy, ubrana jest w letnią sukienkę, śmieje się ukazując olśniewająco białe zęby. Pocałunek przed Świętym Piotrem. Ale gdyby ktoś zapytał o sens tych obrazów, skąd nagle powstały, co proponują, nie umiałbym na to odpowiedzieć. Nie wiedziałem tego wówczas i nigdy nie będę wiedział. Byliśmy obecni przy kręceniu filmu i nie tylko, gdyż spojrzenia, wypowiedane słowa, wykonywane ruchy, pocałunki — wszystko z nas się rodziło i było nami. Dziś jednak patrzę na nie jak na owe rozrzucone, milczące zabytki, które są świadectwem historii. Wśród kamieni biegną nici podtrzymujące chwiejne hipotezy: „To objaśnienie jest słuszne, ale tamto drugie wydaje się słusniejsze...” Wokół zdarzeń minionych, wokół prymitywnych, uchwyconych przez kamerę obrazów, snuje się opowieść mająca odtworzyć przeszłość. Dozwolone jest więc wszystko, co relacjonuje każdy ruch, każdy gest, wszystko, co się wydarzyło.

Może byłem zazdrosny o włoskich przyjaciół, którymi otaczała się Franciszka? Może naprawdę kochałem Franciszkę? A może chciałem przekonać się, czy nasze dawne więzy są jeszcze równie mocne, jak to mogło wynikać z porannej rozmowy telefonicznej? Może wreszcie, w tym nagłym, trochę niepoważnym i prawie niewyraźnym smutku, który ogarnął mnie przed chwilą, kiedy stałem naprzeciw Koloseum i myślałem ubawiony, że samo Koloseum nie jest winne owemu strapieniu i że stulecia dzielą kult wielkich pamiątek od śmiesznych spraw zaprzatających moje myśli, szukałem czegoś trwałego, do czego mógłbym się przywiązać? A to właśnie odnajdywałem we Franciszce. Miłość budząca zazdrość narusza własną równowagę. Całując Franciszkę może chciałem tylko prze-

zwyciężyć osamotnienie i smutek bez przyczyny, umykający czas, pustkę życia w tym niezmiennym świecie, w którym wszystko zawsze się rozpada. Kłopotom serca towarzyszy często nieokreślona melancholia i w niej chyba należy szukać może nie prawdziwej, lecz w końcu prostej i nieskomplikowanej przyczyny. A ułuda miłości daje poczucie szczęścia nie tylko dlatego, że usuwa owe kłopoty, ale także dlatego, że równocześnie usuwa całą gorycz i ohydę, którą zdążyły wydrążyć. Całując Franciszkę mówiłem sobie, że moje rzymskie wakacje będą równie szczęśliwe, jak się tego spodziewałem. Przyszłość nigdy nie jest ani całkiem sprzeczna z naszym wyobrażeniem o niej, ani całkiem taka, jaką chcielibyśmy ją widzieć.

Teraz, kiedy pocałowałem Franciszkę, świat stał się znowu przejrzysty, a skoro Franciszka należała do mnie, cały Rzym do mnie należał. Czulem jej ramię przyciśnięte do mojego ramienia, wdychałem znany zapach jej perfum. Wydawało mi się, że nareszcie wszystko znalazło się na swoim miejscu. Miałem w perspektywie Rzym i trzy słoneczne, radosne miesiące.

Postanowiliśmy nie jeść obiadu. Spod kolumnady Berniniego wychodziliśmy cofając się tyłem, żeby móc dłużej ją oglądać. Jeszcze dziś słyszę, jak Franciszka mówi do mnie: „Filipie, pierwszy raz spacerujemy razem po Rzymie”. Powiedziała to tak, jakby zapowiadała krok baletowy albo jakby odczytywała rebus. „Filipie, pierwszy raz spacerujemy razem po Rzymie”. Te słowa otwierały nowy rozdział w historii naszej miłości bez wątku, która to wznosiła się, to opadała i gasła.

Wzięliśmy taksówkę. Mój Boże, jakie to było piękne! Wychyliłem się przez okno. Teraz dopiero zacząłem oglądać Rzym. Telefon nie kłamał. Co za radość wędrować z taką kobietą jak Franciszka, po mieście pełnym lata, wzgórz i posągów zalanych gorącymi promieniami słońca. Przejechaliśmy przez okrągły plac, ciągle mijaliśmy koś-

cioty: Rzym był dla mnie tylko nazwą, która kryła w sobie inne nazwy, jak zwinięte losy, beładnie wrzucone do kapelusza. Ale cóż to za nazwy, Franciszko! Spiewały we mnie jak obietnica szczęścia.

- Czy pójdziemy na Kapitol, Franciszko?

Tak, pójdziemy na Kapitol.

- Czy wiesz, jak się nazywa każde z siedmiu wzgórz, Franciszko?

Nie, nie wiedziała, nie chciała wiedzieć. Ja znałem wszystkie. Powtarzałem je sobie po cichu. W Rzymie, u boku Franciszki, wracałem jakby do starych, bardzo odległych wspomnień, wspomnień z dzieciństwa i młodości: szkoła, pierwsza miłość.

W Paryżu byłem mniej naiwny i mniej skłonny do entuzjazmu. Sprawiało mi pewną przyjemność, gdy między ulicą Saint-Jacques i des Ecoles udawałem cynizm, który skądinąd był tylko odrobinę mniej śmieszny niż rzymski entuzjazm. Poczucie obcości, słońce, osamotnienie, odnaleziona Franciszka-ach! i te nazwy-wszystko to unosiło mnie jakby poza mnie samego. Przebiegła jak zwykle Franciszka powtarzała owe nazwy, pojąc nimi, niczym niewinnym i okrutnym nektarem miłości, moją zachłanność: termy Karakalli, Pałac Torlonia albo Rospigliosi, Villa Doria-Pamphili, Santa Maria Aracoeli, San Giovanni a Porta Latina, Fontanna Żółwi. . Słuchałem tych tajemniczych słów, które dostojną radością wypełniały wszystkie wspomnienia, wszystkie obietnice serca.

Wysiedliśmy z taksówki: parę kroków pod górę i weszliśmy do ogrodu, po którym długo spacerowaliśmy. Nie wiem, dlaczego byłem przekonany, że to ogród Boboli. Gdzieś słyszałem tę nazwę i wyobraziłem sobie, że jesteśmy, Franciszka i ja, w ogrodzie Boboli. Często tak bywa, że coś, co istnieje tylko w naszej wyobraźni, staje się dla nas czymś realnym. Dzieci zwłaszcza tworzą sobie często przedziwne pojęcia o przedmiotach lub miejscach. I te

błędne pojęcia zachowują przez czas dłuższy, nieraz przez miesiące albo przez całe lata. A potem pewnego dnia rozdziera się nagle zasłona i dojrzewające dziecko raptem orientuje się, że jednorożec to zwierzę, a nie kapelusz z piórami, że Malabar to prowincja w Indiach, a nie ogromna dzika świnia. I wówczas świat ulega natychmiastowej reorganizacji, a wiele rzeczy, przez długi czas nie wyjaśnionych, znajduje wreszcie swoje wytłumaczenie. Przypominam sobie, że w ciągu miesięcy, przemierzając codziennie ulicę Madame, widziałem ją jako dwie odrębne ulice: mogłem je opisać, sklep po sklepie, dom po domu. Pewnego dnia pod wpływem jakiejś rozmowy zastanowiłem się, czy rzeczywiście są dwie ulice; tam gdzie powinna być jedna. Udałem się na miejsce, żeby sprawdzić: moje dwie ulice okazały się jedną ulicą Madame, którą tak często chodziłem i która w moich oczach zmieniała swój wygląd w zależności od kierunku mego marszu: idąc pod górę odbierałem inny jej obraz niż wtedy, gdy schodziłem w dół.

A więc spacerowałem z Franciszką w Rzymie po ogrodzie Boboli, po ogrodzie, który znajdował się we Florencji. Był to uroczy spacer. Rozmawialiśmy o sprawach aktualnych, patrzyliśmy na całujące się pary. Małe dziewczynki grały w piłkę. Zakochani przybierali tragiczny wyraz twarzy i po chwili wybuchali śmiechem. Mężczyźni byli ubrani w białe koszule i szare garnitury w wąskie paski. Kobiety miały piękne twarze. Byłem spokojny i szczęśliwy. Nie dręczyła mnie już nietrwałość rzeczy. Tryb życia, jaki prowadziła Franciszka, odpowiadał mi pod każdym względem, skoro pozwalał jej czekać na mnie latem w stolicach pełnych ciszy i gwaru. Mówiłem jej: „Dziękuję, Franciszko, dziękuję, Franciszko”. Śmiała się. To był piękny spacer.

W parę dni później, rozmawiając z Franciszką, odkryłem wreszcie prawdziwą nazwę mojego ogrodu Boboli

spacerowaliśmy po Pincio. Rozbawiła mnie ta historia. Tłumaczyłem ją złudzeniem miłosnym. A ponieważ nasza miłość, tak już dawna, pałaca się teraz nowym płomieniem, nie miała jeszcze nazwy, postanowiliśmy ją ochrzcić. Znaleźliśmy dla niej ładne imię o podwójnym brzmieniu, jak dla starych miast, którym możliwość zmiany tożsamości nadaje atmosferę swobody i święta: była to nasza miłość od Boboli albo miłość od Świętego Marcina.

Przez osiem, może dziesięć dni na nowo powoływałem tę miłość do życia. Co dwa, trzy wieczory Franciszka znikła. O nic jej nie pytałem. Jak zwykle była słodko-zgryźliwa, dowcipna i czasem okrutna. Parę razy w kawiarni lub restauracji kłaniali jej się mężczyźni. Nie wątpiłem, że ma kochanków. Zastanawiałem się, czy ta świadomość mnie irytuje. Teraz, kiedy należała do mnie, byłem spokojniejszy niż podczas przejażdżki dorożką, gdy nagle ogarniał mnie nieokreślony smutek, będący może wyrazem zazdrości. Pewnego dnia zaproponowała, abyśmy nazajutrz zjedli obiad w towarzystwie trzech młodych Włochów, którzy przyszli razem z nią po mnie na dworzec i którzy tak bardzo zakłócili mój spokój w Watykanie przed Św. Piotrem. „Jeśli nie masz nic przeciw temu...” - powiedziała Franciszka. Nie, nie miałem nic przeciw temu. Raczej bawiła mnie myśl o wspólnym posiłku. Franciszka zadała pytanie, jak zawsze tonem jednocześnie przymilnym i bezlitosnym, z udawaną nieśmiałością i przekorą. Ten jej ton budził we mnie niezmiennie mieszane uczucia, zainteresowania, tklivości, a także rozdrażnienia, lecz właśnie one przywiązywały mnie do niej jeszcze mocniej.

Muszę tu ujawnić jedno małe dziwactwo, którego pewien ślad daje się zauważyć i w tym opowiadaniu. Pomoże to wyjaśnić niektóre subtelne dłuźzyny lub nieco przesadny opis. Jak wielu młodych ludzi w moim wieku pisałem powieść. Dostarczało mi to miernego zadowolenia, a nawet przysparzało wiele niepokoju, równocześnie zaś było powodem, a w każdym razie stwarzało alibi do kontynuowania trochę pustego życia, jakie postanowiłem prowadzić. Dlaczego pisałem? Chętnie bym odpowiedział: z nudów, ze słabości, dla rozrywki albo coś w tym rodzaju. Z pewnością nie myślałem, że mam spełnić jakieś posłannictwo lub że mam do rozwiązania jakiś życiowy problem. Za nic miałem posłannictwa i życiowe problemy. Pisałem raczej dlatego, że czasem drażniły moją ączęśliwą beztroskę

irytujące myśli, napawając mnie niepokojem. Były to uczucia z gatunku tych, jakich doznałem stojąc przed Koloseum lub gdy przechadzałem się pod kolumnadą Berniniego. Zdawało mi się, że jeśli je wyważę, zmniejszy się ich szkodliwość i zamiast zniknąć w niepamięci, zostawiając po sobie gorycz i niezadowolenie, mogą, przeciwnie, stać się usprawiedliwieniem.

Przyjąłem więc zaproszenie Franciszki w bezsensownym przekonaniu, że nie należy unikać miłosnych podniet. Postępując w ten sposób sami prawdopodobnie wychodzimy naprzeciw najgorszym kłopotom, nieraz konkretnym zmartwieniom, a nawet klęskom życiowym. Przypominam sobie, że gdy byłem jeszcze dzieckiem, czekałem z pewnym zniecierpliwieniem na pożary, wojny, rewolucję i zagładę. Natomiast obawiałem się najbardziej trwałości Uczuć i niezmaconego szczęścia. Powiedziałem sobie, że spotkanie z włoskimi przyjaciółmi Franciszki powinno objawić mi cuda.

Spotkanie z trzema Włochami nie objawiło mi absolutnie niczego, a jednak ów obiad odmienił moje życie; co prawdą w sposób tak zawiły, że nie dałoby się niczego przewidzieć. Wróżka czy anioł stróż mogliby, ukazawszy się na moście, gdy około południa przechodziliśmy Tyber, ostrzec mnie przed przyszłością i wspólnym obiadem, zapowiadając nadchodzące nieszczęście, które nie byłoby już dla mnie zaskoczeniem. Ale ja tę zapowiedź potraktowałem natychmiast jako przestrożę przed moim związkiem z Franciszką. Przewidywanie przyszłości nie na wiele się zdaje. Przyszłość w momencie przekształcania się w teraźniejszość traci barwę i znaczenie, jakie nadawały jej chwile oczekiwania, obawy, nadzieje, a także to, co już minęło. Przeznaczenie zaskakuje nas nawet wówczas, gdy poznaliśmy już jego główne linie: bo niewyczerpane są tajemnicze zasoby serca, upływającego czasu i spotkań ludzkich.



Mieliśmy zjeść obiad w małej restauracji naprzeciw kościoła Santa Maria in Trastevere. Plac przed kościołem był uroczo wytworny. Na środku przy fontannie bawiło się dwoje jasnowłosych dzieci, opodal stała czerwona Alfa Romeo, panowała atmosfera odświętna, wielki ożywiony spokój. Usiadłem na krawędzi fontanny, przenikała mnie do głębi świeżość tryskającej wody. „Żeby tylko nie przyszli” - powiedziałem d& Franciszki. Ledwie zdążyłem skończyć zdanie, a już wysiadali z zielonego samochodu.

Jedzenie było wyśmienite i obiad upłynął w wesołym nastroju. Osławieni trzej Włosi wydali mi się bardzo sympatyczni. Prawie z żalem zauważyłem, że Franciszka zadowolona nie darzy specjalnymi względami. Poczułem się trochę oszukany, pozbawiony rzadkich emocji, którymi oczekiwałem. Prawdopodobnie przynajmniej z jedną sypiała, chyba z Riccardem, bo był najprzystojniejszy, ale - tłumaczyłem sobie - sprawa pozbawiona jest z pewnością dalszego ciągu. Mówiłem sobie również, że mogłem więcej uwagi poświęcić kolumnadzie Berniniego.

Kończyliśmy już prawie obiad, gdy nagle przy stoliku z naszymi plecami usłyszałem rozmowę prowadzoną francusku. Odwróciwszy się zobaczyłem młodą, dość ładną osobkę w biało-niebieskiej sukni. Zrazu jej nie poznałem. Musiałem skupić się chwilę, szukając po omacku w pamięci znanych mi twarzy i szeregując je według danych. Nareszcie znalazłem: to była dziewczyna, którą spotkałem w teatrze w Paryżu przed wyjazdem do Rzymu. O niej dobrze pamiętam, miała na imię Beatrycze.

Czasem jeszcze wymienia ktoś przy mnie tę nazwę Santa Maria in Trastevere. Spotykam ją również w książkach. Jest to stary rzymski kościół naprzeciw dobrej restauracji. Jedni rozprawiają o restauracji, drudzy o kościele. Ja wiem o nim prawie wszystko. Dawniej było tu schronisko dla inwalidów wojennych, które następnie ciarsz Aleksander Sewer odstąpił papieżowi Kalikstowi

ten zaś w roku 222 wznosił tu pierwszą zachodniochrześcijańską świątynię. Według przewodników całość budowli pochodzi z XII wieku, portyk został dobudowany w 1702 roku przez Car la Fontanę. Chlubą kościoła jest olśniewająca mozaika, umieszczona w głębi absydy. Została wykonana w 1140 roku na żądanie Innocentego II, przedstawia Matkę Boską i Jezusa. Pod sklepieniem inna mozaika w malowniczych scenach obrazuje życie Marii. Jak mówią poważne prace, autorem jej był uczeń Giotto, malarz rzymskiego, a z nią wielkiemu malarstwu włoskiemu. Santa Maria in Trastevere jest ważnym zabytkiem, a miejsce, jakie zajęła w moim ubogim życiu, warto jest tego, jakie zajmuje w Historii.

Po powrocie z Rzymu do Paryża jeszcze długo szukałem letnych do rozmowy o tym kościele. Nigdy nie wykazywałem zbytniego zainteresowania starą architekturą. Rozmówców zadziwiała teraz moja żądza poznania. Z żarliwym upodobaniem ludzi, którzy naprawdę coś kochają, lodawali mi mnóstwo szczegółów dotyczących kościoła Santa Maria in Trastevere: „Kościół ten, zabytek...” Udałem rozszargnięcie, gubiłem się w toku rozmowy. „Jaki zabytek? - pytałem. - Czy ten, który znajduje się...” „Ależ nie, przecież mówimy o Santa Maria in Trastevere...” [I powtarzano mi raz jeszcze tę uroczą nazwę. Upajało mnie jej brzmienie, mogłem słuchać bez końca. Santa Maria in Trastevere, Santa Maria in Trastevere, Święta Maria na Trastevere.]

W końcu znalazłem lepiej niż ktokolwiek historię tego kościoła. A przecież chodziło tylko o to, że tam spotkałem Beatrycze. Drżałem na myśl, że mogłoby się to wydarzyć w lokalu Weplera lub Pruniera przy ulicy Traktir. Narazony byłbym wówczas na studiowanie jakże nędznych obiektów. Na szczęście odnalazłem Beatrycze na jednym z najpiękniejszych placów w Rzymie, naprzeciw starego kościoła.

ciola z mozaikami, które godne są największej czci. T; ki zasób dostojęstwa czyni wspomnienia tym boleśniejsze.' Zdradzieckie poczynania papieży-artystów, malarz vallini, fontanny Rzymu.

Widziałem Beatrycze nie po raz pierwszy, ale spotkanie w teatrze utkwiło mi w pamięci dzięki spotkaniu rzymskiemu. Powieści i filmy często ukazują moment nagłego zetknięcia się dwojga istot, które potem będą się kochać. W starych niemieckich i rosyjskich filmach wzburzenie rysuje się na twarzach bohaterów, widzi się je od razu. Krystyna Szwedzka czy Anna Karenina z nieznaną twarzą od pierwszego wejrzenia odczytują cały swój przyszły los. Ale spotkanie, od którego wszystko bierze początek, niekoniecznie musi być spotkaniem pierwszym. Czasem przy pierwszym spojrzeniu nic się nie widzi. Kiedy zobaczyłem Beatrycze w paryskim teatrze, niczego nie przeczuwałem. Gdybym nie spotkał jej po raz drugi, zapomniałbym o niej zupełnie, to pewne. Dzisiaj, oceniając fakt z perspektywy czasu, wiem, że nic nie znaczące i puste spojrzenia rzucone w teatrze stały się zalążkiem tego, czym miała być, czym była nasza miłość.

Ale ważna jest nie chwila, lecz miejsce, w którym rodzi się miłość - nikt bowiem nie wie, w jakim przychodzi momencie. Ważne jest więc to miejsce, gdzie Beatrycze i ja odkryliśmy siebie, podobnie jak pewnego dnia docierając do jakiegoś brzegu odkrywamy nieznaną kontynent. Tym, a nie innym miejscem jest restauracyjka w Rzymie właśnie naprzeciw kościoła o tak pięknej nazwie. Chwila, w której - przez nieznaczne sygnały rozpacz i nadziei wyrażane mową, wzrokiem, dotknięciem ręki, uśmiechem - zawiązuje się wątek i drogocenna nić porozumienia, która potem przerodzi się w solidny związek - zawsze budzi we mnie podziw i cierpienie. To, co się wówczas rozgrywa, wydaje mi się sensem życia, naszego życia na ziemi, ofiarowanego nam może przez przypadek, lecz jeden raz na zawsze-

Zdarzało się, że byłem świadkiem spotkań między mężczyznami i kobietami, nie znając nawet ich nazwisk. Widok samotności nagle zerwanej, zanurzającej się z nadzieją w bezprzymiotne szczęście, ale często i w nieszczęście, wydawał mi się piękniejszy niż wszystko inne. Zdarzało się i tak, że znajdując się w towarzystwie dwudziestu osób patrzyłem zafascynowany, z biciem serca, cierpiąc tysiączne męki (zawsze te szalone porywy serca) i dostrzegając to, czego inni, a nawet tych dwoje nie mogło dostrzec, a więc zdarzało się, że byłem obecny przy pierwszym spotkaniu kobiety, którą ja kochałem, z mężczyzną, którego ona miała pokochać.

Tego dnia nie wiedziałem jeszcze nic o mojej miłości do Beatrycze. Romeo w tragedii Szekspira, kiedy spotyka Julię, zakochany jest w Rozalindzie. Miłość uderza często najmocniej w serca już kochające. Okropny i jednocześnie pełen pociechy jest fakt, że wszystko, co się o miłości mówi, ma swoje znaczenie. Stąd wygłaszane o niej sentencje sprawiają nieraz wrażenie bardzo trafnych i głębokich: wszystko- staje się możliwe, wszystko jest prawdą od momentu, gdy mówi się o tym nadzwyczajnym wzruszeniu opromieniającym serce. Miłość wierna jest prawdą; zdrada w miłości jest prawdą; miłość jedyna jest prawdą; wodospady miłości często też są prawdziwe. Prawdą jest, że jeśli ktoś kocha, świat cały przestaje dla niego istnieć. Miłość jednak bywa okrutna i czasem łatwiej jest pozbyć się wspomnień i przelać znane już przeżycia na kogoś innego niż wytrwale rozpalać serca nieczułe. Jak ciało, kiedy osłabione nie znajduje siły do dalszej walki, tak kobieta lub mężczyzna wyczerpani jedną miłością gotowi poddać się miłości gorętszej. Zaobserwowałem, że często wielka tkliwość albo po prostu miłość fizyczna przyciąga nowe przeżycia. Mówiąc o miłości, nie chcę stawać po stronie przypadkowych przeżyć ani też po stronie owego tajemniczego olśnienia czy prostego szczęścia, które płynie

ze wzajemnego porozumienia. Może tylko zaufanie do siebie samego pozwala nam widzieć wszystko w różowych barwach i czuć się swobodnie w przyjaznym otoczeniu. W każdym razie tego dnia odnajdując Beatrycze byłem w dobrym nastroju i życie wydawało mi się łatwe.

Chciałbym uniknąć ciągłych dygresji, ale każde wypowiedziane słowo przywołuje wspomnienia i stawia sercu pytania. „Jednakże w dniu, w którym po raz drugi spotkałem Beatrycze...” Uczucia, o których się mówi, nigdy już nie są tak silne, jak wtedy, gdy przeżywało się je w milczeniu. Czas natomiast, upływający między zdarzeniem i opowiadaniem, dodaje im blasku, ale i zniekształca je. Czy to dawne szczęście będące zapowiedzią i poprzedzające miłość nie nosiło już jej ciężkiego brzemienia? Czy nie jest już boleśnie napiętnowane kresem, przyspieszając go zarazem? Żeby nigdy nie skłamać, należy żyć po prostu. Ale sekretne zamiary, to, co sobie wyobrażamy, tłumione wspomnienia, wszystko, czego nie mówiąc oczekujemy, wszystko, co sobie przypominamy nie wyjawiając tego otwarcie, niszczy tę nieosiągalną prostotę. Zostawmy przeto słowom ich dwuznaczną i oszukańczą rolę. Ujrzałem znowu Beatrycze i byłem szczęśliwy, że ją widzę.

Kiedy przeprosiwszy Franciszkę zbliżyłem się do jej stolika, poznała mnie od razu. „Pan jest przyjacielem Heleny” - powiedziała. To była prawda. Nagle przypomniałem sobie, że Helena i ja zobaczyliśmy Beatrycze, kiedy w ulewnym deszczu całowaliśmy się na bulwarze Bati-gnolles przed teatrem Hebertot. Coś okropnie nudnego było w tych nie kończących się pocałunkach. Helena... o niej zupełnie zapomniałem.

W Poitiers mieliśmy starego wykładowcę, który nieustannie mówił nam o Laplace'ie, o tym, że gotów był jakoby znając dane układu słonecznego, przewidzieć kolejne fazy rozwoju świata. Ale najzawilsza fizyka jest mniej skomplikowana niż miłość najbanalniejsza i najbardziej powszed-

nia: otwiera nam ona inny świat, w którym ciało i duch splecione tańczą z sobą przedziwny balet i w którym sprawy nieprzewidziane stają się koniecznością. Kto może wywrotzić z pierwszego uśmiechu, z pierwszych słów, jakie kobieta kieruje do mężczyzny, czym ona będzie w przyszłości dla niego? Odniosłem wrażenie, że Beatrycze przywitała mnie życzliwie. Może Helena mówiła jej coś na mój temat. Może sprawiałem sympatyczne wrażenie? Może nudziła się w towarzystwie starszych od siebie i nie interesujących czterech przyjaciółek? Albo wreszcie może lubiła ze wszystkimi rozmawiać? Ta ewentualność najmniej była pociągający.

Przyznaję, że możliwość pokazania Franciszce, że jestem zdolny do rewanzu za jej przyjaźń z trzema Włochami, sprawiała mi przyjemność. Otóż w tym momencie, bez wątplenia myśląc już o Beatrycze, jeszcze myślałem o Franciszce. Namietność, wkraczająca brutalnie, niweczy równowagę stosunków między ludźmi. Wykorzystujemy wówczas jednych przeciwko drugim i na odwrót. A potem nagle świat kurczy się do jednej tylko osoby. Przedstawiłem Beatrycze. Franciszka zachowała się uprzejmie, a Włosi byli nadskakujący. Potem nadeszła pora rozstania. Jest taki moment, w którym o losach spotkania decyduje kilka wypowiedzianych słów, czyjeś nagłe odejście, budząca się nadzieja albo obietnica oddania. Spytałem Beatrycze, czy ma telefon. Nie, nie miała telefonu. Nie odważyłem się podać jej mojego numeru ani też prosić, by zatelefonowała. Widziałem, że Franciszka spogląda na nas ironicznie. Na całe szczęście Beatrycze zapragnęła nagle zwiedzić Santa Maria in Trastevere. Obiad skończyliśmy bardzo późno. Otwarto właśnie kościół. Zaproponowałem Beatrycze, żebyśmy go zwiedzili we dwoje. Cztery przyjaciółki, umówiwszy się z nią na wieczór, wstały od stolika. Jeden z Włochów musiał wrócić do biura. Dwóch pozostałych zaproponowało Franciszce, że odwieżą ją do centrum,

gdzie miała do załatwienia parę sprawunków. W ten sposób w ciągu paru minut zostałem sam z Beatrycze. Staliśmy teraz oboje, Beatrycze i ja, naprzeciw fontanny, twarzą zwróceni w stronę kościoła.

Nie znajdowałem niczego, co mógłbym jej powiedzieć. Wiemy dobrze, że przyjaźń może zarówno narodzić się z milczenia jak i z wypowiedzianych słów. Powiedziałem uśmiechając się, że musimy bliżej się poznać, aby móc z sobą rozmawiać.

- Chętnie poznam pana bliżej - powiedziała Beatrycze - ale wcale mi nie zależy na mówieniu.

Stała oparta o fontannę. Zanurzwszy jedną rękę bawiła się wodą. Patrzyłem na nią urzeczony.

Miała niewielką głowę, jasnokasztanowe włosy, duże usta, niezwykle białe zęby, bardzo wąskie dłonie i zielone oczy patrzące ze spokojnym zdziwieniem. Nie przyszło mi na myśl porównywać ją z Franciszką; ale pomyślałem, że Franciszka spogląda zawsze z boku oczami w kształcie migdałów, Beatrycze natomiast patrzyła prosto dużymi oczyma pełnymi zdziwienia. Była niższa od Franciszki i patrząc na mnie podnosiła głowę do góry: może właśnie ten ruch dodawał jej twarzy wyrazu oczekiwania, niemal zażenowania i podziwu.

Gdy weszliśmy do kościoła, Beatrycze przeżegnała się. Dotychczas niewielu znałem ludzi pobożnych. Na chwilę uklękła. Z zadartą głową przyglądałem się sklepieniu czekając, aż wstanie. Podniosła się ruchem statecznym. Beatrycze brała życie poważnie, ze spokojem, bez pośpiechu i z namysłem, a równocześnie z pogodą i żywością, które tryskały wprost z każdego jej gestu. Oglądaliśmy mozaiki; mówiłem trochę o Giotto, o którym niewiele wiedziałem, a także o Padwie i Asyżu. Powiedziałem, że trzeba kiedyś pojechać do Asyżu, jest to bowiem najczciodsze miejsce na świecie. „Może wybierzemy się razem” - powiedziałem. Słuchała. Mój Boże, jak ona potrafi-

ła słuchać! Kiedy wyszliśmy z kościoła, oślepiło nas słońce. Nie było to już słońce południowe, było to słońce wieczorne. Ale świeciło jeszcze mocno, zalewając plac łagodnym i żywym blaskiem. Znowu nastąpiło krótkie wahanie. Beatrycze nie odzywała się. Stała nieruchomo pod portykiem kościoła. „Powietrze jest teraz dużo łagodniejsze” - powiedziałem. Uśmiechając się odwróciła ku mnie głowę: była jak to wieczorne słońce, pełna łagodności i spokoju, a równocześnie pełna życia. Powiedziałem jej o tym. Wypadło trochę śmiesznie. Nastął jeden z owych decydujących momentów, w którym na pozór nic się nie dzieje. Czekaliśmy. Patrzyłem na Beatrycze. Chyba milczałem; wypełniało mnie szczęście i spokój. Beatrycze czekała, żebym się do niej odezwał, żebym podjął decyzję. Właśnie wtedy, na samym początku zazyłości, w milczeniu i oczekiwaniu nawiązują się mocne i czułe związki między dwójgim ludzi, którzy nie znając się jeszcze dobrze, nie wiedząc nic o swojej przeszłości, potem dopiero zgromadzą we wspomnieniach wiele szczęśliwych chwil, ale także wiele rozczarowań i smutku.

- Jeśli miałaby pani ochotę... - powiedziałem. Owszem, miała ochotę. - Wieczór spędzimy razem.

- A pana przyjaciele?...

Co tam przyjaciele! Pomyślałem, że Franciszka też może na mnie zaczekać. Ta obopólna zgoda była już jakby sekretnym porozumieniem, obietnicą szczęścia.

Opuściliśmy kościół. Beatrycze położyła rękę na moim ramieniu.

- Dokąd pójdziemy? - spytałem.

- Dokąd pan chce.

W podróżach pociągające jest to, że wystarczy szeroko otworzyć oczy, aby odczuwać przyjemność i podniecenie, których w życiu codziennym dostarczają nam jedynie książki, niektóre filmy oraz niewielkie grono przyjaciół. Szczególnie w mieście takim jak Rzym nie potrzebowaliś-

my gonić za wrażeniami. Wystarczało po nim chodzić. Przeszliśmy plac i odwróciliśmy się, żeby rzucić ostatnie spojrzenie na fontannę; ruszyliśmy w kierunku Tybru.

Po drugiej stronie rzeki zgubiliśmy się wśród małych gwarnych uliczek. O czym rozmawialiśmy? Prawdopodobnie o wszystkim i o niczym. Spytała mnie, kim jest Franciszka. Odpowiedziałem, że przyjaciółką, lecz tonem fałszywie dyskretnym, którym posługują się mężczyźni, aby móc jednym strzałem trafić w dwa cele, na równi schlebające ich głupiej próżności. Z jednej strony uśmiechem, z wystudowanym wahaniem dają jasno do zrozumienia, że przyjaciółka, o której mowa, w rzeczywistości jest ich kochanką; z drugiej zaś przez wykwiną i pełną sztuczek delikatność uważają się za ludzi godnych największego szacunku. Powiedziałem więc: „przyjaciółka”, z wewnętrznym zadowoleniem. Beatrycze nic na to nie rzekła. Znaleźliśmy się przed kościołem II Gesu. Spacerowaliśmy długo. Beatrycze nie przepadała za barokiem. Kapitol i Forum, jak na nasz gust, były zbyt poważne, via Appia za daleko. Wsiadliśmy do taksówki, żeby dojechać do placu Hiszpańskiego.

Plac Hiszpański, Trinita degli Monti, a przede wszystkim łączące je schody, na równi może ze Św. Onufrym i kościółkiem San Giovanni a Porta Latina, do którego wrócę w tym opowiadaniu, są miejscami w Rzymie najdroższymi mojemu sercu. Plac ma kształt podłużny. Niektóre sklepy, najelegantsze w mieście, usytuowane są wzdłuż via Condotti, wychodzącą na plac z boku, naprzeciw schodów Trinita degli Monti. Z głębi placu wybiega via del Babuino, której nazwa śmieszyła Beatrycze. W górze, nad schodami, niedaleko kościoła Trinita degli Monti, wznosi się Villa Medicis, a dalej osławione Pincio, gdzie spacerowałem z Franciszką. Usiedliśmy na kamiennych schodach nagrzanych jeszcze upałem dnia. Wraz z otaczającymi nas turystami i studentami odpoczywaliśmy na najpiękniej-



szym placu świata. U dołu, na wprost fontanny ugięły się pod ciężarem kwiatów stragany. Na górze schody rozszerzały się, jakby z dwóch stron zamierzały zaatakować dwie masywne wieże kościoła Trinita degli Monti.

Powietrze, światło, kamienie miały kolor miodu. Łagodny róż mieszał się z blaskiem prawie nie do zniesienia. Beatrycze siedziała, grzecznie podkurczywszy nogi, ze złączonymi kolanami. Obok nas przeszedł sprzedawca lodów. Miała na nie ochotę. W nieruchomym powietrzu, w upale wieczoru ofiarowałem jej ten mały chłodny obelisk z truskawek i wody.

Siedzieliśmy długo, patrząc, jak narastający cień zagarnia słońce. To miarowe i powolne przesuwanie się cienia było czymś nieskończenie smutnym, a zarazem uspokajającym. Bładła ochra na domach. Ogromne parasole na placu nagle się zamykały. Studenci wstawali, zabierając swoje okrycia, i odchodzili. Na plac Hiszpański w Rzymie, na Trinita degli Monti wstępował nowy wieczór.

Mówiłem Beatrycze rzeczy najprostsze w świecie. O Rzymie opowiadałem to, co wyczytałem w książkach. Tłumaczyłem widoki przesuwane się przed naszymi oczyma. Pokazałem jej palmę u góry na prawo od schodów, objaśniałem obeliski z umieszczonymi na szczycie posągami świętych lub inne, sterczące na grzbietach słoni, co nadawało wiecznemu miastu wygląd niemal egipski bądź orientalny. Opowiadałem jej historie o Rzymie, którym początek dały fontanny lub resztki marmurowych płyt odgrzebywane przez uczonych starców. Dość sprytnie manewrowałem legendą trzech tysiącleci, nasycając słońcem Italii opowieści o zabijakach i buntownikach.

Beatrycze słuchała uważnie. Schody pustoszały, cień nieustannie posuwał się naprzód. Rozbrzmiały dzwony na wieżach.

— Nie jest pani głodna? - zapytałem.

Gdzie ja miałem głowę? Oczywiście, była głodna. Mówi-

łem jej o Colonnach i Barberinich, a ona marzyła o makaronie po bolońsku. Wstaliśmy, by ruszyć dalej.

Mój Boże! Jaki Rzym był łagodny w ten letni wieczór, gdy szło się ulicami bez chodników, z tryskającą zewsząd wodą, z warkotem skuterów, z nie milknącym gwarem, spokojnym >żywieniem, Rzym osnuty jakby kokonem upału. Spytałem Beatrycze, czy nie jest przypadkiem zmęczona. Ale przecież ten spacer był jak piosenka: chodziliśmy po obcym mieście, młodzi, nikomu nie znani, i dookoła było pięknie.

\ Do szczęścia, które nas pochłoneło, niemało przyczyniały się także marzenia. Nasza wiedza o otaczającym świecie była nieduża, a obserwacje niedokładne. Od czasu do czasu jednak uderzała nas jakaś nowa nazwa, widok jakiegoś domu, nieznany zapach. Wtedy przystawaliśmy. „O, czy słyszy pan, niech pan patrzy, proszę się zatrzymać, czy czuje pan ten zapach?...” Tak, byliśmy w Rzymie we dwoje, młodzi, dookoła nas było pięknie. Powiedziałem już raz: moja opowieść jest banalna.

Weszliśmy z powrotem w szerokie aleje. Na rogu jednej z nich znajdował się placyk przyrównywany niezmiennie przez głupich turystów do „dekoracji teatralnej”. Wszyscy tak twierdzą jednomyślnie i nie bez racji: głupcy często miewają rację. W głębi znaleźliśmy małą restaurację, na oko bardzo przytulną. Trattoria San Vicente tonęła w zielonych pnączach roślin opadających zewsząd na stoły wystawione na zewnątrz, na butelki z winem oplecione grubą rafią, na kelnera, jowialnego olbrzyma. „Zostańmy tutaj” - powiedziała Beatrycze. Wzięliśmy kartę i Beatrycze zaczęła ją czytać, umyślnie zacinając się i wpatrując w nią. Tłumaczyłem jej wszystko, co dotyczyło makaronu, podobnie jak wtedy, gdy mówiłem o obeliskach. Śmiała się. Czulem się zadziwiająco dobrze. Teraz byłem daleki od tych wszystkich skomplikowanych spraw serca, które mnie zaprzętały po przyjeździe do Rzymu. O jakich skom-

plikowanych sprawach serca mówię? Ależ nie, one nie istnieją. Nie ma żadnych komplikacji sercowych: serce po prostu bije, jest wesołe albo smutne, szczęśliwe lub nieszczęśliwe. Wydawało mi się, że w obecności Franciszki zewsząd wylaniają się problemy. Siedząc naprzeciw Beatrycze nie myślałem o problemach; myślałem o makaronie, który podano, o kolorze nieba i o wielkim, kojącym szczęściu, które miałem w sobie.

Beatrycze mówiła. Stawiała naiwne pytania. Chciała wiedzieć, co robię. „Piszę powieść” - odpowiedziałem. Spojrzała na mnie okrągłymi oczyma. Wypełniło mnie dziecinne zadowolenie. „Powieść! Jakie to zabawne! A czy trudno jest pisać powieść?” - klaskała w dłonie, oczy jej błyszczały. Zacząłem trochę pogardzać sobą. W tym pyszałkowatym samozadowoleniu widziałem mój powierzchowny charakter, którego z całej duszy nienawidziłem. Byłem jednocześnie szczęśliwy i nieszczęśliwy: szczęśliwy z powodu tego, co mówi Beatrycze, z powodu jej dziecinnego zachwyty, który był mi tak potrzebny; nieszczęśliwy, ponieważ to właśnie stanowiło o moim szczęściu. Ale zadowolenie pochłoneło wszystko inne, oblało mnie jak woda, było jak kąpiel w mleku, jak delikatny olejek do nacierania ciała. Wypełniała mnie słodka błogość. Pisałem powieść i byłem w Rzymie. Nie groziło mi ani bankructwo, ani gruźlica, ani rak, ani chciwość, ani bigoteria. Byłem młody. Podziwiała mnie piękna dziewczyna. Myśl o powieści (napisanie każdej linijki przyprawiało mnie o straszliwe męki), a także<sup>1</sup> myśl, że satysfakcja, jaką z niej czerpię, jest daleka od moich ambicji, owe myśli były obecne gdzieś w mglistym zasięgu mojej świadomości, ale na razie musiały czekać, ustępując miejsca ogarniającemu mnie szczęściu.

Widzę jeszcze siebie siedzącego na tarasie trattorii San Vicente w pamiętny lipcowy wieczór. Widzę wpatrzoną we mnie, mówiącego, Beatrycze. Jej podziw wzrasta. Jest to

forma budzącej się miłości'najwcześniejsza, a także najgwałtowniejsza. Czuję jej obecność, ale nie widzę jej w żadnej konkretnej sytuacji, dostrzegam jakby tworzącą się mgłę - albo-nie: raczej słyszę, niż widzę, jakby głos, który się rwie. I znowu rośnie we mnie pogarda do siebie. Czyżbym udawał? Nie sędzę. Po prostu patrzę, jak żyje. Coś gra we mnie, ale nie w sensie gry aktorskiej. To jakby głos puszczonej w ruch dawno nie używanej części skomplikowanej maszyny. Ciągłe obserwuję siebie. Między Beatrycze z ciała a Beatrycze z ducha nie sposób wcisnąć małego palca, nie przeleci między nimi najlżejsze tchnienie. Ona żyje i kocha życie. Patrzę na nią, kiedy je, oddycha, kiedy przenosi wzrok na otaczające przedmioty i jak raptem czemuś się dziwi. Boże mój, jakże jest naiwna! Boże mój, jakże jest poważna! Na naszej wadze jej szala przeważa.

Wszystko zostało zapisane tego wieczoru. Sprawy, które się pojawiają, z pewnością nie z przypadku wzięły początek, lecz właśnie dlatego nie uwolnią się nigdy od przeszłości, w której dojrzewały, ani od spojrzeń i słów, które je nagle wyłoniły. Rodzą się co chwila, w momencie, który je poprzedza. Gdy piszemy powieść, każdy nowy wiersz, każde nowe zdanie coraz lepiej objaśnia zarówno postacie bohaterów jak i samego autora, otóż podobnie jest z dwójgim ludzi, którzy się spotkali, i każde wypowiedziane słowo z góry określa i definiuje krzywą ich wzajemnych stosunków. Zawsze podejrzewałem, że pierwsza wymiana spojrzeń jest w pewnym sensie decydująca. Spojrzenia na wszystko się godzą albo się od wszystkiego odwracają. Nie wiadomo ponadto, czego są zapowiedzią. Patrząc jednak wstecz, widzimy w naszej przeszłości wątek logiczny.

Beatrycze podziwiała mnie od pierwszego wieczoru. Od pierwszego wieczoru również pozwalałem się podziwiać. To, co opowiadam, rzadko przemawia na moją korzyść. Niech więc tylko szczerłość moich wypowiedzi za mną

świadczy. Przez zniekształcony rysunek charakterów i reakcji próbowałem powiedzieć mniej więcej wszystko, co się mogło wydarzyć. Oczywiście, jeśli z kolei Beatrycze czy Franciszka opowiadałyby ową historię, to sądzę, że byłoby liemożliwością doszukać się w niej tych samych zdarzeń. Chciałbym jednak, aby ta nieunikniona deformacja była jak najmniejsza, a w każdym razie nie może mnie ona usprawiedliwiać. Opisuję wypadki z przeszłości, które w moim przekonaniu naprawdę się wydarzyły. A więc jestem pewny, że Beatrycze pokochała mnie tego właśnie wieczoru.

Lubię być kochanym. Później powiem, jak bardzo. Szczególną przyjemność sprawia mi budząca się czyjaś wyłączna uwaga, która powoli przywiązuje się do mnie i pozwala mi żyć intensywniej. Jak widać, nie jest to piękna cecha. Można zawsze żywić nadzieję, że spodobamy się komuś nowemu. Kiedy jestem w towarzystwie ledwie poznanej osoby, przede wszystkim próbuję zadziwić ją lub rozbawić. Mniej wysiłku zadaję sobie z ludźmi, których spotykam codziennie. Te zabiegi szybko mnie wyczerpują, trochę przez okazywaną mi obojętność, a także przez brak wybitnych ku temu zdolności. Zrobiłem wszystko, żeby spodobać się Beatrycze. Może za czarno maluję własny niecny obraz. Wynika to stąd, że wciąż jest mowa o przeszłości: nigdy o przyszłości ani terażniejszości. W chwili obecnej nie powodują mną żadne ukryte intencje. Na pewno nie planowałem uwiedzenia Beatrycze. Ale egoizm i nieczułość, obie te cechy dostatecznie zastępują złe intencje.

Owe moralne refleksje w tym samym stopniu są nieznośne dla mnie, co nudne dla czytelnika. W pamiętny lipcowy wieczór w Rzymie, proszę mi wierzyć, nie miałem sobie nic do zarzucenia, ani egoizmu, ani obojętności. Z całym spokojem rozkoszowałem się pierwszym szturmem miłości, w którym brała udział Beatrycze.

Kelner przyniósł świeże sinoróżowe figi. Wyborne. Sam ich wygląd, jeszcze przed skosztowaniem, sprawia przyjemność. Rozmawiałem, pochyliwszy się nisko nad stolikiem. Rozkręciłem się trochę. Nie kłamałem. Mówiłem o rzeczach, które zaprzatają umysły i serca w godzinie, gdy

noc tłumi wrzawę dnia. Czułem w sobie wielki spokój, któremu towarzyszyło gorączkowe podniecenie. Opowiedałem coś, robiłem krótkie przerwy, upijałem łyk wina, podnosiłem wielką butlę i z kolei dolewałem do kieliszka Beatrycze. Zastłaniała go dłonią mówiąc: „O, nie, dziękuję, upiję się”. Śmiała się cicho, rumieniąc się, udawała raczej, że się rumieni. Bo i jej kokieteria dziwnie mieszała się ze zwykłą u niej szczerością.

Poczęstowałem ją papierosem i wyciągnąłem rękę, żeby jej podać ogień. Płomień oświetlił twarz Beatrycze. Pochyliłem się i od jednego płomienia zapaliliśmy nasze papierosy... Tę scenę widziałem niedawno na filmie. Wieczór już zapadł i z ledwością mogłem dostrzec jej twarz. Słyszałem własny głos, który mówił o życiu, o słońcu, o rzadkich przyjemnościach i o wielkich nieszczęściach. Potem umilkłem patrząc na nią i znów się odezwałem: „Wie pani co, Beatrycze, niech pani nie słucha tego, co mówię. Jestem przekonany, że nie należy mnie słuchać. Nie jestem z tych najlepszych”. Z minuty na minutę ustępowała coraz bardziej. A przecież mówiłem całkiem szczerze. Jakim więc kłamstwem jest szczerość!

Potem, o wiele później, ani kłamstwo, ani szczerość nie będą już mogły niczemu służyć. Wówczas jednak chciałem zakłócić porządek *rzeczy*, przeciwstawić się temu, co przynosi czas, i dlatego stawiałem opór tajemniczemu biegowi uczuć i namiętności. Pamiętnego wieczoru wszystko, co mówiłem, obracało się na moją korzyść, wszystko służyło mojej osobie, od koloru nieba począwszy, na kelnerze skończywszy. Niewyraźalny i niejasny przyływ doznań  
1 myśli znaczy trwałym piętnem dalszy ciąg jednej godziny,

jednego dnia lub jednego wieczoru: wówczas wszystko przybiera pomyślny lub niepomyślny obrót. W ten wieczór miałem znakomite samopoczucie, a ponadto niebo było mi przychylnie.

Jakże jesteśmy silni, zachowując się naturalnie. Jakże jesteśmy słabi, kiedy się do czegoś zmuszamy! Mówiłem tylko to, co przychodziło mi do głowy. A serce Beatrycze przy każdym słowie powoli ustępowało. A przecież zakochani szaleńcy, chcąc zmusić obiekt swych żarliwych zainteresowań do uległości, udają obojętnych, cnotliwych lub - przeciwnie - nicponi; łatwo odkryć ich podstępne zabiegi: pod pozorami obojętności i cynizmu kryje się często człowiek z góry dotknięty rozpaczą albo poczciwy, sentymentalny młodzieniec.

Ja mówiłem to, co miałem ochotę powiedzieć. Mówiłem nawet prawdę. Grałem niewątpliwie też jakąś rolę, ale robiłem to dla zabawy. Nie chciałem niczego ukrywać. Wszystko było mi dane, gdyż byłem silny. A kiedy powiedziałem Beatrycze: „Proszę się strzec, nie jestem szczery” - znalazłem się w kręgu, w którym szelmostwo zmienia pojęcie prawości, a niewinność jest zawsze udawana. Wiedziałem, że z tego kręgu, gdzie władałem ja sam, nie tają niczego, ale niemniej bawiąc się szczerością, Beatrycze nie mogła łatwo się wydostać. Powiedziałem, że może dokonam kiedyś wielkich rzeczy.

- Jakich wielkich rzeczy?

- Tego jeszcze nie wiem - odpowiedziałem.

Tak, to było trochę śmieszne. Oczy na pewno błyszczały mi gorączkowo. Siedziałem pochylony do przodu. Straciłem kontrolę nad sobą, dziwiło mnie brzmienie mego głosu. Zastanawiałem się nad tym, co mówię, i cieszyło mnie, że Beatrycze słucha. W takich chwilach jawi się czysty sens życia, a człowiek sam sobie wydaje się wspanialszy; jest to również chwila, w której dokonują się wielkie zbrodnie. Moja zbrodnia była mała: uwodziłem Beatrycze.

Owego wieczoru w Rzymie, jedząc świeże figi w towarzystwie Beatrycze, rzeczywiście wierzyłem, że dokonam wielkich rzeczy. Miłość szybko upaja. Ogarnęły mnie dziecinne marzenia. Przesuwałem ręką po blacie stołu, dłonią ku niebu, które przybrało teraz kolor głębokiej czerni, jakby po to, by gwiazdy mogły jaśniej świecić. Beatrycze powoli położyła dłoń na mojej dłoni. Uścisnąłem ją lekko, nic nie mówiąc. Myślałem tylko: „Trzymam w mojej ręce dłoń kobiety”. Serce biło mi mocno. Beatrycze, jak okręt, powoli szła na dno. Powiedziałem: „Wydaje mi się, że idzie pani na dno”. Określenie było zabawne. Ponieważ postanowiłem mówić całą prawdę, powiedziałem jej, że jestem rozbawiony, gdyż mówić o kimś, że „idzie na dno”, jest śmieszne. „Tak, to śmieszne” - odpowiedziała. Ale nie śmiała się. Mocniej uścisnąłem jej rękę, po czym szybko cofnąłem swoją, żeby zawołać kelnera i poprosić o rachunek.

Nie należało teraz zwlekać, należało czym prędzej zgubić się znów w ruchliwym mieście. Szliśmy obok siebie w milczeniu, bez celu. „Wsiądźmy do dorożki” - powiedziała. Wskoczyliśmy do przejeżdżającego fiakra.

Beatrycze rzuciła dorożkarzowi nazwę, której nie znałem. „Dokąd jedziemy?” - zapytałem. „Zobaczy pan, do miejsca, które bardzo lubię”.

Nie wiedziałem, jak mam się zachować i o czym mówić podczas drogi. Nie miałem odwagi wziąć jej w ramiona; nie miałem też ochoty odzywać się po to, by powiedzieć na przykład, że - podobnie jak w układach geologicznych - można odkrywać w Rzymie kolejne nawarstwienia cywilizacyjne. Milczałem, Beatrycze również. Końskie podkowy uderzały w ciszę nocną. Przejechaliśmy plac Wenecki i jechaliśmy znowu wzdłuż Forum; mineliśmy Koloseum, które wydawało się teraz potężniejsze i bardziej niepokojące niż w blasku dnia. Wjeżdżaliśmy teraz na wzgórze, o ile wiem, było to wzgórze Caelius. Kiedy zbocze stało się



zbyt strome, dorożka zatrzymała się. Dalej poszliśmy pieszo.

Droga tworzyła jakby wąski korytarz. Po lewej stronie znajdował się ogród, skąd unosił się mocny, nagrany słońcem zapach. Weszliśmy na mały plac; po prawej stronie wznosił się kościół. Ogrodzenie dzieliło plac na dwie części, odgradzało kościół od lewej strony; można było tam wejść przez furtkę otwartą o tej porze. „W nocy często jest otwarta - powiedziała Beatrycze. - Byłam tu już kiedyś”. Przed kościołem stała okrągła studnia z potrójnym ocembrowaniem. Cembrowinę wymurowano z grubych kamieni. Ze studni wyrastał cedr. Kościół był dość stary i bardzo piękny. Został chyba niedawno odrestaurowany. Z boku wznosiła się dzwonnica z różowej cegły; cztery lub pięć stopni prowadziło do drzwi kościoła. Przystaliśmy na cembrowinie studni. „To jest San Giovanni a Porta Latina” - powiedziała Beatrycze. Księżyc oświetlał drzewo, plac, studnię, Beatrycze i kościół.

Niech będzie mi wolno zatrzymać się chwilę, zanim wypadki potoczą się dalej. Na jedną tylko jeszcze chwilę szczęścia. Żaden podmuch wiatru nie zakłócał nieruchomej nocy. Białe kamienie na ziemi oświetlone blaskiem księżyca zataczały kręgi. Fasada jednego z domów błyszczała jak wielki mur z ochry, gdzieś tam tylko podziurawiony otworami okien, które uwydatniała żelazna krata o wygiętych prętach. Chyba cały plac miał barwę ochry i różu. W taką jasną noc można niemal rozróżnić kolory. Cztery kolumny podtrzymywały portyk kościoła widoczny od strony placu: trzy z nich były białe. Z daleka nie widziałem, czy są z marmuru, czy też z białego kamienia; czwarta kolumna była koloru ochry. Strzelista dzwonnica miała kilka pięter. Na każdym widniały wykusze z małymi kolumnkami. W ciszy nocnej liczyłem piętra, wykusze i kolumnki.

Patrzyłem więc na plac i kościół; patrzyłem na Beatry-

cze. Jej twarz była bardzo skupiona, bardzo czysta. Obok przeszło dwóch urwisów; niezmaconą ciszę przerwał ich donośny śmiech. Wiedzieli już, co stanie się dalej. My wiedzieliśmy również. Wiedziała Beatrycze i ja też oczekiwałam i nadziei, które są chyba dowodem miłości Boga dla biednych stworzeń. W momencie kiedy zanurzają się w nią, przestają pamiętać o ofiarowanym szczęściu, krążąc bez wytchnienia między niezadowoleniem i nudą, odrzućcane przez jednych, wracają do drugich i tylko nadzieją, oczekiwaniem, tylko niejasną świadomością rzeczy daje głupiej naturze ludzkiej prawdziwy smak przeżyć i szczęścia. Cichej melancholii wspomnień odpowiada gwałtowna chęć życia, której źródłem jest zapowiedź tego, co ma nastąpić. Nasze poczucie szczęścia mieści się prawdopodobnie tylko w wyobraźni i we wspomnieniach. Próbowałam, jak mogłam najlepiej, wypełnić czas oczekiwania i łagodzić naszą niecierpliwość.

Przyglądałam się niebu i gwiazdom, kościołowi i dzwonnicy, przyglądałam się Beatrycze. Od czasu do czasu jakby lekkie tchnienie poruszało powietrze. Beatrycze powiedziała: „Jest bardzo pięknie”. Liczyłam gwiazdy i małe kolumnienki na wieży. Uczyłam się na pamięć i na całe życie zębów, włosów, oczu, ust Beatrycze. Można liczyć gwiazdy i kolumnienki, można dostrzec biel zębów i barwę oczu. Nie można opisać nocy, czyjejś obecności i oczekiwania.

Noc teraz stała się głęboka. Nie był to już ten skrawek ciemnego dnia, który przeżywa jeszcze zachód słońca. Nastąpiło wielkie milczenie, które wszystkich oddzieliło od siebie. Rzym stał się milionem samotności. My także byliśmy dwojgiem samotnych pod cedrem wyrastającym ze studni, naprzeciw kościoła San Giovanni a Porta Latina. Milcząc siedzieliśmy nieruchomo obok siebie. Nielekko bałam się dotknąć Beatrycze. Nagle wstrząsnął ją

dreszcz. Pochyliłem się i pocałowałem ją. Przez moment zdawało mi się, że jej ręce zawahały się, po czym próbowała mnie odsunąć. Wyciągnęła ręce w kierunku moich ramion. Nagle uległa i przytuliła mnie do siebie.

Życie daje człowiekowi i mało, i bardzo dużo: wszystko na ziemi obraca się wokół kilku wad, paru zachłanności, niewielu ambicji, wokół uczuć i marzeń. Władza, pieniądze, poezja, sława... Ja oddam wszystko za pierwszy pocałunek. Nie jestem wcale pewny, czy nie tworzę tu mitu. Tysiące ludzi w ogóle nie zna pocałunku, nie łączy pojęcia miłości z pocałunkiem. Literatura, a zwłaszcza film zrobiły z pocałunku widzialny obraz miłości, uroczy i rozdzierający symbol uległości serc. Oddany bez reszty pocałunkowi akceptuję go, nawet jeśli jest mitem. Czułem na moich wargach usta Beatrycze, czułem, jak mięknie i ulega. Trzymałem w ramionach i tuliłem do siebie żywy i gorący obraz przyzwolenia.

W sumie kto wie, czy miłość nie jest oszustwem zrodzonym z tęsknoty i wielkich nadziei. Tyle sztuk i powieści, tyle dyskusji wiruje wokół niej, jak chmara wiecznie żarłocznych much. Stąd mogła powstać sztuczna, skonstruowana za pomocą wielu środków namiętność. Ale jeśli to jest złem, to zło już się dokonało. Bo miłość, obok pieniędzy i bardziej niż przemoc, stała się we współczesnym świecie głównym zajęciem mężczyzny i kobiety. Od niej zależy całe ich życie, zdrowie, szczęście, miejsce w otaczającym ich świecie, ich marzenia i opinie, jakie mają o sobie. Ona nadaje sens. ich przyjemnościom i rozrywkom. Ich praca do niej prowadzi. Film, przyczyniwszy się znacznie do ukoronowania nowoczesnej miłości, jej z kolei zawdzięcza swoje istnienie i władzę. Esteci mogą rozplątać się nad walorami techniki, lecz nieodpartą siłą fascynacji filmem są kochające się gwiazdy. Ja sam całując Beatrycze przeżywałem romantyczne wizje: widziałem

siebie całującego Beatrycze na jednym z czterech wzgórz Rzymu, głęboką nocą, pod wyrastającym ze studni drzewem, naprzeciw dzwonnicy starego kościoła.

Ale co teraz zostało z tej nocy? Dni, tygodnie, całe miesiące mojego życia wyłaniają się z pocałunku, który ofiarowałem pewnego wieczoru. Troski i kłopoty serca rodzą się z nieszczęśliwego przypadku i z braku prawdziwych uczuć. Mogłem nigdy nie spotkać Beatrycze: gdybym ją stracił jeszcze tego popołudnia, nie rozpaczalbym. Teraz mieliśmy wspólne, wiążące nas wspomnienia cichej zgody. Już nie potrzebowaliśmy słów, żeby zrozumieć ten dziwny rodzaj porozumienia wyrażany przez dwoje szukających się ust. Ogarnęło mnie gorączkowe podniecenie. Tuliłem do siebie nieruchomą Beatrycze. Widziałem już niewyrażalne nieszczęście czyhające w ukryciu. Cóż, jednak byłem szczęśliwy!

Setki, miliony, dziesiątki milionów młodych mężczyzn i kobiet całowało się tego samego wieczoru w rzymskich parkach. Żaden cud ludzkiego serca nie zastąpi tej jedynej świeżości, jaką przynosi każda nowa miłość. Całując Beatrycze wierzyłem, że jestem zdolny sam zdobyć Grób Święty w Jerozolimie, że przepłynę morza, odkryję nieznaną planetę. Całowałem młodą dziewczynę. Czy może być coś bardziej banalnego?

Pewnego wieczoru na jednym ze wzgórz Rzymu naprzeciw kościoła zdarzyło się, że pocałowałem Beatrycze. Mogą upadać rządy, przemijać wieki, wszystko w świecie może się przemienić - ale ten pocałunek nigdy nie ulegnie zniszczeniu. Moc ludzka jest czymś wspaniałym: nagle człowiek wybiera-jakiś nic nie znaczący gest, który wpisany zostaje w wieczność.

Za krótko byliśmy w Rzymie sami. Kiedy tak spacerowaliśmy po ulicach miasta, niepostrzeżenie nadszedł sierpień. Było bardzo gorąco. Miasto prawie zupełnie opustoszało. Wysocy, jasnowłosi Szwedzi i Amerykanie z aparatami fotograficznymi jaskrawo odbijali od ochry pałaców i rozżarzonych kamieni. Asfalt topniał od słońca. Fontanny pełne były dzieci, dosiadających okrakiem trytonów. Gorące lato, pocałunki, obce miasto, wakacje i słońce zapraszały do wejścia w nie znany nam świat. Był to świat szczęścia.

Bo na początku miłości istnieją chwile oczarowania, ujęte jakby w nawias, pośród długich okresów niezadowolenia: spodziewamy się jeszcze wszystkiego, lecz wszystko z góry jest już zapewnione. Rozmawialiśmy mało; nie wiązało nas żadne zobowiązanie. Ale od czasu pamiętnego wieczoru przy San Giovanni a Porta Latina, nasze słowa i gesty łączyły się z sobą cudownie łatwo i bez wysiłku. Rozmawialiśmy tylko o rzeczach najprostszych, które same wytryskiwały jakby z najgłębszych zakamarków naszych serc. Żadna chwila nie była martwa. Żyliśmy trochę ponad miarę nas samych. Ciesząc się z łaskawości chwili, nie żalowaliśmy niczego i nic nie mogło nas zniescierpliwzić.

Beatrycze była wcieleniem niewinności. Ja byłem przepełniony literaturą. Marzyłem jfiek wszyscy - może trochę więcej - miałem wielkie ambicje, kochałem na swój sposób życie; nie zmierzało to jednak nigdy ku manii kolekcjonowania codziennych rozrywek, ku niegodziwościom moralnym, roszczeniu sobie praw politycznych ani też nie służyło żadnemu działaniu w ogóle. Nie lubiłem znaczków pocztowych, petycji, dokumentów urzędowych. Nie gotowałem sobie „wspaniałej kariery”. Nie interesowała mnie przeszłość ani też nie myślałem fanatycznie o przyszłości. Nie byłem ani faszystą, ani komunistą, ani estetą, ani purytaninem. Z niesłychaną obojętnością gromadziłem kapitał moich namiętności.

Lubiłem, z lekko ściśniętym sercem, spacerować po ulicach. Tego doprawdy nie brakło mi w Rzymie u boku Beatrycze. Nie lubię ważniaków, osobników zblazowanych, snobów. Lubię złożony charakter uczuć — co z kolei dowodzi snobizmu serca: a więc mieszaninę szalonych nadziei, rozmyślnych niedorzeczności, z ironią traktowany pedantyzm, naiwny sentymentalizm i znowę. Rzym ofiarował mi wszystkie przyjemności i wszystkie oszołomienia wraz ze swymi pomnikami, płytami z marmuru, książętami Orsini i księżniczkami Colonna, piniami pod błękitnym niebem, z rzadkim widokiem siedmiu wzgórz, z miejscami wspólnych spotkań i małymi placami. Nie krępować mnie to, co zostało napisane o Kapitolu i rzymskiej prowincji. Przeciwnie, chętnie włączyłem się wśród cudzych wspomnień.

Parokrotnie kupiłem na ulicy włoską gazetę. Zanim zużyłem ją do zawinięcia owoców lub kwiatów albo do rozłożenia na schodach, żeby usiąść, przeglądałem ją pobieżnie. To lato naszej młodości znaczone było wojnami, strachem, rozdarciem. Wszystko sprowadzało się do jednego zagadnienia: czy małe wojny tu i tam nie spowodują jednej wielkiej wojny. Wszystkie czołowe artykuły obracały się wokół tego jednego tematu, któremu czasem towarzyszyły pobożne lub plugawe rozważania o torturach, wolności i pieniądzu. Mój egoizm lub, jak kto woli, cynizm nie doprowadzał do całkowitego zaślepienia. Zależało mi bardzo na wolności po to, żeby prowadzić taki rodzaj życia, jaki uważałem za przyjemny. Ale myśl, że miałbym się mieszać we wszystkie te historie, budziła we mnie odrazę. Ponadto nudziły mnie one. Moja matka mieszkająca w Poitiers, mając ambicje co do przyszłości syna, namówiła mnie, żebym odstąpił dyрекcję małego przedsiębiorstwa cementowego, zajęcie, które zupełnie lekceważyłem, mojemu wspinałemu, obowiązkowemu i głupiemu kuzynowi. Pochwalne świadectwo szkolne ty-

pujące mnie do służby wojskowej, w sądownictwie lub w administracji państwowej dopełniło matczynych życzeń. Wszystko to było nużące. Zaraz po przyjeździe do Paryża uświadomiłem sobie, że owe wymarzone w Poitiers stanowiska są śmiertelnie nudne, w równym stopniu jak przedsiębiorstwo cementowe. Podjąłem bardzo szybko decyzję. Ponieważ tylu kandydatów zgłosiło się do trudnych egzaminów konkursowych, które trzeba było najpierw pokonać, aby następnie być dopuszczonym do ratowania rozkładających się spraw Państwa, zostawiłem szansę innym. Piękny gest, który niewiele kosztował.

Otoczyłem Beatrycze ramieniem, przytuliła się do mnie i słońce świeciło nam nad głowami, patrzyliśmy razem na to, co się dzieje na ziemi. Beatrycze wydymała usta i mówiła: „Jest mi wszystko jedno”. Ja, śmiejąc się, odpowiadałem, że jesteśmy związani ze światem, i pokazałem jej Brigitte Bardot pomiędzy Chruszczowem i bokserem.

Siedząc na schodach pod rozżarzonym słońcem, zapatrzeni w siebie, nie należeliśmy właściwie do tego świata, którego jakby otwartym oknem były gazety. Lecz jego obrazy pobudzały marzenia. W Cervinia jeździło się na nartach, „Agamemnon” płynął po zielonym i płaskim morzu wzdłuż wypalonych słońcem wysp, Linda Christian płakała nad swoim pięknym Portago, którego ciało pokryte było krwią, kurzem i oliwą, a kobieta szpieg o nieznanym nazwisku, zatrzymana w Tangerze przez operetkowy Interpol, zbiegła z więzienia dzięki równoczesnej zмовie z rywalizującymi ze sobą: adwokatem, komisarzem i dozorcą więzienia, którzy odwiedzając ją w czeluściach celi, w ciągu jednego tygodnia zostali kolejno jej kochankami.

- O popatrz! - mówiła Beatrycze natknąwszy się na fotografię z jakiegoś sławnego ślubu albo na zdjęcie któregoś z włoskich książąt w towarzystwie aktorki. Łagodnie

tłumaczyłem, że wyrażanie zachwyty nad księciem jest śmieszne i świadczy o guście midinetki. Karmiliśmy jednak głód życia obrazami, które oglądaliśmy siedząc na marmurowych schodach, jak tyłu innych.

Młodzieńcza miłość nie jest ani mocniejsza, ani słabsza od innych. Ale łagodna i nieporównywalna z niczym zgryzota tej miłości stąd się bierze, że najpierw nie odróżniamy jej od prawdziwego smaku życia. Wówczas cały obraz świata łączy się w jednej osobie. W miłości nieszczęśliwej najbardziej bolesne jest to, że nie można naprawdę korzystać z życia. Obraz Carpaccia, film Vadima stają się przystankami cierpienia, ponieważ wiemy, że już nigdy nie będziemy ich razem oglądać. Do nas dwojga w pełni należał świat, bo były między nami pocałunki, a żadne słowa jeszcze nie padły. Czytaliśmy gazety, jakby to było zaproszenie na zabawę, jak zaszyfrowany faire-part naszej radości życia.

Krępował nas trochę brak pieniędzy. Starłem się szybko coś wymyśleć. Dawniej moja rodzina była bogata. Lecz zgubna polityka zawierania małżeństw niesolidnych, ale za to z wielkiej namiętności, fluktuacja ceny cementu we Francji, skłonność mojego starzejącego się dziadka do pewnej młodziutkiej idiotki, która w omotywaniu go wykazała wybitne zdolności, wszystko to sprawiło, że pieniądze topniały jak śnieg na słońcu. Teraz - prowadząc dokładne rachunki - musiałem dozować przyjemności. W moralności mieszczańskiej nazywa się cnotą ograniczenie, przewidywanie, oszczędność. Tylko w połowie lubię te cechy u innych, jeśli dotyczą mnie, wprost nienawidzę ich. Młodzi ludzie wcale nie mają skłonności do szantażu, napadów z bronią w rękę, złodziejstwa, morderstw. Można nawet powiedzieć, że nie mają skłonności do pieniędzy. Lubią natomiast, tak jak i ja lubiłem, samochody sportowe, w lecie słoneczne długie plaże, noce spędzane z kolegami, lubią patrzeć na szczęśliwe kobiety i nic nie robić.



Wszystko to drogo kosztuje. Ale nic więcej. Kiedy spacerowałem z Beatrycze pod kolumną Trajana albo Łukiem Triumfalnym Konstantyna, nie zaprzętały mi głowy rozważania o dawnej świetności Imperium, lecz zastanawiałem się nad moją sytuacją, organizowaniem rozrywek, a także myślałem o tym specjalnym rodzaju szczęścia, które jest dane człowiekowi, gdy ma blisko siebie promiennie uśmiechniętą dziewczynę.

Oto czym było nasze życie w czasie tych letnich dni w Rzymie, które nas połączyły: słońce, spacer, puste rozgrzane ulice, to samo codzienne olśnienie, fontanny i cała przyszłość. Patrzyłem na Beatrycze i myślałem sobie, że to przypadkowe spotkanie nadało sens życiu. Wszystko wydawało się proste i potrzebne. A twarz Beatrycze była mi bliska, jak bliskie było mi szczęście.

Czas jednak upływa i nie jesteśmy sami na świecie. Rano spotykałem Beatrycze na rogu ulicy albo pod kopytami konia z marmuru. Wieczorem jedliśmy kolację w restauracjach nad brzegiem Tybru albo u naszego niezmordowanego przyjaciela z trattorii San Vicente. Pewnej nocy wrówszy do hotelu zastałem wiadomość od wuja, który przejazdem zatrzymał się w Rzymie i któremu moja matka podała adres. Zapraszał mnie następnego dnia na obiad do „Alfredo alla Scrof a”. Obiecałem Beatrycze, że w tym dniu zawiozę ją do Ostii. Zасыpiając zastanawiałem się, co by wymyśleć, żeby wykręcić się od spotkania z wujem Jerzym. Nazajutrz o ósmej zadzwonił telefon.

- Obudziłem cię, rozpustniku? Mam dla ciebie pieniądze.

To jedno zdanie zmieniło wszystko. Bardzo lubiłem wuja Jerzego. Nigdy nie wtrącał się w moje sprawy. Miał fabrykę czegoś tam między Mediolanem a Turynem, a także czerwonego Maserati, jasnowłosą przyjaciółkę nie pierwszej młodości i nosił buty z krokodylowej skóry. Chciałem uniknąć spotkania tylko dlatego, że krzyżowało

moje plany rozrywek. Wymagania, jakie stawiały przyjemności, nakazywały zobaczyć się z nim. Zawsze podporządkowywałem się ich rozkazom. Teraz szczęście znalazło się w zasięgu ręki. W jednej chwili wyobraziłem sobie, że wuj może niedługo umrze albo wstąpi do klasztoru i zechce zostawić mi całą swoją fortunę. Pilnowałem się, żeby nie dać poznać po sobie nadziei, jakie budził we mnie stan jego zdrowia i duszy; zachowałem zimną krew. Tylko, chcąc uprościć sprawę, mało brakowało, a byłbym poprosił go o zostawienie mi w umówionym miejscu niewielkiej sumy, którą sam bym odebrał. Miałbym wówczas mimo wszystko czas pojechać z Beatrycze do Ostii. Ale następnie pomyślałem, że jedząc z nim obiad dostanę od razu coś więcej a konto spadku. Zarobię więc na życie z Beatrycze. Powiedziałem wujowi, że o pierwszej będę u „Alfredo”, a Beatrycze, która już wyszła, zostawiłem karteczkę z wyjaśnieniem sprawy.

Młodzi mieszczenie mają szczęście. Pieniądze z fabryki, z pracy robotników, z produkcji stali czy cukru służą do zaspokajania ich przyjemności. Idąc do „Alfredo”, nie wdawałem się w metafizyczne rozważania na temat organizacji, społeczeństwa czy roli, jaką gra przypadek, stawiałem sobie jedynie pytanie, ile dostanę, przeliczając liry na dni słoneczne i na nocne rozrywki.

Wuj Jerzy czekał na mnie w towarzystwie swojej blondynki, która prezentowała się jeszcze zupełnie nieźle. Nie nudziłem się w czasie obiadu. Wuj Jerzy znał się na niewielu rzeczach, ale był wesoły. Lubił podróże i kobiety. Ubierał się ze smakiem - z dużym smakiem. Bez przesady używał także narkotyków. W życiu radził sobie dobrze. O ile wiem, był w młodości na utrzymaniu pewnej znanej Amerykanki, która ciągnęła go od baru do baru i z pałacu do nocnych lokali. Budził mój zachwyty. Kiedyś był chyba dość przystojny. Pił bardzo dużo i stawiał sobie mało pytań na temat sensu historii i kondycji ludzkiej.

- No więc jak żyjesz? - zapytał częstując mnie cygarem. Rozmowa nie była olśniewająca. Zapalił cygaro tuż przed posiłkiem i natychmiast je zgasił. Był to dobry znak.

Zacząłem niepewnie, że sytuacja nie jest najlepsza. Na początku obiadu, trzymając nos w talerzu z makaronem, zastanawiałem się, jak zagadnąć go o sprawę pieniędzy.

Przyniesiono *scampi fritti*, kraby i na koniec kawę. Wyciągnął z kieszeni list od mojej matki. Poitiers 26 lipca. Zacząłem czytać na głos. Przesyła mi gorące ucałowania oraz czterdzieści tysięcy franków na podróż do Florencji, żebym obejrzał „Sen Konstantyna” Piera delia Francesca, o którym mówiłem jej z zapalem. Zrobiłem kwaśną minę zastanawiając się, czy to już wszystko. Popatrzyłem na wuja Jerzego. Miał na twarzy anielski spokój, cerę różową tryskającą zdrowiem bez najmniejszych śladów leukemii czy mistycyzmu. Było jasne, że nie nosi się z zamiarem zostawienia mi swojej fortuny. A skromne, mieszczańskie możliwości mojej matki, jak również skazane na niepowodzenie jej intencje estetyczne pozostawiały go niewzruszonym. Oto czym są marzenia. Czterdzieści tysięcy franków nie było wygórowaną sumą.

- Przemyciłem je - powiedział dumny z siebie wuj Jerzy.

Pogratulowałem mu grzecznie. Wyobraziłem sobie nie wiadomo co i te poronione marzenia sprawiły mi zawód, doprowadzając do stanu psychicznego załamania, zupełnie jakbym przed chwilą miał zostać bogaczem.

- Nie masz zadowolonej miny - powiedział.

- Wuju...-zacząłem.

Wuj Jerzy nie był tak głupi, jak mogło się wydawać. Natychmiast zorientował się, że coś jest nie w porządku.

- Co się stało? - zapytał sucho, huśtając się na krześle.

Westchnąłem ciężko z żalonym wyrazem twarzy.

- Freski Piera delia Francesca nie są we Florencji, lecz W Arezzo — powiedziałem ponurym głosem.

- Dla mnie to wszystko jedno - odpowiedział.

Owa obojętność w stosunku do arcydzieła sztuki wydała mi się równie korzystną zapowiedzią na przykład cygara. Człowiek, pogardzający do tego stopnia dziełem sztuki i ceną hawajskiego cygara, powinien zrozumieć potrzebę pieniądza. Przystąpiłem do ataku, czerpiąc odwagę z upadłych nadziei.

- Powiedz, wuju...

- Wyduś wreszcie z siebie - rzekł zachęcająco.

- No więc, chcę tu trochę zostać. Nie mam już pieniędzy. Cóż to jest czterdzieści tysięcy franków? Czy nie mógłbyś pożyczyć mi paru groszy? Oddam ci je we Francji za trzy albo sześć miesięcy. Proszę cię bardzo, wuju, tu jest tak pięknie.

Powiedziałem to wszystko jednym tchem, a teraz czekałem, co dalej nastąpi. Ludzie bogaci, nawet gdy są rozrzutni, nie lubią pożyczać. Wiedzą bowiem, iż dlatego może, że są bogaci, pożyczka tyle dla nich znaczy co darowizna. A egoizm, tak samo jak skąpstwo, jest wrogiem hojności.

- Ile chcesz?

- Sam nie wiem. Sto tysięcy. Sto pięćdziesiąt tysięcy.

Cicho zagwizdał.

- Do licha! Nie tra ciłeś czasu. - Popatrzył na mnie spod oka. - Czy jest aż tyle warta?

- Więcej, wujaszku.

Blondynka zaśmiała się. Wuj Jerzy przez chwilę myślał. Po czym wyciągnął portfel i odliczył sześćdziesiąt tysięcy lirów. Szybko dodałem: czterdzieści tysięcy franków, sześćdziesiąt tysięcy lirów. No cóż. Jest z czym zacząć.

Zdaje się, że właśnie w tym momencie cofnąłem się i niechcący nogą dotknąłem pod stołem blondynkę. W zamyśleniu kończyła swoje *Asti spumante*. Ledwie miałem czas cofnąć się, gdy znów poczułem, że coś dotyka mojej nogi. Zagłębiając się w kalkulacjach, machinalnie posunąłem ją dalej. Czterdzieści tysięcy franków, ile to stanowi lirów?

Nigdy nie byłem mocny w rachunkach. A potem nagle zrozumiałem, że blondynka uwodzi mnie pod stołem.

Znakomicie, znakomicie. Wspaniale. Nie byłem wcale zaskoczony. Tego rodzaju historie zawsze chodzą parami. Przez trzy lata człowiek włóczy się po Poitiers będąc w wieku, gdy inni mają przygód bez liku, i nic mu się nie zdarza. A potem w Paryżu czy w Rzymie, w ciągu trzech tygodni wszystkie kobiety włożą mu na głowę. No tak. Franciszka, Beatrycze... A teraz ta, jakże ona ma na imię? Doprawdy nie wiedziałem. A, to pięknie! Kobieta uwodzi cię pod stołem, a ty nawet nie wiesz, jak się nazywa. Patrzyła ciągle w przestrzeń. Wuj Jerzy wydał mi się nagle śmieszny i godny politowania. Bywają chwile, w których człowiek czuje się panem sytuacji.

Nie zabierając głosu dowiedziałem się, że wuj Jerzy tego samego wieczoru wyjeżdża do Mediolanu i że Rozalina (o, właśnie, na imię miała Rozalina) zostaje jeszcze trzy dni w Rzymie. Wstaliśmy od stołu. '

- Czy jesteś zadowolony?  
- Jestem bardzo zadowolony, wujku.  
- Pojedziesz zobaczyć tego twojego, jak mu tam, Piera? Wuj Jerzy był bogaty i miły, ale w tym miejscu przesa dził.

- Pojadę.  
- Sam?  
Patrząc na mnie, zaśmiał się.  
Spojrzałem na blondynkę. Miała na twarzy nieobecny uśmiech.

- Sam? Nie wiem, wujku... Nie, może nie sam.  
- No! No! A dzięki komu to wszystko?  
- Dzięki tobie. Dziękuję ci, wujku.

No, proszę. Śmiał się protekcjonalnie. Wstaliśmy już od stołu. Blondynka zniknęła na chwilę. Szef restauracji przyniósł rachunek. Wuj Jerzy zapłacił, co było oczywiste. Chyba nie ja powinienem był płacić? Blondynka wróciła.

Szef przyniósł resztę z rachunku. Wuj Jerzy policzył i zostawił duży napiwek. Blondynka wsunęła mi do ręki kartkę papieru. Nie zdziwiło mnie to wcale. Wsadziłem ją do kieszeni, gdzie znalazła się razem z czterdziestoma tysiącami franków, z sześćdziesięcioma tysiącami lirów od wujaszka i listem z Poitiers od mojej biednej matki, która miała także słabe pojęcie o arcydziełach sztuki i wymaganiach, jakie stawiają rozrywki.

Ledwie znalazłem się sam, natychmiast sięgnąłem do kieszeni po kartkę papieru. Była to zwykła kartka z wydrukowanym nazwiskiem i dopisanym ręcznie adresem: Rozalina Bourjois, hotel Kwirynał. Od razu zadałem sobie pytanie, czy powiem o wszystkim Beatrycze. Zdecydowałem nic nie mówić. O pół do czwartej byliśmy znowu razem.

- A twój krewny? - zapytała.
- To zwykły lowelas.
- Był sam?
- Też coś! Był ze swoją blondynką.
- Czy jest ładna?

Popatrzyła na mnie. Wyczułem w pytaniu ukrytą zazdrość. Sprawiała mi tym przyjemność jak miłosnym wyznaniem. Zadając to pytanie Beatrycze w uroczy sposób udawała zazdrość. Jakże mogła być zazdrosna o tę starą przyjaciółkę wuja? Wszelako powinna być. Ale przez odwrócenie pojęć - gdyby z ukrycia widziała, co działo się pod stołem, w swoim gniewie i żalu nie miałyby mimo wszystko racji. Bo zamierzając odwiedzić blondynkę w hotelu Kwirynał, chciałem przecież wyciągnąć od niej pieniądze, które pozwoliłyby mi, wbrew szaleństwu mego dziadka i ograniczeniom wywozu dewiz, na pozostanie z Beatrycze w Rzymie. Udawała więc zazdrosną, żeby dowieść swojej miłości, gdy tymczasem powinna naprawdę być zazdrosna. Ale myliłaby się znowu, gdyż to ją przecież kochałem. Życie doprawdy nie jest proste.

- Całkiem ładna - odpowiedziałem tonem niezdecydowanym.

- Czy twój krewny ma powodzenie?
- Tak, bardzo duże - wyznałem z satysfakcją.
- Większe niż ty?

Zaśmiała się.

- Czy większe niż ja? Tego nie wiem.
- Zarozumialec z ciebie - powiedziała.

Umilkła. Ale ja, żeby się zemścić i również zamilczeć, ponieważ płonąłem chęcią mówienia, ucałowałem ją.

Spacerowaliśmy jeszcze całe popołudnie. Powiedziałem Beatrycze, że wuj dał mi pieniądze. I wieczorem, żeby oblać sprawę, poszliśmy na kolację do „Orso”, jednego z eleganckich lokali w Rzymie. Zaledwie weszliśmy, zobaczyłem siedzącą przy stoliku Franciszkę w towarzystwie trzech Włochów i dwóch nieznajomych dziewczyn.

Od razu poczułem się nieswojo z powodu tego spotkania. Przez parę dni byliśmy z Beatrycze sami, w mieście wyludnionym przez miłość. I oto znowu wokół naszej wysepki gromadzi się tłum: Franciszka, ci Włosi, wuj Jerzy, Rozalina Bourjois.

Kolacja upłynęła bardzo wesoło. Franciszka śmiejąc się robiła mi wyrzuty, że ją opuściłem.

- W ogóle już cię nie widuję - powiedziała.
- Ależ służę ci w każdej chwili.
- No więc zatelefonuj do mnie!

Beatrycze, Franciszka, Rozalina: oto lato wypełnione po brzegi. Cyniczna satysfakcja, jakiej dostarczało mi głuche zmaganie się porywów serca z chęcią zatelefonowania, Ponuro zagrażała naszym słonecznym spacerom. W kilka godzin później, wróciwszy do siebie, zatelefonowałem do hotelu Kwirynał. Zupełnie nie rozpoznałem głosu w słuchawce. Był to głos jasnowłosej Rozaliny. Śmiała się za Sosno. Ja coś mamrotałem. Umówiliśmy się na następny ^ wieczorem.

- Niech pan po mnie wstąpi - powiedziała.  
Zrozumiałem w lot.

Nazajutrz rano zatelefonowałem do Franciszki. Ponieważ prosta miłość jest za trudna, robimy wszystko, żeby ją skomplikować. Zaledwie usłyszałem głos Franciszki odpowiadający na moje pytania, od razu nawiązało się między nami porozumienie, które nas łączyło. Wiedziała już, że mam jej coś do opowiedzenia. Z góry się cieszyła.

- Zapomniałeś o Boboli - rzekła z komicznym wyrzutem.

Odpowiedziałem: „Ależ nie, nie”. Nagle zdałem sobie sprawę, że będzie mówić o Beatrycze. A chciałem jej opowiedzieć tylko o Rozalinie. Tak właśnie ustala się pewną hierarchię w miłości. Wiktorii mówi się o Annie Marii, ale Annie Marii nie mówi się o Wiktorii. Mogłem użyć w tej grze Rozalinę, ale nie chciałem używać do tego celu Beatrycze. Jednakże Franciszka zaczęła nalegać.

- Masz chyba jeszcze wolne wieczory?
- Dlaczegożbynie?-powiedziałem swobodnym tonem.
- Więc dziś wieczór?
- Nie, nie dziś.

Byłem uszczęśliwiony.

- Aha! Więc to ta twoja Beatrycze?

Wpadła w pułapkę.

- Nic podobnego - powiedziałem **triumfalnie**.

- Co? Jeszcze jedna?

ostatnio mało się widywała. Zostałem sam wyciągnięty na łóżku w „Albergo al Grasso della Ua”, a po głowie krążyły mi niezborne myśli, w których chęć zabawy, to znów zniechęcenie kłóciły się z sobą. Dobrze znałem tego rodzaju napady, których dostawałem często po chwilach nadziei i uniesienia. Niewiele czasu upłynęło między chwilą spędzoną w Koloseum i oszołomieniem w momencie przyjazdu do Rzymu. A nim jeszcze opuściłem pamiętnego wieczoru małe wzgórze San Giovanni a Porta Latina, wiedziałem już, że zapłacę za to szczęście. Wyznaję, że sam też zawiniłem. Po co czepiałem się Rozaliny, na nowo wiązałem się z Franciszką? Ale czy można było tego uniknąć? W miłości jesteśmy samotni i czysti, ale ziemia wokół nas nie przestaje się kręcić; spotkanie z Beatrycze nie usunęło nagle problemów finansowych ani moich dawnych przyjaciół. Miłość spada na życie, które już wcześniej wiodło jakąś egzystencję; jak spóźniony gość, który przyszedłszy, gdy wszyscy są już przy stole, musi dogonić innych i dostosować się do tego, co zastał. Miałem dla Beatrycze nową prawdziwą czułość, ale bardzo lubiłem Franciszkę; ponadto potrzebowałem pieniędzy - a przynajmniej tak starałem się to sobie wytłumaczyć. Sposób, w jaki miałem je zdobyć, może wydać się dziwny, sprzeczny również moimi subtelnymi wyznaniem. Lecz w końcu o co iu;o Trzeba zrobić, co trzeba. A w gruncie rzeczy,

szedłem sam na spacer. Idąc po ulicach mówiłem zycia ze wszystkim z góry jest zepsute i stracone. Sam fakt luz od odrażający - nie odrażający, cudowny, ale fued, a obciążony winą -- Więc balansowałem tak

ystKo ten azien nie oyi wesoioy. uoznaws- <;azy moim łatwym stosunkiem do życia i drażniącymi mieszanymi uczuciami i sam dobrze nie wiedziałem, co się z ^kazaniem, od których nie mogłem się uwolnić. Miałem mną naprawdę dzieje. Beatrycze miała spędzić kilka go «ebi» trochę pretensji za to, że muszę prowadzić owo dzin ze swoimi francuskimi przyjaciółkami, z którym ^wojne czy potrójne życie. Ale najbardziej wyrzucałem

- Opowiem ci.

Próbowałem zachować powściągliwość.

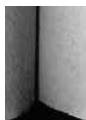
- Więc jutro?... A nie! Jutro nie mogę. **Pojutrze**.

- Zgoda, pojutrze.

Życie jest przezabawne.

Mimo wszystko ten dzień nie był wesoły. Doznawałeś

^miesz iaeTaturni-i upoiło i sam Hnhr7:p nie wiedziałem. CO się ^





sobie, że zamiast oddać się miłości lub rozrywkom, stawiam sobie teraz niepotrzebne pytania. W końcu drażniące było to wieczne potrząsanie sobą, żeby wzniecić ochotę do zabawy.

Wieczorem poszedłem piechotą do hotelu Kwirynał. Nad Rzymem przeszła krótka burza. Dla nas, żyjących dzisiaj w wielkich miastach, zapach mokrego bruku czy żwiru jest tak samo mocny i znajomy jak dawniej zapach! siana czy pinii zalatujący od morza. Samochody wyrastały! na jezdniach jak grzyby po deszczu, a ja czułem niepokój często towarzyszący początkom przygody, na której naJ prawdę nam nie zależy. Po drodze zastanawiałem się, czyj nie śnie i czy słusznie sądziłem Rozalinę? Może znajduję się w towarzystwie kilku przyjaciół zgromadzonych przy butelce whisky? A potem nagle wyobraziłem sobie, iż przyjmie mnie w przezroczystym negliżu, który bez słów zsunie z ramion. Stanowczo za często chodziłem do kina Przyspieszyłem kroku.

Z przyjemnością snułem nieroztropne i mgliste marzenia. W stosunku do Beatrycze czułem się trochę winny, al< równocześnie wyrzucałem jej kruchość naszego związku, mówiąc sobie, że nie mogę dłużej tego znieść. W drzwiach hotelu natknąłem się na wychodzącą parę, za którą niesiono bagaże. Odsunąłem się, żeby przepuścić kobietę. Była tw wysoka szczupła blondynka o energicznym, ale spokojnym i władczym wyglądzie, cechującym osoby dystygowanej Przechodząc obok popatrzyła na mnie i uśmiechnęła Zrobiła to przez zwykłą uprzejmość. Lecz właśnie wtedy wydało mi się, że Beatrycze zagradza mi dostęp do nieprzewidzianych przyjemności i ogranicza moją wolność.

Ponieważ nie piszę scenariusza filmowego i nic ni' zmusza mnie do zachowywania reguł w opowiadaniu t opisach, zatrzymam się trochę w tym miejscu - ryzykują^ że będę nudny - aby rozważyć, jak do tego doszło. To, \$ piszę w tej chwili, a co wy czytacie, nie. odbywa si<

oczywiście w drzwiach hotelu Kwirynał w Rzymie, w obecności kobiety, która przechodzi i uśmiecha się do mnie. Najpierw pewnego dnia gdy byłem w Rzymie i właśnie przestało padać, wszedłem do hotelu Kwirynał, żeby zobaczyć się z pewną blond damą. Następnie, dużo później, w mieszkaniu przy ulicy Estrapade, w piątej dzielnicy Paryża, wyciągnięty na nierównym tapczanie piszę w tym właśnie momencie słowa, które wy czytacie: słowa, które czytacie. A potem, wszystko jedno kiedy, w waszym teraz czytacie to, co ja napisałem. Pomiędzy czasem, w którym wy czytacie, a ja piszę - a raczej, w którym pisałem — nie mogło się już nic ważnego wydarzyć, gdyż wszystko zostało ujęte definitywnie w słowa. Czytelnik może odbierać moje opowiadanie w nastroju lepszym czy gorszym, może je rozumieć lepiej czy gorzej, może ono mu się podobać lub nie podobać, niemniej czyta to, co ja napisałem, co właśnie piszę, podczas gdy na podwórzu listonosz wykrzykuje wniebogłosy moje imię. Natomiast między momentem, w którym przekroczyłem próg hotelu Kwirynał, a tym drugim, kiedy białą kartkę papieru pokrywają litery, słowa, zdania, które wy obecnie czytacie, zdarzyło się wystarczająco dużo, aby wypadki nabrały innego sensu i znaczenia. Oczywiście, że w tym dniu padał deszcz w Rzymie, świadczą o tym przyrządy meteorologiczne; oczywiście, że spacerowałem po ulicach; oczywiście, że wszedłem do hotelu. Ale jak odnaleźć w nagromadzeniu wspomnień, które mieszają się, są sztywne, rozczłonkują się lub rogowacieją, to, czym były wówczas moje myśli, co niepokoiło mnie i budziło nadzieje, formowało moje pojęcia, uczucia, całą moją osobowość. Jest nieprawdopodobne, abym odtworzył siebie takim, jakim byłem, gdy stanąłem w drzwiach hotelu Kwirynał. Może przywiązywałem więcej uwagi do moich mokrych włosów czy do ziarenka piasku niż do obrazu Beatrycze, Rozaliny lub owej jasnowłosej kobiety w holu. Wyobraźnia,

pracowała nad tym dnie i tygodnie. To, co ważne dla przyszłości, utwierdziło się bez trudu. Natomiast *rzeczy* dotyczące tylko chwili obecnej rozproszyły się, nie pozostawiając śladu.

Rozważajmy dalej. Przypuśćmy, że przekraczając próg osławionego rzymskiego hotelu Kwirynał, nagle zatrzymałbym się wpół kroku, unieruchomiony zniecka jak na filmie, gdzie wszystko krzepnie w stężonym obrazie, a czas przestaje upływać, i gdybym szukał wówczas, nie uciekając się nawet do wspomnień, odpowiedzi na pytanie, kim jestem i co mogę o sobie powiedzieć, wątpię, czy potrafiłbym określić siebie nie kłamiąc. Często to, co wyrażamy, jest niejasne; można spierać się o słowa, niemniej słowa istnieją. Natomiast myśli i uczucia zawarte są w gruncie rzeczy tylko w gestach i one to wydadzą je następnie na świat. To, czego nie wyrażamy wprost - myśl, uczucie nie jest wewnętrzną mową, słyszalną przez tajemnicze ucho, którą wystarczy przełożyć na słowa, aby wszystko stało się jasne i zrozumiałe. Nie ma mowy wewnętrznej, a myśl i uczucie, nie będąc tylko nicością, są jednakże bliższe nieistnieniu niż temu, co istnieje jako rzecz wyrażona, nieodwołalna, jednoznaczna.

Dzisiaj sądzę, że można by różnie motywować sytuację, dla której znalazłem się w drzwiach hotelu Kwirynał w Rzymie. Na przykład kochając Beatrycze przyszedłem do Rozaliny, aby wyciągnąć od niej pieniądze potrzebne na moje i Beatrycze utrzymanie; albo przyjemna okazja zdradzenia Beatrycze dostarczała mi satysfakcji; albo może starałem się wyzwolić wreszcie ze starego kompleksu niższości w stosunku do mego uwodzicielskiego wujaszka; mogłem również motywować to tym, że jestem z natury cyniczny albo niewinny, obłudny albo obojętny. Wszystko było prawdą, ale nie tłumaczyło dokładnie wewnętrznego tekstu, który, powtarzam, w ogóle nie istniał. Były to jedynie dowolne interpretacje, ogromna ilość bodźców

mniej lub bardziej zauważalnych, które się we mnie nerwowo poruszały, popychając do przodu, zatłaczając myśli i uczucia i powodując to, że w tym dniu o określonej godzinie, której sobie nie przypominam, przekroczyłem próg hotelu Kwirynał w Rzymie.

I znowu pomyślałem, że miłość, tak jak fortuna, jest przede wszystkim gromadzeniem. Chcę przez to powiedzieć, że jedna miłość przyciąga inne, a mężczyzna kochany zastanawia się, czy przypadkiem nie jest kochany przez wszystkie. Zdawało mi się, że wystarczy podnieść oczy na jasnowłosą kobietę, którą minąłem w holu, aby rzuciła mi się na szyję. Wszystko wskazuje na to, że miłość rodzi miłość. A zwykle zarozumiałstwo skłoniło mnie do wyobrażenia sobie, że między Franciszką a Beatrycze, Beatrycze a Rozaliną i przed rozpoczęciem nowych przygód, wpadnę też na krótko w ramiona młodej blondynki spotkanej w holu hotelu Kwirynał.

Tak oto w łańcuch wydarzeń, przeżyć i dni wplatają się osoby, które pozornie kochamy. Zanim jeszcze zapomniałem o Beatrycze dla jakiejś innej biednej istoty, już ją w myślach zdradziłem, wpychając z powrotem w świat, z którego wychynęła owego wieczoru przed San Giovanni a Porta Latina. Przypominam sobie, że gdy pytałem w recepcji o panią (panią czy pannę?) Bourjois, ogarnęło mnie uczucie wstrętu, na które złożyło się znużenie i wzgarda dla siebie samego. No cóż! Nie była to sprawa moralności, lecz temperamentu. Najpierw wyobraziłem sobie Bóg wie co, a następnie patrzyłem, jak wszystko obraca się w ruinę - albo raczej jak sam doprowadzam do ruiny.

A więc Rozaliną czekała na mnie. Whisky, owszem, była, ale nie było przyjaciół. Nie miała też na sobie przezroczystego szlafroka, tylko sweter i jasną spódnicę. Wydała mi się ładna, a w każdym razie zauważyłem, że ma bardzo jasne włosy. Wypadki nigdy nie przebiegają tak, jak się tego spodziewamy. Ale rzadko też przebiegają całkiem inaczej.

Tego wieczoru nie spałem z Rozaliną, ale stało się to dnia następnego.

Nie, nie zakochałem się w Rozalinie. Zgarnąłem tylko pięćdziesiąt tysięcy lirów, tak jak przewidywałem. Wszystko potoczyło się normalnie i według z góry powziętego planu. Sprawa Rozaliny Bourjois była sprawą pieniędzy, nie serca, i tak również, jak to było przewidziane, przygotowywałem się, żeby wspólnie z Beatrycze wydać zarobione dla niej w pocie całego ciała pieniądze.

Zastanawiałem się przez jakiś czas, czy opowiem o wszystkim Beatrycze. Dziwi 'mnie, że mężczyźni kryją przed kobietami, które kochają, swoje przygody miłosne. Kobiecie powinno schlebiać, iż mężczyzna, którego wybrała, podoba się nie tylko jej. No, czyż nie tak? Wydaje się to prawdą oczywistą. Poza tym drobne przykrości podtrzymują wielką miłość. Nie chciałem jednakże zasmucać Beatrycze; pomyślałem również, że może każe zwrócić Rozalinie pieniądze. Jaki w tym sens? Jedną zdradzałem bez celu, a z drugą za darmo szedłem do łóżka? O nie! Byłoby to doprawdy zbyt głupie.

Ale Beatrycze nie była jedyna. Miałem również Franciszkę. Jakim nieszczęściem w miłości jest ta wielorakość ciał, które mówią, myślą, udają, że myślą, uzupełniają się nawzajem i wzajemnie oddają się sobie w miłości. Może byłem niemądry, niepoczytalny, lekkoduszny, powierzchowny. Powiedziałem sobie, że po tej historii Franciszka nabierze do mnie szacunku albo w każdym razie będzie ubawiona. Więc opowiedziałem jej wszystko.

Moja historia zachwyciła Franciszkę, której ulubioną bohaterką była pani de Merteuil; lubiła tylko takie sytuacje mniej czy bardziej banalne, w których odnajdowała zapach tych niebezpiecznych związków dodających jej życiu pikanterii. Nie wyjawilem jej początkowo, dlaczego poszedłem do Rozaliny. Najpierw sądziła, że zrobiłem to dla sportu, niezupełnie się zresztą myląc. Dorzuciłem

jednak dość prędko, że owa afera opłaciła mi się. Franciszka, oczarowana, najpierw wybuchnęła śmiechem i pogratulowała mi. Lecz następnie zauważyłem, że uporczywie nad czymś myśli.

- Co zrobisz z tymi pieniędzmi?

- Mój Boże... doprawdy nie wiem... Może przydadzą się na zwiedzanie.

- Proszę, proszę, na zwiedzanie...

- No co, na zwiedzanie. Czy uważasz, że to takie dziwne, zwiedzanie Włoch?

- Wiesz, ja i turystyka... Ale ty będziesz zwiedzać Włochy... Tylko czy sam?

Do licha, straciłem kontenans. Wreszcie przekona mnie, że jestem śmieszny. Niewiele rzeczy ukrywałem jednakże przed Franciszką. I wzięła mnie teraz chęć, żeby powiedzieć jej o Beatrycze.

- Nie, wcale nie sam, może z Beatrycze.

Franciszka siedziała na łóżku. Wyciągnęła nogi, potem podkurczyła je pod siebie. Wyglądała jak napastnik gotowy do walki.

Przez dwie godziny mówiła mi o Beatrycze. W porządku, mała jest milutka, ale kto mógł przypuszczać, że zawrócę sobie głowę taką gąską. Czy zdają sobie sprawę, w co się wplątuję? Nie ulega wątpliwości, że jest to mała idiotka. Prawdziwa, mała mieszcanka, ze swymi okrągłymi oczyma, z pobożnością jak się należy, ze swym skromniutkim wyglądem i z przyzwoitymi gustami. Mój Boże! Ale to będzie nuda! A co z moją powieścią? O! Rzeczywiście, ta mała i inspiracja, daleko zajdę.

- Kiedy będzie już znaleźć was... Spałeś już z nią?

Musiałem wyznać, że jeszcze nie.

- No, tak! To już dno. Do tego miłość platoniczna. Czy wiesz, czym się to wszystko skończy? W białych rękawiczkach w urzędzie stanu cywilnego przed obliczem mera. Podasz ramię mamusi, potem będzie lunch, i do tego

skromny. Przecież ci mieszczanie nawet nie mają pieniędzy... O czym mówiłam?... Aha! No tak: twoja powieść... Więc kiedy już prześpisz się z nią, oczywiście opatrzony sakramentem... Więc jak już wreszcie to nastąpi, będziesz cały jak wypluty z Oktawiana Feuillet.

Chyba trochę przesadziła, prawda? Broniłem Beatrycze. Franciszka widziała ją zaledwie dwa razy. Jestem przekonany, że gdyby ją znała lepiej...

- No dobrze, dobrze. Już nie dyskutuję. Ale mówiąc szczerze: co chcesz zrobić z tą dziewczyną?

Tego nie wiedziałem. Zobaczymy później. Nie miałem żadnych konkretnych planów. Franciszka znudziła mnie wreszcie. Czyż nie byłem wolny? Rozgniewałem się i przybrałem dumną minę dlatego tylko, że nie wiedziałem, co powiedzieć..

Oczywiście, byłem słaby. Franciszka znając mnie i będąc silniejsza, miała nade mną przewagę. Bawiło ją również, że umie mnie podejść. Ale najważniejsze było to, że Beatrycze i moje z nią związki wkraczały w szeregi osób i spraw, o których rozmawia się z innymi. Miłość jest przede wszystkim porozumieniem dwojga ludzi. Porozumieniem i tajemnicą. Może sama rozmowa o niej jest już zdradą. Udział w miłości mają tylko dwie istoty. Każdy obcy czynnik pozbawia jej siły i czystości, grozi zagładą.

Franciszka bawiła się. Bawiła się Beatrycze i mną. Montowała i rozmontowywała drobne mechanizmy, z góry ciesząc się widokiem ich funkcjonowania. Dobrze wiedziałem, co się zapowiada, ale milczałem złapany w potrzask, uwikłany w sidła, słuchając zafascynowany, co mówi Franciszka.

Wyobrażam sobie, że czytelnik nie może mieć, po tym, co znowu napisałem, dobrego o mnie mniemania. Ale nie piszę apologii czy rozprawy na temat charakterów ani też podręcznika o moralności. Próbuję pokazać przebieg wypadków. Od czasu do czasu chcę także uprzytomnić sobie.

czy to, co piszę, może być uznane za wiarygodne. Wypadki z życia są trudno przetłumaczalne na słowa. Psychologiczne wyjaśnienie w literaturze tradycyjnej byłoby prawdopodobnie takie, że wróciłem po prostu pod wpływem Franciszki. Ale nie wyjaśnia to wszystkiego. Raczej zastanawiam się, czy Franciszka nie pociągała mnie jeszcze wówczas i czy ten potok jej słów przeciwko Beatrycze nie był zamaskowaną obietnicą przyjemności, których z trudem się wyrzekałem. Nie śmiem twierdzić, że obawiała się, iż mnie straci. Nie kochała mnie naprawdę. Możliwe jednak, że groźba, jaka zawisła nad naszym związkiem, obudziła w niej te uczucia, które może kiedyś do mnie żywiła. Franciszka należała raczej do ludzi, którzy nie kochając potrafią usidlać i okazywać zazdrość. Moją wierność do niej rozumiała nie przez wielką pasję i objawy tliwości, ale przez udział w rozrywkach i zabawie. Może uważała poza tym, że jestem stworzony raczej do tych przyjemności niż do uczuć, które nieodwracalnie spalają gwałtownym i oczyszczającym płomieniem.

Wreszcie sam zacząłem mieć wątpliwości. Obraz mojej własnej osoby, który najchętniej przedstawiam, bliższy jest cynizmowi niż odwiecznym pobożnym życzeniom. Moją namiętnością jest poczucie niezależności. Oczywiście poznałem także owe paradoksalne wybuchy rozpacz i żarliwości. Koloseum i mały kościół a Porta Latina były tego świadkami. Lecz ja wypierałem się tych słabości. Wypierałem się ich przede wszystkim dlatego, że się ich bałem. Bałem się, że zostanę pochwycony w sidła miłości albo tęsknoty. Więc używałem owych nieposkromionych uczuć, podobnie jak się używa wyszukanych i ostrych przypraw, jako dodatku do mojej władczej obojętności.

Franciszka wspaniale bawiła się moim niepokojem.

- Doprawdy! Czy zdajesz sobie sprawę? - mówiła. - No więc, jak to ma wyglądać? Miłość jedyna; żarliwość, całkowite oddanie; pierwsze śniadanie podawane do łóżka. I jak



to długo potrwa, gdy już zdobędziesz dla siebie tę swoją panienczkę? Dwa tygodnie, trzy tygodnie? Albo związki pozamałżeńskie, a w domu niańka. No i oczywiście bachory. Ponieważ ona będzie chciała mieć bachory. A co! Może nie znam tego młodego narybku? Tak, odbędziesz wspólną podróż, tyle, że będzie to twoja ostatnia podróż. A potem będziesz zaciągał pasa. Będziesz miał tę swoją królową, zamieszkaś w Meudon albo... poczekaj, jeszcze lepiej, u stóp wzgórza Valerien: to szykowne miejsce? Będzie je uwielbiała, czekając wieczorami na ciebie. Ty będziesz pracować w ubezpieczeniach. Co roku nowa latorośl, a co dwa lata dziesięć milionów franków premii. Ach! Jakie szczęśliwe będzie moje kochanie, mój pieszczoszek, chuchany, dmuchany. Oj, bo się rozpłaczę.

Ja też płakałem. Z wściekłości. Z wściekłości na Franciszkę, na siebie. Sądziłem przez chwilę, że zostałem uratowany. Ktoś zadzwonił do drzwi. Przyjechali Włosi. Chciałem niepostrzeżenie uciec i spotkać się z Beatrycze. Umówiłem się z nią prowizorycznie, powiedziałem, że przyjdę po nią, ale że nie wiem dokładnie o której.

Miałem rację, że nie podałem dokładnej godziny. Nawet nie zdążyłem się odwrócić. A może w swej słabości godziłem się na wszystko, ponieważ miałem w gruncie rzeczy ochotę na zabawę. Franciszka i jej wspólnicy wsadzili mnie do czekającej przed domem Alfa Romeo, obiecując cudowne rozrywki.

- Możesz to chyba dla nas zrobić - powiedziała Franciszka - ten ostatni raz...

I spojrzała na mnie z ukosa.

Było bardzo miło. Opisy nie są tu potrzebne: pełno ich w filmach i powieściach. Znalazła się również wysoka, jasnowłosa dziewczyna, która była dziennikarką i Szwedką. Dużo z nią tańczyłem. Przytulała się do mnie, a potem powiedziała, że chciałaby mieć w życiu jedyną miłość. Była żoną fotografa, który pchnął ją w ramiona wpływowego

handlarza mąką. W nic już nie wierzyła. Chyba tylko w jedyną miłość. Jeszcze dziś myślę, że na pewno nie kłamała. Jestem żałośnie naiwny: wierzę łatwo, jak Sokrates, że nikt nie jest zły z własnej woli i że nikt nigdy nie kłamie. Niejasno przypominam sobie, że kochaliśmy się w jakimś kącie, ale rano znalazłem się w łóżku Franciszki.

Nie mam zamiaru, po tym, co zaszło, przedstawiać się jako wyniosły rygorysta. W rzeczywistości bawiłem się znakomicie. Dwa, może trzy razy pomyślałem o Beatrycze. Kiedy dzisiaj usiłuję przypomnieć sobie, w jakich kategoriach myślałem o niej, z wielkim trudem mogę zrekonstruować mniej więcej to: Beatrycze kochała mnie; nadużywałem jej miłości. Ale może nie było to takie całkiem proste. Czy cofając się w przeszłość nie koloryzuję? Uświadamiam sobie, że wtedy wszystko wyglądało zbyt pięknie i że czerpiąc ze wszystkich możliwych przyjemności działałem jakby przeciwko zapewnieniu szczęścia. W pewnej chwili, kiedy tańczyłem z moją Szwedką, Franciszka zbliżyła się do mnie i powiedziała tylko: „To rozumiem. Tyle przynajmniej twój!” Te słowa były dla mnie odrażające. Powiedziałem już: wierzę w zasady moralne. Ale pesymistyczny obraz przyszłości, kompleks winy albo kalectwo uczuciowe, a może jakieś niejasne przeczucie zrodzone z mojego szaleństwa pchnęły mnie w tę namiastkę szczęścia ofiarowywaną mi przez melodię słuchaną z płyty, którą do dziś jeszcze słyszę, przez alkohol i jędrne piersi mojej Szwedki, a także przez niepokój zawarty w jej opowiadaniu o mężu, który codziennie odwoził ją samochodem do drzwi hotelu, gdzie mieszkał jej kochanek. Wszystko to było okropne, ale nie nudne. Może pewnego dnia Beatrycze przestanie mnie kochać: tak, tyle przynajmniej było mojego. Albo może przeżyjemy razem długie i śmiertelne lata, których szczęście zdławi mnie, i to znów będzie tyle mojego.

Ta skromna rozpusta nie wykraczała poza pewne ramy

Może w gruncie rzeczy nie należało się przejmować. Ani moralność sama w sobie, ani lekkomyślność nie są obciążające. Natomiast pomieszanie surowości ze słabością, czego byłem żalosnym przykładem, jest czymś wstrętnym. Miałem zbyt surowy stosunek do tego, co było we mnie słabe, i zbyt słaby do tego, co było we mnie nieugięte. Rozmyślałem nad tymi sprawami trochę cynicznie, a trochę z poczuciem winy. Nie byłem wielkim zbrodniarzem. W takich przypadkach lepiej nie udawać spryciarza.

Na drugi dzień rano Franciszka patrzyła na mnie z ironiczną czułością, którą u niej lubiłem. Pierwsza wyskoczyła z łóżka, żeby mi podać kawę; chciała zapewne pokazać, że i ona potrafi być mieszczką. Nie mówiła mi więcej o Beatrycze.

Beatrycze powitała mnie z tkliwą naiwnością. Kochała mnie, to jasne. „Świetnie, wszystko w porządku” - mówiłem sobie, a wahanie między boską i ziemską miłością sprawiało mi zadowolenie.

Nie wiem, czy Beatrycze coś podejrzewała. W ciągu kilku dni zamiast z nią, kochałem się z trzema innymi dziewczętami. Co jakiś czas wyobrażałem sobie, że wszystko mam wypisane na twarzy. Ale na twarzach nic nie jest wypisane. Natomiast według znanej zasady począwszy od trzydziestego roku życia każdy człowiek ma taką twarz, na jaką zasłużył. Według mnie występki upiększa i nie pozbawia twarzy świeżości. Naprawdę niszczy ją i zużywa cnota, podziwu godne poświęcenie i refleksja. Miałem poczucie winy, zgoda, ale nie opuszczała mnie równocześnie pogoda ducha. Beatrycze kochała mnie coraz mocniej. Pogoda była piękna. Życie i świat cały należały do mnie i oddawały się usłużnie, co nawet mnie wcale nie dziwiło.

Podczas obiadu, tym razem już w jednej z eleganckich trattorii (dziękuję ci, wujaszku) na Piazza Navona, zaproponowałem Beatrycze podróż po Włoszech. Miałem niesprecyzowaną ochotę ofiarować jej coś, aby wynagrodzić

to wszystko, o czym nie wiedziała. Poza tym lubiłem tę radość zapalającą się w jej oczach. A także miałem prawdopodobnie dosyć mojego skomplikowanego życia w Rzymie. Chciałem wszystko odzyskać i zanurzyć się w wielką oczyszczającą kąpiel. Beatrycze w Toskanii, Beatrycze w Umbrii, Beatrycze w Asyżu: wyprzedzając wypadki, widziałem już ozywiające się przed moimi oczami świetlne obrazy.

To, co się dzieje w sercu ludzkim, jest odrażające. Jeszcze dzisiaj zastanawiam się nad prawdziwymi motywami, jakie skłoniły mnie do zaproponowania Beatrycze podróży po Włoszech. Mówi się często, że tylko czyny się liczą, a dobre intencje nie są nic warte. Ale to nie prowadzi zbyt daleko: sam czyn jest dwuznaczny jak słowa. Niewykluczone, że doszedłem wtedy do przekonania, iż historia z Beatrycze trwa już wystarczająco długo i że należy ją zakończyć przy sztucznych ogniach Toskanii. Nie wykluczone też, że powiedziałem sobie, iż przyjemniej będzie posiąść tę białą gąskę w jednym z małych prowincjonalnych hoteli niż w Rzymie, którego uroki wyczerpaliśmy prawie do końca, całując się na schodach i pod pomnikami. Zdarza się bowiem, że ofiara właśnie w chwili skazywania jej na śmierć przeżywa najbardziej upojne szczęście. Ponieważ stosunki między ludźmi, wiemy to z doświadczeń, polegają na nieporozumieniu. Stąd rodzi się nieszczęśliwa miłość i uluda serca. Co proponowałem właściwie Beatrycze mówiąc: „Pojedziemy do Asyżu”? Prawdopodobnie oznajmiałem jej koniec naszej miłości, ponieważ w tej podróży miała należeć do mnie przed moim powrotem do Paryża, do moich rozrywek i do Franciszki. A ofiarę tych dwuznacznych oczarowań przeszywała wdzięczność i żar miłości.

Dlaczego prawie zawsze podróże łączą się z przeżyciami miłosnymi? Prawdopodobnie dlatego, że zrywamy z otaczającą nas powszedniością, z przyzwyczajeniem - wro-

giem gorących namiętności. Szczęście tak wyraźnie opowiadało Beatrycze, że sam doznałem prawie głębokiego wzruszenia. Zawahała się jednak: po'dróżowanie z mężczyzną wydawało się jej czymś nieprzyzwoitym. Podzielała te same mieszczkańskie przesady, których trzymają się rodzice, a które streszczają się w jednym zdaniu: miłość uprawia się po zachodzie słońca. Dopóki słońce stoi wysoko, nasze kochane głuptaski, proszę bardzo, mogą wyczytniać, co im się żywnie podoba. Od północy zaczyna krążyć niebezpieczeństwo, z wyjątkiem tych nieokreślonych nocy, kiedy odbywają się bale. Ale jest przyjęte raz na zawsze dla wygody wszystkich, że młoda dziewczyna nie ulega w południe.

Pokpiwałem trochę z Beatrycze. Tłumaczyłem jej, że noce w Perugii nie są bardziej niebezpieczne niż popołudnia w Rzymie. Zgodziła się dość szybko, bo miała na to ochotę. Sprawy ułożyły się bardzo korzystnie. Jedna z przyjaciółek Beatrycze wyjechała do Londynu, zostawiając jej małego Fiata. Wyruszyliśmy rano i tego samego dnia wieczorem byliśmy w Asyżu.

Miejsca, na których zaważyła historia, nie są nam obojętne. Rzym, Ateny, Toledo, Asyż posiadają specjalne walory. Nawet ignorantów oczarowują ich nazwy i zabytki, o których nic nie wiedzą. Bohaterowie i święci może po to tak bardzo cierpieli, ażeby w zetknięciu z ich wielką żarliwością bezbarwne uczucia nabierały blasku.

Ciała nasze były zmęczone, oczy mieliśmy pełne kościołów i spalonych łąk wzgórz. Po drodze skręcaliśmy do małych miast, znanych i mniej znanych. Ich kamienie, koty na ulicach, świeże wino w ciemnych trattoriach, do których słońce przenikało z trudem, nasz niepohamowany śmiech i oczarowanie zdobyły naszą włoską miłość. Na tych drogach, na placach, przed kościołami ja tylko wiedziałem, że owa miłość jest już zagrożona. Wysoko zawieszony Spoleto, Todi z prześlicznym placem, romańskie

kościół Bevagna, widok Umbrii ze wzgórza Montefalco górującego nad nią - był to dzień pełen słońca. Od czasu do czasu całowałem Beatrycze. Przytulała się do mnie. Mówiłem wtedy: „Pozwól mi prowadzić”. Pokazywałem jej jakiś zamek, ona sprawdzała na mapie. Myśle, że byliśmy szczęśliwi.

Ani Beatrycze, ani ja nie znaleźliśmy Asyżu. Gdy dotarliśmy do stóp miasta, powiedziałem, że tutaj miłość powinna nabrać miodowej barwy starych kamieni, wysokich domów i bazyliki. Do miasta wspinaliśmy się zakosami. Z hotelu Subario (dziękuję ci, Rozalino) roztaczał się widok na dolinę. Wzięliśmy dwa oddzielne pokoje i poszliśmy zjeść kolację, a potem przejść się po ulicach, po których chodzili także święty Franciszek i święta Klara.

Po powrocie do hotelu obawiałem się trochę niejasnej sytuacji. Ale tylko w powieściach i filmach dwa ciała muszą mieć pretekst, żeby opaść na tapczan. Beatrycze nie uciekała się ani do książki, którą chciała zabrać, ani do widoku doliny z okna. Powiedziała po prostu: „Zostań ze mną”.

Pocałowałem ją, gdy staliśmy przy oknie. Wyglądało to dziwnie, jasny księżyc oświetlał jej czystą twarz. Zastanawiałem się przez moment, czy zostanę u niej. Ale zabawa i miłość są jak śliskie stoki, na których trudno się zatrzymać. Zresztą chciałem tego i Beatrycze także chciała. Przypominam sobie, że wahałem się przez chwilę. Absolutnie nie umiałbym powiedzieć, czy dlatego, że miałem skrupuły, czy też po prostu nie pragnąłem jej tak bardzo. Spytałem, czy należała już do kogoś, nie stawiałem jej przedtem tego pytania. Potrząsnęła przecząco głową: >„Nie, nigdy przed tobą”.

Wzniosłe i wyświechtane części rytuału następowały bardzo szybko, jedno po drugim. Położyliśmy się na tapczanie. Pieściłem ją, a ona zamknęła oczy. Twarz miała bardzo gładką i jakby oświetloną od wewnątrz. Niezdar-

próbowałem ściągnąć z niej sweter i spódnicę. Otworzyła oczy i podniosła się z tapczanu.

- Zaczekaj - powiedziała uśmiechając się - tak będzie szybciej.

Mężczyźni są naprawdę podli. Pomyślałem, patrząc, jak się rozbiera, że z czasem może nabrać cech ulicznej dziewczyny.

Podeszła znów do mnie. Ująłem jej twarz w ręce. Poczulem ogromny przypływ czułości. Leżała naga pode mną z zamkniętymi oczami. Oparty na łokciach patrzyłem na nią długo. A potem kochaliśmy się.

Dłuższy czas leżeliśmy bez ruchu. Wreszcie wstałem. Za chwilę wróciłem z powrotem. Rzuciła się ku mnie.

- Nie chce mi się ruszać - powiedziała.

Wyobraziłem ją sobie przy moim boku przez całe życie. Pomyślałem o Franciszce i Rozalinie, a także o jędrnych piersiach mojej Szwedki. Beatrycze nie miała nic do porównania. Porównywanie jest rzeczą okropną. Pomyślałem, że nie miałbym ochoty na zawsze być zamknięty w miłości Beatrycze. Może przez moment uległem jeszcze wzruszeniu albo wyrzutom sumienia. Następnie przyrzekłem sobie nie poddawać się więcej głupiej tkliwości. Beatrycze będzie mnie przez to jeszcze mocniej kochać. Wyobrażała sobie nie wiem co. Ja nie pamiętałem już nawet San Giovanni a Porta Latina i spacerów po Rzymie. Ale ona pamiętała wszystko. Jej czas nie był rozrzucony jak mój w strzępach, których nie potrafiłem zebrać w całość: dla niej czas trwał, dla mnie przemijał.

Kiedy myślałem o miłości, nie o Beatrycze myślałem. Przespałem się z Rozaliną, żeby zdobyć pieniądze potrzebne na życie z Beatrycze. Teraz przyłapałem się na tym, że myślałem o hotelu Kwirynał: Rozaliną była wprawna w miłości. Nawet nie wiedziałem, co się z nią stało. Ale była jeszcze Franciszka. Pewnego wieczoru z Urbino, spokojnego i wytwornego miasta położonego na dwóch zboczach

i otoczonego, przepięknym pejzażem, zatelefonowałem do Franciszki. Śmiała się. Bawiła mnie. Miłość Beatrycze zaciążyła mi bardziej.

Czasem widok cyprysów, małych kościołów, mijanych wsi napawał nas szczęściem. Przejeżdżając przez jedną z takich wiosek, która nazywała się Borgo Pace i która (od tego czasu byłem tam jeszcze raz) naprawdę niczym się nie wyróżniała, pomyślałem, że może mógłbym być szczęśliwy. Wszystko w Beatrycze krzychało, że jest tego pewna. Ale moje szczęście - powiedziała mi to pewnego dnia ze smutkiem - płynęło z ciszy wieczoru i z koloru nieba, a nie z bliskości tej młodej kobiety, która jedynie odbierała promienne blaski melancholijnej włoskiej prowincji.

Dłużej zatrzymaliśmy się w Arezzo, przed sławnymi freskami Piero delia Francesca. Widzieliśmy Florencję i Sienę, wieże San Gimignano, które są jakby zapowiedzią Nowego Jorku, stare kościoły Toskanii, mały plac w Pienza, gdzie mówiłem Beatrycze o architekcie Rossellino i o Éneaszu Sylwiuszu Piccolomini, późniejszym papieżu Piusie II, którego imię tak mi się spodobało. Spaliśmy w Montepulciano. Ale mimo prośby Beatrycze wziąłem dwa pokoje. Czulość zdecydowanie mi ciążyła. Chciałem być sam otwierając rano okiennice, patrzeć spokojnie na rozległą dolinę. Kochając się z Beatrycze wieczorem, widziałem w jej oczach cichy wyrzut, który mnie zabolął. Potem nastąpił powrót do Rzymu.

Franciszka przyjęła mnie wybuchem wspaniałego śmiechu. Była wesoła i przyjemnie pachniała. Powiedziała mi ze śmiechem, że pójdzie ze mną do łóżka, jeśli przyrzeknę, że nie kocham już Beatrycze. Wymamrotałem: „Nie kocham już Beatrycze”; dotrzymała przyrzeczenia.



Wszystko to było niedorzeczne, okrutne i trochę podłe. A po Rzymie nastąpił Paryż. Miłość studentów, malarzy, drobnych mieszczan przybiera we współczesnym życiu rozmiary, jakich nie znała, zaledwie przed stu laty, miłość wielkich panów i możnych tego świata. W 1830 roku największe namiętności nie wykraczały poza ramy prowincjonalnego miasteczka. Dzisiaj, dzięki wojnom, podróżom Cooka, kataklizmom najskromniejsi ludzie kochają się łącząc z tym nowoczesny komfort, wymianę krajów i kontynentów. Nie ma ekspedientki, która nie wypuściłaby się po jeziora włoskie, i małego urzędnika, który nie podążyłby do Hiszpanii; Murzyni z Missisipi żenią się z Niemkami, a miłość współczesna stała się jakby miłością geograficzną.

Do Paryża wróciliśmy, Franciszka, Beatrycze i ja, w odstępach kilkudniowych. Podróżujący, chociaż uważają, że nie są niczym skrepowani, przestrzegają jednak pewnych zasad jak węgorze w okresie godowym albo melony w czasie dojrzewania. Miesiąc październik jest smutny. To poniedziałek roku.

Franciszka i Beatrycze prawie się zaprzyjaźniły. Ich przyjaźń z początku mnie irytowała. Nie miałem zaufania do tego, co sobie opowiadały. Dziel i rządź - to słuszna zasada w sprawach serca. Przypominam sobie początek naszej znajomości w Rzymie, kiedy denerwował mnie nawet fakt, że Beatrycze posiada rodzinę. Domyślałem się oczywiście, że nie jest sama na świecie; wolałem jednak wyobrazić ją sobie odseparowaną od wszystkich i w jej zasięgu chciałem być jedyny. Ponadto wpływ Franciszki na Beatrycze, mówiłem sobie, z pewnością nie mógł być korzystny. Nie wiem zresztą, czy myślałem całkiem bezinteresownie. Może bałem się dla niej zepsucia, ale i tego, że Franciszka będzie ją przede mną ostrzegać i buntować. Ale z Franciszką nic nigdy nie było wiadomo. Z tych niebezpiecznych skojarzeń coś musi się jednak wyłonić: z k<sup>1</sup>

między ludźmi zawsze są niebezpieczne. Bardzo mi dogadzał ów rodzaj zagrożenia. W tym przypadku bawiłem się bez ryzyka, gdyż Beatrycze nie przyprawiała mnie o drżenie ze strachu. Tylko wówczas, kiedy partnerzy są groźniejsi, niż była dla mnie Beatrycze, spojrzenia, rozmowy, przyjaźnie budzą prawdziwy niepokój i udrękę w niejasnym przewidywaniu zagrażającej przyszłości.

Jeden z trzech Włochów, Riccardo, przyjechał do nas do Francji. Został mianowany korespondentem paryskim dziennika mediolańskiego. Był to chłopak jasnowłosy, bardzo spokojny, słowa francuskie wymawiał z sykiem. Często pojawiał się na jego twarzy wyraz smutku. Pięknie grał na akordeonie i kochał kobiety z żarliwym uporem, prawie z rozpaczą, ale ponieważ był przystojny, miał także powodzenie. Zdaję sobie sprawę, że opisy osób nie mają żadnego znaczenia. Czytelnik, jak sądzę, nie wyobraża sobie na ich podstawie Franciszki, Beatrycze, mnie samego i młodych Włochów. Ale sposób ich bycia, ich reakcje, a także wasze własne marzenia, wspomnienia i nadzieje również budują po trochu niepewne i chwiejne obrazy, zapewne niezgodne z sobą, ale mogące służyć za podporę tym nic nie znaczącym i okropnym wydarzeniom, jakimi są: miłość, oczekiwanie, rozpacz. Wy też, w pewnym sensie, piszecie moją historię. I nie tylko postaci Franciszki, Beatrycze, mojej osoby nie są odbiciem fotograficznym. Także mylące są tutaj uczucia i myśli, owe znane z tragedii klasycznych i z powieści historycznych sprężyny duszy. Najpierw dlatego, że wyzbyci jesteśmy idei i uczuć, że żyjemy byle jak, poddani porywom, które pchają nas w stronę przyjemnych doznań i namiętności, wyzbywamy się także tych solidnych pasów ratunkowych, które służą przeznaczeniu, a w szkołach wypracowaniom francuskim: obowiązek, Bóg i ojczyzna; następnie dlatego, że od dobrych czasów analizy psychologicznej wszystko stoi w miejscu, a w każdym razie nie wierzymy już tak

mocno w subtelne światło, jakie na zawikłany krąg świadomości rzucił badacz duszy ludzkiej. Dzisiaj widzimy już tylko gesty i słowa, czyny, które nie wiadomo skąd się biorą i w dodatku dziwi nas, że one mogłyby decydować o losie. A jednak w istocie tak się dzieje.

Chcę przez to wszystko powiedzieć, że utworzyliśmy małą gromadkę: Franciszka, Beatrycze, nasz Włoch i ja. Nie byłem zbyt zazdrosny o Riccarda. Oczywiście czasem spotykał się sam z Franciszką. Nawet w dalszym ciągu podejrzewałem, że śpią ze sobą. Ale wszystko to nie było zbyt groźne: jakieś tajemne przeczucie mówiło mi, że Franciszka woli mnie. Te tajemne przeczucia są naturalnie błędne. Ale ważne jest w nie wierzyć. Nie cierpiałem z powodu Riccarda. W naszej gromadce bawiłem się znakomicie. Stworzyliśmy coś w rodzaju własnego systemu porozumienia i języka, które nas solidnie łączyły: mieliśmy własny sposób dowcipkowania, siedzibę naszej „głównej kwatery”, nasze sympatie i antypatie. Spotykaliśmy się cztery czy pięć razy w tygodniu. Lubiliśmy się. Znajomi spotykając nas mówili: „O, to ta banda!” Czasem dołączała do nas Helena, dziewczyna, którą pocałowałem pewnego wieczoru w teatrze. Odgrywała jakby rolę owego kamienia, który jest świadectwem czasu, narastających warstw ziemi i kultur, glinianych wykopalisk, wpływających lat, uczuć ludzkich. Czasem całowałem ją jeszcze: był to uczuciowy zegar, rodzaj klepsydry serca. Przez jej obecność upływał czas: na jej ustach czułem mijanie miesięcy i lat. Prowadzała też za sobą brata, Rogera. Był to chłopiec niesłychanie wytworny. Nosił niebieskie ubranie, żywił ambicję urzędnika państwowego. Po gabinetach ministrów roznosił poczucie obowiązku i państwowości, mało dostrzegalne pod udawanym cynizmem. Trzymał się na uboczu naszej gromadki. Pokpiwaliśmy trochę z niego. Nie przywiązywałem do jego osoby żadnego znaczenia.

Zachowywał się nienagannie - to wszystko, co mogliśmy Onim powiedzieć.

Wieczorami włóczyliśmy się po ulicach. Byliśmy jeszcze bardzo młodzi. Uporczywie dążyłem do zaprzepaszczenia mojego życia. Błądziliśmy od baru do baru, nasze ulubione melodie rozbrzmiewały w szafach grających i godzinami nieporuszeni słuchaliśmy „Kochanków jednego dnia” albo „Muzycznej przesłanki”. Wysyłaliśmy do siebie zabawne i wyświechtane sekretne sygnały porozumienia, brzmiące rozkosznie i zawsze dwuznacznie.

Rzym tonął w słońcu. Paryż tych dni miał dla mnie kolor neonów. Widzę jeszcze Franciszkę, Beatrycze, Riccarda, Helene, Rogera na czerwonych obiciach kanap albo pochylonych nad maszynami, z których wychodziły niebiańskie i piekielne tony, i ciągle te same słowa zasilały nasze marzenia: „Przyszło tych dwoje trzymając się za ręce...” albo „Tym gorzej dla zakochanych; już nic nie mają sobie do powiedzenia; tak dla nich jest najlepiej”. Niemądre to i pospolite, jak mówią dystyngowani. Dla nas było to cudowną mitologią naszej straconej młodości.

Miłość Beatrycze schlebiała mi i jednocześnie denerwowała mnie. Czy fakt, że spaliśmy z sobą, dawał jej prawa do mnie? Jej błagalne spojrzenia, dzielące nas od reszty towarzystwa, prawie mnie krępowały. W takich chwilach Franciszka wstawiała mówiąc: „Wychodzimy, zostawiamy was. Do widzenia, zakochani...” Helena, Roger, Riccardo podążali za nią; było to naturalne i wstrętne. „Poczekajcie - wołałem prawie krzyżąc - gdzie idziecie?” „Bawić się” - odpowiadała Franciszka. Tamci uśmiechali się. Przez długie godziny będą się wałęsać, będą słuchać płyt, spotykać kumpli, pić kawę wspominając Rzym, a przede wszystkim będą się śmiać, tańczyć, czekając, aż się coś ciekawego zdarzy. Ale ja nie miałem już na co czekać: Beatrycze wszystko zabarykadowała. Nienawidziłem jej przeto.

Była wspaniała, cudowna, kiedy spędzaliśmy czas sami, to pewne. A następnego dnia Franciszka, przybierając umyślnie ton marzycielski, mówiła: „Ale ty masz jednak szczęście, ach! Lowelas! Don Juan, Romeo...” Tak, Beatrycze była wspaniała. I o co mi właściwie chodziło: ona mnie kochała. Miałem oczywiście świadomość mojej nikczemności i okrucieństwa. Ale dusiłem się w tej sytuacji. Ledwo wyszli nasi przyjaciele, odwracałem się do Beatrycze: „No, co teraz robimy?” Obejmowała mnie ramionami za szyję. „Co chcesz” - mówiła. Czy była ładna? - chyba tak, z pewnością. Ludzie patrzyli na nią. Ja chciałem iść do tamtych. Czasem łni się udawało. Ciągnąłem za sobą Beatrycze i po dwóch godzinach odnajdowaliśmy naszą gromadkę w jakiejś kawiarni. Potem próbowałem zostawić Beatrycze z Rogerem albo z Riccardem, a sam rozmawiałem z Franciszką. Śmiała się całując mnie od niechcenia. Kiedy znowu zwracałem się do Beatrycze, patrzyła smutnym wzrokiem i nie znośliem jej, ponieważ byłem dla niej okrutny.

Wspomnienie tych zachwycających i pochmurnych nocy jest dla mnie dzisiaj rozdzierające. Ciągłe powtarzam sobie... Pewnego wieczoru zdecydowałem, że jestem zakochany we Franciszce. Ceremonialnie zatelefonowałem do niej. Spotkałem się z nią i wyjaśniłem stan mojego podniecenia. Oczywiście zaczęła się śmiać. „A Beatrycze?” - spytała. Beatrycze i Beatrycze, wszyscy mi ją przyczepiają i wpychają w ręce. Do licha z Beatrycze! „Porozmawiam z nią” - wybuchnąłem. Franciszka podniosła rękę do góry: „Jak sobie życzysz.” — powiedziała.

W jednej chwili zobaczyłem moją przyszłość. Ja szalenie zakochany we Franciszce, ona we mnie z umiarem, a w każdym razie w swój ironiczno-drwiący sposób, pozostawiając mi dużo swobody. Beatrycze kocha mnie mocno w dalszym ciągu i to mi ciąży. Rzuciłem się do nóg Franciszki. Była to prawdziwa scena z marnego filmu.

Dlaczego mnie nie kocha? Od tak dawna żyjemy blisko siebie. Niech się to wreszcie skończy. Odtąd będziemy żyć razem: jesteśmy dla siebie stworzeni. A Beatrycze?

Z Beatrycze spotkałem się następnego dnia w bistro, na brzegu Sekwany. Powietrze było już chłodne. Nadeszła zima. Miałem nieugięte postanowienie, ale w głębi czułem wielką łagodność. To było podłe. Beatrycze wyglądała bardzo spokojnie, tylko jej oczy stały się jak gdyby większe. Z próżnym okrucieństwem czekałem na objawy rozpaczy. Uraziło mnie z pewnością, że nie zobaczyłem jej zalanej łzami. „Znakomicie nad sobą panuje” - pomyślałem. Męska podłość nie ma granic; moja własna dziwi mnie ciągle.

Powiedziałem jej, że nie jesteśmy dla siebie stworzeni, że moją życiową pasją jest niezależność, że nigdy się z nią nie ożenię. Słuchała. „Kochasz Franciszkę?” - spytała. Przez chwilę wahałem się. Nie odpowiedziałem ani tak, ani nie.

- Wiesz co — powiedziała Beatrycze - nie proszę cię, żebyś się ze mną ożenił. Proszę cię, żebyś pozwolił mi spotykać się z tobą.

Odpowiedziałem, że nie chcę jeszcze bardziej jej unieszczęśliwiać i że nie mogę się zgodzić. I znowu nie wiem, czy rzeczywiście chciałem jej zaoszczędzić przykrości, czy się jej pozbyć.

Zapanowało długie milczenie. Zachowywałem się jak kat, który chce zadać jak najmniej bólu. Powiedziałem sobie: należy uderzać szybko i mocno; a potem ogarnęła mnie litość i powstrzymałem rękę. Uczucia nie są sprawami, które są lub których nie ma. Pisząc: „ogarnęła mnie litość” stwierdzam oczywiście zaistniałą rzeczywistość. Ale równocześnie zastanawiam się, czy te słowa tłumaczą całą rzeczywistość. Niczego nie chcę zatajać, ale doprawdy nie wiem już sam. Lubiłem Beatrycze. Lubiłem jej towarzystwo, jeżeli nie odmawiała mi tych przyjemności, na których najbardziej mi zależało. Prawie nie rozstawaliśmy

się od długich tygodni i miesięcy. „Brała mnie litość...” Zdaje się, że to Benjamin Constant napisał zdanie, które bardzo mnie poruszyło. „Bowiem takie jest dziwactwo naszych nieszczęsnych serc, że opuszczamy tych, przy których pędziliśmy życie bez przyjemności, z potwornym rozdarciem”. Kto wie, może po prostu w momencie rozstania zapragnąłem zatrzymać ją jeszcze dla siebie?

Właśnie dokładnie to zarzuciła mi Franciszka, ponieważ opowiedziałem jej wszystko, Beatrycze też jej wszystko opowiedziała. Stosunki między ludźmi, którym z jednej strony towarzyszą śmieszne plotki tak zwanego eleganckiego świata, z drugiej zaś wielkie konfidencje, na miarę tych z tragedii klasycznych, sięją w sercach spustoszenie. W tego rodzaju poczynaniach Franciszka osiągnęła prawie geniusz. Ciągle jeszcze dobrze nie rozumiem, co ją do tego skłaniało. Potrzeba przewagi nad Beatrycze? Od tej strony powinna była czuć się całkowicie spokojna. Poza tym, sądzę, że lubiła ją w pewnym sensie. A więc pragnienie wyrwania Beatrycze spod mojego wpływu? Po przypisaniu jej nadmiaru niegodziwości ta hipoteza wydaje się nadmiarem zaszczytu. Troska o szczęście innych nie przyprawiła Franciszki o bezsenność. Tak czy inaczej, ciągle jeszcze nie wyglądała na zadowoloną. „Zobaczysz się z nią znowu - powiedziała - napiszesz do niej, wszystko rozpocznie się od nowa...” Zaprzeczyłem, ciesząc się potajemnie. Wreszcie może wzbudziłem w niej zazdrość?

We wczesnej młodości dziwił mnie zawsze skomplikowany węzeł ludzkich uczuć. Wydawało mi się, że kochać lub nie kochać jest czymś prostym, i zastanawiałem się, skąd wypływa ów rwący potok, gdzie powstają owe niszczycielskie przepaści ludzkiego losu. Teraz stopniowo pojmowałem, jak rodzi się niepewność, ten rozdzierający ból, tak często związany z przypadkiem, z przeciwstawnymi namiętnościami, z pomieszaniem i ciągłą zmianą w uczuciach. Dla ludzi, jak my żyjących trochę od przypadku do

przypadku, najłżejszy gest mógł być niebezpieczny, jeśli serce naiwnie mu uwierzyło. Po prawdziwej nienawiści, jaką żywiłem czasem do Beatrycze, potem miałem dla niej ogromną litość. Szanowałem ją. Sprężyny działania Franciszki, Riccarda i moje były podejrzanego. W tym, co robiła Beatrycze, nie było nic podejrzanego. Pewnego dnia powiedziałem Franciszce, że bardzo szanuję Beatrycze. Rozesmiała mi się w nos. „Oto uczucie, którego nie chciałabym budzić”.

Spotkałem się z Beatrycze. Może dla przyjemności albo z powodu słabego charakteru, przez zwykłą potrzebę albo przez złośliwość? Prawdopodobnie dlatego, że chciałem mieć sposób oddziaływania na Franciszkę. Beatrycze nie płakała. Spacerowaliśmy wieczorami nad brzegiem Sekwany, czasem trzymając się za ręce. Wyglądała to melancholijnie.

Podczas jednego z takich spacerów milczeliśmy dłuższą chwilę zatopieni we mgle. Może już wtedy wiedziałem, że robię głupstwo, że sam wszystko psuję. I nagle Beatrycze zaczęła mówić.

- Wiesz co? Zaleca się do mnie wielu mężczyzn.

Zabrzmiało to dziecinnie. Inne znajome dziewczęta flirtowały albo się oddawały, ale żadna nie powiedziałaaby, że ktoś się do niej „zaleca”. Wymamrotałem, że nie dziwię się, gdyż jest naprawdę czarująca, i że...

- Mówię ci to - ciągnęła dalej Beatrycze - ponieważ po tym, co mi powiedziałeś, czasem nie mogę się oprzeć.

W tym momencie poczułem ulgę. Po prostu szantażowała mnie. Było to naiwne, ale bardzo typowe. Próbowwała wzniecić moją zazdrość. To, co ja robiłem w stosunku do Franciszki, Beatrycze robiła w stosunku do mnie. To było żalosne. Zacząłem się śmiać i otoczyłem ją ramieniem, chcąc chronić przed życiem zbyt ciężkim dla niej. Jakby się pogniewała, że ją odgadłem. Milczała.

Doszliśmy pod most Alma. U stóp tego pluskającego się



w wodzie Żuława kończyła się moja młodość. Staliśmy, patrząc na siebie niewidzącymi oczyma. „Na pewno cierpi” - pomyślałem. Miałem prawie łzy w oczach. - Czy pamiętasz Trinita degli Monti? - zapytała. Tak, pamiętałem, pamiętałem prostopadle padające słońce i bezsensowne nadzieje. Pomyślałem: „To były Włochy” - i wiedząc, że kłamię, powiedziałem cicho:

- Będę pamiętał o tym całe życie.

Teraz ja odczułem ból. Pomyślałem, że to z powodu mego kłamstwa. I nieco drżącym głosem dorzuciłem:

- Wszystko to moja wina, Beatrycze.

Kiedy tak mówiłem, wypełniła mnie duma i podła pycha, ponieważ naprawdę wszystko było z mojej winy.

- Tak, twoja wina — odpowiedziała Beatrycze.

Słyszę te słowa, jakbym ciągle jeszcze stał pod mostem Alma, pod uważnym i nieruchomym wzrokiem Żuława.

Przed oczami, jak w chwili śmierci, przesuwały mi się obrazy tej części mojego życia, które mieszało się z życiem Beatrycze: kwiaty na placu Hiszpańskim, Święta Maria na Zatybrzu, trattoria San Vicente, ulice bez trotuarów, piazza Navona, San Giovanni a Porta Latina z drzewem cedrowym wyrastającym ze studni, z wysoką dzwonnica i wszystkimi jej kolumnkami; widziałem nas na placu w Pienza, naprzeciw kościołów Bevagni, przy oknie pokoju w hotelu Subasio w Asyżu, gdy pocałowałem ją i już wówczas zastanawiałem się, czy naprawdę ją kocham, a ona niczego nie rozumiała. Były to rozdierające wspomnienia. Powtarzałem sobie: to były Włochy. Zalewało mnie ogromne słońce. A tutaj mgliste i zabłocone nadbrzeża Sekwany; przez ułamek sekundy zmienny, niemądry, płochy, nieuchwytny, zdało mi się, że kocham Beatrycze, że działałem w zaślepieniu, że zawołałem, że kocham ją, a ona rzuci się w moje ramiona i odtąd świat cały będzie cudowny na zawsze. Stała przy mnie. Czekwała.

Czy jest możliwe, czy jest dozwolone, żeby w ten sposób

całe życie ludzkie, wszystek los ludzki zależny był od jednej chwili milczenia albo od paru słów? I ciągle powtarzam sobie: Ależ nie! Tam to było słońce. Umilkłem. Przyglądałem się Beatrycze.

Patrzyła na mnie długo; stała nieporuszona. Czuliśmy, jak czas upływa. Mijanie czasu jest czymś okropnym. A potem wyciągnęła rękę i powiedziała dwa słowa: „Żegnaj więc”. Odpowiedziałem: „Żegnaj, Beatrycze”... Trochę było w tym gry. Upajało mnie przeżywanie rozpacz. Nie chciałem jednak zastanawiać się, czy czuję ją naprawdę, czy nie. Przyglądałem się naszemu życiu, przyglądałem się, jak umiera miłość. Kretyn: pewnie uważałem, że będzie w dobrym stylu rozstać się na brzegach Sekwany.

Ona odeszła pierwsza. Ja zostałem. Nieokreślone obrazy szybko przebiegały mi przez głowę. Szedłem jakiś czas wzdłuż Sekwany. Przepelniały mnie puste myśli. A potem poszedłem słuchać płyt i pić whisky.

„Czy wiesz, że Beatrycze sypia teraz z Riccardem?” Prawdę wyrażają tylko oklepane frazesy: słowa weszły we mnie \ jak rozżarzone żelazo. Noc spędziłem u Franciszki. Po- przedniego wieczoru, po kinie, spotkaliśmy się z przyjaciółmi w jednym z małych lokali na Montparnasse. Zjadłem z Franciszką śniadanie, czytając wspólnie z nią gazetę zawierającą jak zwykle interesujące i głupie artykuły. Franciszka z lubością zatopiła zęby w kromce chleba. Patrząc na niebo, wsunęła mi palce we włosy, a potem niedbałym tonem powiedziała, że Beatrycze... Wypadki nigdy nie są całkowicie nieprzewidziane. Jeśli się zdarzają, znaczy to, że część niezbędnych warunków już wcześniej została spełniona. Beatrycze uprzedzając mnie posunęła się za daleko. Ale trudno wyobrazić sobie to, co jeszcze nie nastąpiło. Wojny, zniszczenia, katastrofy zaskakują tylko głupców i zaślepionych. Lecz jeśli wydarzenie już się stało, jeśli nieodwracalne nadeszło, wówczas to, co było niejasnym przewidywaniem hipotetycznej przyszłości, uderza z niczym nie porównaną brutalnością i ujawnia bezpośrednią oczywistość. Czas staje w miejscu. W kształcie rozżarzonej kuli toczy się wokół paru słów skupiających cały ból i całą rzeczywistość świata. Piekielna maszyna może zacząć działać. Owe słowa tak proste, oznajmiające śmierć jakiejś istoty albo miłości, są obarczone znaczeniem, które smutek i rozpacz drążą do głębi. Ogromny przyływ nie kończących się pytań wylania się z tego zatrzymanego czasu, obciążonego cierpieniem i ciągle hamowanymi łzami. Chcą one za wszelką cenę przebić cienką błonę chwilowego osłupienia, a także przezorność, która rozpaczliwie stawia ostateczny opór ich natarciu; ponieważ ofiara tego spisku wie, że odpowiedź sprawi ból. Ale jeśli nie umrzemy, jeśli przetrwamy te słowa, które zadają więcej cierpienia niż cokolwiek innego, wówczas chęć poznania ich znaczenia staje się silniejsza od wszelkiego rozsądku. Wymierzony cios, który zatrzymuje czas jakby

w bolesnej ekstazie unicestwiającej wszechświat na sekundy, minuty - i niestety, na całe lata! - zostawiającej przy życiu tylko okropności i zło - odzyskuje wreszcie swój sens w pytaniach bez końca: dlaczego i po co, a otrzymana odpowiedź przedłuża cierpienie. Niewinne zdanie Franciszki wyrwało mnie z obojętności, wprowadzając w świat pytań, od których zależeć miał mój los. Ledwie ucichł jego dźwięk w moich uszach, gdy pomyślałem, że żyjemy wszyscy w świecie skazującym na śmierć i że dla mnie był to koniec odroczenia, z jakiego korzystałem dzięki mojej obojętności i beztrójce życia. Od razu zacząłem sobie wyrzucać, że jeśli to, co powiedziała Franciszka, jest prawdą - jak mogłem tego nie przewidzieć! Ale owszem, przewidziałem. Dlaczego nie miałbym przewidzieć? - wszystko na zawsze przepadło. Kiedy uprzytomniłem sobie, że cierpię, zrozumiałem, że kocham Beatrycze. Dziś wydaje mi się, że natychmiast pojąłem, nie mając odwagi przyznać się przed sobą, że ta miłość i to cierpienie trwać będą bez końca.

Jeśli miłość pretenduje do wiecznej trwałości, to z kolei cierpienie nigdy jakoby nie słabnie. Człowiek żyje, ponieważ nie wierzy w upływający czas. Dlatego wielkie rozczarowania i wielkie nadzieje powstają poza czasem. Życie, w szczególności życie nieszczęśliwe, spragnione jest paradoksem: tak na przykład, gdy komuś cierpiącemu moralnie z przyczyn raczej urojonych zapowiemy, że jego cierpienie zbliża się ku końcowi, dozna on wówczas niewielkiej pociechy: ponieważ zależy mu na jego cierpieniu. To, co tu powiedziałem, dotyczy oczywiście tylko szczególnego rodzaju zmartwienia, jakie spadło na mnie tamtego ranka, gdy byłem z Franciszką, a mianowicie - może określenie jest śmieszne, ale w końcu trzeba je nazwać - zmartwienia miłosnego. Głód, niedostatek, ból fizyczny wygasają, kiedy kończy się czas ich próby. Odwrotnie jest z cierpieniem, które wiąże nas z jakąś ludzką istotą. Sami

dążymy do przedłużania go w nieskończoność, ponieważ ten ból, który budzi naszą odrzę, jest ową małą częścią kochanej istoty. I wolimy znosić męki niż zapomnieć, ponieważ w chwili gdy cierpimy, najgorszym z cierpień wydaje nam się zapomnienie.

Osoba dotknięta tak jak ja niespodziewanym cierpieniem, chociaż było ono do przewidzenia, szuka wyjścia z tej przytłaczającej sytuacji, w której wszystko jest poza mykane. Chce przestać cierpieć, ale nie chce zapomnieć. Chce wiedzieć, ale wszystko, czego się dowiaduje, zasila wyobraźnię przygotowując o jeszcze większe cierpienie. Jak gracz, gdy przegrywając wpada w złość, jak człowiek dowodzący czegoś rzuca się z pięściami, gdy nie znajduje argumentów, tak ja szukałem rozpadliny, przez którą mógłbym uciec z tego koszmarnego muru nieubłagania zamykającego nade mną rozpacz. Najprostsza, najszybsza i najbardziej odświeżająca, ponieważ mogła w końcu wszystko uratować, była myśl: „To nieprawda”.

Przerażające jest stwierdzenie - a przyszłość miała mi dać sto innych przykładów tej zdumiewającej skłonności - jak dalece myślimy to, co nam odpowiada. Od razu znalazłem ogromną ilość przyczyn, aby to, co powiedziała Franciszka, nie odzwierciedlało rzeczywistości: myliła się, Riccardo się przechwalał, żartowała, zmyślała. Motywy, dla których miałaby zmyślać, nie były przejrzyste: w momentach gwałtownych napięć myśl jest zaciemniona. W jakimś przeblasku pomyślałem, że Franciszka chce odsunąć mnie od Beatrycze; gdyby zaś to samo oznajmiła mi Beatrycze, pomyślałbym oczywiście, że chce mnie w ten sposób do siebie przyciągnąć. Sprzeczne rozumowanie właściwe jest uczuciom, a nade wszystko uczuciom miłosnym. I właśnie na sprzecznościach oparte są ich psychologiczne motywacje.

Zresztą każde uczucie zabarwia sprzecznością zachowanie i rozumowanie. Duch klanowości, patriotyzm, wia-

ra, wszelkiego rodzaju wierzenia żywią się tym, co przeciwnicy uznają za obłudę. Wystarczy jednak popatrzeć na przeciętnego człowieka, pochwyconego przez miłosną albo jakąkolwiek inną namiętność, aby się przekonać, że owa domniemana obłuda staje się samą esencją jego życia i nie od niego zależy wybór: czy przezwycięży ją, czy odda się jej. Frazesem jest twierdzenie, że prawdę posiadają natury wyzbyte wszelkiej pasji. Ale czyż osiągnięty wówczas obiektywizm nie jest samą obojętnością? Cała potęga namiętności - stronnicej, niesprawiedliwej, deformującej - kryje się w tym, że nadaje ona sens światu, czego prawda - naga, drżąca, absolutnie obojętna - nie zdoła dokonać. Bardzo wyraźnie przypominam sobie, że w momencie kiedy nagle wdarło się w moje życie cierpienie, świat wokół mnie organizował się bardzo solidnie - ale organizował się w bólu.

Abym mógł uniknąć cierpienia, to, co powiedziała Franciszka, musiałoby być nieprawdą. Należało więc, skacząc w przepaść, zapytać Franciszkę. Ale tu nasuwało się z całą wyrazistością pytanie wstępne, które powinienem był postawić raczej sobie niż Franciszce. Formułuję je z wielkim zażenowaniem. Samo zresztą się narzuca: dlaczego cierpiałem, skoro tak łatwo odrzuciłem miłość ofiarowywaną mi przez Beatrycze?

W opowiadanych historiach, zmyślonych bądź prawdziwych, autentyczność tego, co się w nich dzieje, związana jest subtelnymi i tajemniczymi więzami ze specyfiką indywidualnego charakteru osoby opowiadającej. Najbardziej nieprawdopodobne, niemożliwe wypadki i sytuacje, w myśli jednak dopuszczalne, wywodzą się więc z tej lub innej ukrytej wady, z tej lub innej ułomności albo mówiąc prościej z dziwactwa, z tej cechy szczególnej. W końcu wszystko jest możliwe, poczynwszy od drobnych wydarzeń po wielką politykę, wszystko, co dzieje się w tej zdumiewającej dziedzinie, jaką jest życie, gdzie każdy z nas wchodzi

skromnie i z przepychem przez drzwi doświadczeń i codziennych, a zawsze jednakowo wstrząsających przeżyć, wszystko w tym życiu pełnym namiętności, zasobów umysłu i serca jest nagłe, nieprzewidziane, a po fakcie okazuje się jednak przewidziane i logiczne. Co do mnie, mówiąc jednym zdaniem, lubię to, czego nie posiadam. Leży to w moim charakterze i jestem na to skazany. Ale w pewnym sensie ratuje mnie od nudnego uczucia samozadowolenia.

Dużo później, gdy te wypadki nie sprawiały mi już tak i żywego bólu, kiedy o nich rozmyślałem, przypominałem sobie potrzebę zatrzymania Franciszki dla siebie, jaka I mnie ogarnęła w dorożce przed Koloseum w Rzymie. Przykład z Franciszką, którą kochałem w sposób umiarkowany, powinien być mi ostrzeżeniem. Pchnęła mnie ku niej pewna forma zazdrości. Słowo zazdrość z pewnością nie oddaje tego, co chcę powiedzieć. Miałem wrażenie, że oparcie w niepewnym świecie, z jakiego korzystałem, nagle się rozleciało. Tylko miłość istoty żyjącej mogła mu przywrócić równowagę. Moja żarliwa niezależność, zmuszająca do odrzucenia wszystkich więzów miłości, łączyła się we mnie z niepohamowaną potrzebą świadomości, że jestem kochany. Nie jestem daleki od tego, aby sądzić, że każdy ma w sobie tego rodzaju sprzeczności. Tylko wypadki kierujące życiem rozwijają różne skłonności, wpływają na odmienną dążeń. Można powiedzieć, że w pewnym sensie wszystkie wady, pragnienia, słabości, wszelkiego rodzaju pasje kielkują w każdym z nas od początku. Dlatego czytając jakąś powieść, wszyscy na ogół rozumieją, o co w niej chodzi. I tylko okoliczności, jakie stwarzają życie społeczne czy indywidualne, otwarte lub ukryte, tkają ze wszystkich tych nici wątki charakteru i historii osobistej.

Przypomniałem sobie później sprawę kryminalną, która mną wstrząsnęła. Chodziło, o ile dobrze pamiętam, o młodą osobę nazwiskiem Paulina Dubuisson. Kochał się w niej

pewien chłopiec. Najpierw oddała mu się, potem go odrzuciła. A on w dalszym ciągu był jej wierny. Aż wreszcie któregoś dnia, zmęczony nieodwzajemnioną miłością, pojechał do odległego miasta, gdzie spotkał inną dziewczynę; i zaręczył się z nią. Paulina Dubuisson przemierzyła pociągiem całą Francję i zabiła chłopca. Cały wysiłek obrony skupił się na jednym: dowieść, że Paulina Dubuisson tej dramatycznej nocy ponownie została kochanką ofiary. Zabójstwo popełnione z żarliwej namiętności znalazło więc pozorne usprawiedliwienie. Ale nie to jest najważniejsze. W tej przykładowej zbrodni uwidoczniła się owa nigdy nie wyczerpana siła, która zmusza do dalekiej podróży i pociągnięcia za cyngiel, co w końcu znaczy, że poza ciałem i wolą działa umysł, serce, a może i dusza.

Myślałem o tym o wiele później. Na razie miałem tyłka chaos w głowie. Pod wzrokiem Franciszki starałem się z największym wysiłkiem zachować pozory zimnej krwi. Mówiłem, co mi ślina na język przyniosła, mechanicznie usiłowałem „zebrać myśli” w rozdygotanym ciele.

Kryzysy małe lub duże, indywidualne lub zbiorowe, zmuszają w końcu ludzi do zastanowienia. Zatrzymuje ich nagle przeszkoda na drodze, po której idą ślepo, jak osły czy wielbłądy, które widuje się jeszcze z klapkami na oczach zaprzęgnięte do żaren mielących ziarno albo tłoczących oliwę. Tak płynie nasze życie: od kina do biura, od Akademii Wojskowej do Panteonu, od alei Jerzego V do Biblioteki Narodowej. Dlatego miłość, a zwłaszcza miłość nieszczęśliwa, odgrywa równie dużą rolę w naszych dobrze zabezpieczonych cywilizacjach, w których rzadko umiera się z głodu, gdzie składa się z powrotem połamane ręce, operuje się nerki, gdzie działają ubezpieczenia, ponieważ tylko ona może zaproszyć morderczym ziarenkiem piasku nasze doskonałe mechanizmy działające w nudzie i monotonii. Skoro nie ma już wojny, należy wymyślić coś, co dostarczy innego cierpienia. Widocznie cierpienie jak



chleb potrzebne jest człowiekowi. Beatrycze w jednej chwili stała się w moim życiu czymś niewiarygodnie ważnym; może było to mylące, prawdopodobnie wyobrażone, w całości zmyślane, ale dla mnie w końcu realne: co może być bardziej realnego nad owe wyobrażenia, które wykładają nasze życia od wewnątrz jak dywany, opromieniając je lub niszcząc.

Słowa Franciszki najpierw obudziły we mnie gwałtowną potrzebę refleksji, co może wydać się śmieszne. Potrzeba samotności, jaką odczuwają ludzie bardzo szczęśliwi lub bardzo nieszczęśliwi, powstaje dlatego, że osoby te chcą w odosobnieniu bez konieczności dawania odpowiedzi na pytania, bez konieczności zastanawiania się nad własnym zachowaniem, rozpatrywać obrazy szczęścia lub rozpaczły tłoczące się pod czaszką. Zaledwie Franciszka skończyła mówić, a już prawie do bólu odczułem potrzebę samotności, która pozwoliłaby twarzy i zachowaniu wyrazić uczucia<sup>1</sup>, a dając upust reakcjom mógłbym podsycać je niczym wreszcie nie skrępowaną mimiką. Bo, jeśli płacemy z bólu, jeżeli miłość sprawia nam radość, to z kolei łzy i radość pogłębiają zarówno ból jak i miłość, z których wzięły początek: tak mocno dusza przytwierdzona jest do ciała, tak dalece ciało jest samą duszą. Każda wielka namiętność dąży do krańca swoich możliwości; pogłębia się jeszcze w manifestowanych objawach: i tak łzy karmią w nas miłość, która je sprowokowała. Jak tylko zezwoliły na to okoliczności, zacząłem swobodnie cierpieć pogłębiając cierpienie rozmyślaniami.

Zasadnicza dwuznaczność pojęć skutku i przyczyny, różniąca życie zmechanizowane i materialne od życia uczuciowego, jest właściwie niezrozumiała. Regułą świata duchowego jest nieprzerwana reakcja pierwszego pojęcia z drugim. Czy to miłość do Beatrycze - miłość tak ukryta, że mnie samemu nie znana - zmusiła mnie do zatrzymania i zastanowienia się? Czy sama refleksja, wywołana podra-

znieniem i powierzchowną zazdrością, nagle spowodowała wybuch miłości? Kto mi to powie? Jedna rzecz jest pewna: słowa Franciszki, pozostawiając za sobą ślad ognia, wbiły się we mnie jak ostra strzała w miękkie ciało. Paliły mnie. Powtarzałem je powoli i czułem ból.

Skoro nic jeszcze nie wiedziałem na temat tego, co zaszło, a wszystko sprowadzało się tylko do kilku słów wypowiedzianych przez Franciszkę, mogłem dać swobodny upust fantazji. Miałem jeszcze wystarczająco dużo środków, aby wyperswadować sobie, że cierpię niepotrzebnie, że wszystko wyjaśni się niebawem i że to na pewno nie tak poważne nieszczęście obróci się na moją korzyść, a trafiło mnie ono widocznie dlatego, że muszę doświadczyć pewnych rzeczy, aby poznać samego siebie. Zmęczony cierpieniem, próbując zdaniu Franciszki: „Czy wiesz, że Beatrycze sypia teraz z Riccardem?” nadać realne znaczenie i ująć w jakieś ramy, nikczemnie rzuciłem się na powrót w nadzieję, że wszystko będzie dobrze, w uspokajający mechanizm, sterujący moją własną osobą.

Powtarzałem sobie, że lubię oczywiście to, czego nie posiadam. Ale teraz, doświadczywszy nieszczęścia, nie pozwolę się złapać. Odnawiałem się pod ciosem próby, nie widząc, że koniec tej próby może być powrotem do starych przyzwyczajeń i że mogę kochać będąc nieszczęśliwy albo szczęśliwy bez miłości, ale szczęśliwej miłości zawsze tylko pragnąłem, a nigdy nie doświadczyłem.

Nie po raz pierwszy stwierdziłem u siebie chęć posiadania rzeczy, których nie miałem, i natychmiastowe uczucie sytości w chwili, gdy byłem w posiadaniu tego, czego pragnąłem. W pewnym sensie jest to wada; ale z drugiej strony był to bodziec trzymający mnie przy życiu. Ponieważ, gdy ogarnęło mnie znudzenie tym, co mam, rychło jawiło się pragnienie innych rzeczy. Wiele razy, w różnych okolicznościach i w różnych dziedzinach mojego życia, przed albo po tym zajściu, doświadczyłem na nowo wspól-

nego działania tych dwóch bliźniaczych demonów - pożądania i znudzenia. Nie objawiały się nigdy razem, ale następowały bardzo szybko po sobie, oddzielone cienkim, lecz zdecydowanym rozgraniczeniem, jakim było zrealizowanie marzeń.

Można mnie do woli oskarżać. Nikt nie będzie tak surowy w stosunku do mnie jak ja sam. Gdyż, będąc może trochę zaślepiony nadzieją, że Beatrycze rzuci się znowu w moje ramiona, cierpiałem tak bardzo silnie, że mogłem stać się przejściowo moralistą. Najgorszy nikczemnik, wystarczy, że dotknie go cierpienie, zaczyna dążyć do ładu, straci pewność, która jest urodzajną glebą owocującej na niej niemoralności.

Myśli człowieka bywają tak szalone, że zastanawiam się dzisiaj, czy nie byłem najbliższy szczęścia przez parę godzin i dni po tym, jak usłyszałem małe zdanie wypowiedziane przez Franciszkę. Ponieważ wystarczająco cierpiałem, aby odczuć gwałtowną miłość do Beatrycze, a także dlatego, że miałem nadzieję na jej powrót: ale nadzieja to nie pewność, która prawdopodobnie wszystko zniszczyła. Pod nawrotami rozpaczy, jakie regularnie mnie nachodziły, walcząc przeciwko przekonaniu, że wszystko jest na zawsze stracone, uchwyciłem się kurczowo myśli: Beatrycze mnie kocha. Mści się tylko na mnie. Zmusza się do miłości z innym. Wróci do mnie, jak tylko tego zechcę. Po prostu docierało do mnie, pod ciosem zadany mi przez cierpienie, że ja także ją kochałem.

Całymi godzinami, leżąc na łóżku, myślałem o Beatrycze. Zamęt w mojej głowie wywołany słowami Franciszki nie mógł się w żaden sposób uciszyć. Tak oto dojrzewa miłość, która dlatego, jak to widać, oczarowuje pisarzy: bezgraniczna namiętność, mówiąc dosłownie, wywołuje wewnętrzny monolog, który nie istnieje naprawdę w życiu codziennym, a spowodowany jest emocją. Szeptalem do siebie długie zdania, robiłem sobie wyrzuty, zaklinałem

się, wymawiałem na głos imię Beatrycze. Trochę sobągardziłem. Podejmowałem decyzje, które nic mnie nie kosztowały. Jeśli mnie jeszcze kocha... mówiłem do siebie i budowałem mały nierealny świat, sztuczny, z moralnością, szczęściem i kruchością, jednakowo wzruszającymi i odrażającymi.

Gdy doszedłem do wniosku, że już wystarczającą ilość razy i niepotrzebnie obróciłem w głowie zatrute zdanie Franciszki, postanowiłem działać. Stałem się rozpaczliwie pewny i spokojny.

Działać w miłości znaczy mówić. Postanowiłem porozmawiać z Beatrycze. Padnie mi w ramiona i wszystko zostanie zapomniane. Ale należało działać samemu, do nikogo nie mieć zaufania, a w szczególności do Franciszki, oraz zastąpić swobodę, która tak dużo mnie kosztowała, ostrożnością. Franciszka oczywiście coś dostrzegła. Mówiąc ściślej, nie wyglądałem na człowieka pławiącego się w szczęściu. Miłość oznaczała dla mnie koniec mojej naturalnej swobody w zachowaniu. Zaczynałem z trudem odżywać.

- Przecież ty cierpisz - mówiła Franciszka.

- Ja cierpię? - pytałem udając zdziwienie - ja i cierpienie? Chyba oszalałaś?

I kochając się z Franciszką, myślałem o Beatrycze, nagiej w ramionach Riccarda. Żeby się pocieszyć, mówiłem sobie, że ona w ten lub inny sposób też myśli o mnie. I z goryczą cieszyłem się tym głupim życiem, w którym ci, co się kochają, są rozdzieleni z własnej winy.

Duma wstrzymywała mnie trochę, żeby podejść do Beatrycze i wziąć ją w ramiona. „Musi sama do mnie wrócić” - mówiłem sobie. A owa znakomita akcja, jaką miałem podjąć, żeby odzyskać Beatrycze, dotychczas nie była niczym innym jak walczącymi z sobą w próżni urojeniami.

Przeczytałem gdzieś, że malarstwo dla Leonarda da Vinci było przeżyciem czysto intelektualnym. Stosuje się

to również do miłości. Wierzyłem, nadziei, w jakie każdego dnia bardziej się zagłębiałem, było tym, co nazywamy miłością: czekanie, walka z czasem i przestrzenią, które dzielą i zabijają.

Należało spotkać się z Beatrycze. Zobaczyć się z nią i porozmawiać. Ach! Jakże okrutnie ujawniona namiętność dawała mi znać o sobie! Pamiętam czasy, gdy pytałem siebie, czy ten ledwo wyczuwalny szmer jest głosem miłości. Teraz ów głos potężny wznosił się gwałtownie. Nagle zaczynałem krzyknąć: „Kocham ją, kocham”. I powtarzałem sobie, że ona kocha mnie jeszcze.

Nic w tych momentach okropnych i wspaniałych nie wydaje się nam ważniejsze od mało znaczących gestów, które przybliżają do obiektu miłości: pisać? telefonować? Zacząłem spędzać całe godziny przy telefonie, bojąc się wykręcić siedem cyfr, które teraz nabrały dla mnie znaczenia prawie magicznego. Nigdy nie umiałem zapamiętać numeru telefonu Beatrycze. Pamiętam, jak się irytowała, kiedy prosiłem, żeby mi go powtórzyła. Teraz nieszczęście, nauczyciel moralności, niezrównany wychowawca wyrwał mi ten numer w pamięci.

Nie potrzebowałem ani pisać, ani telefonować do Beatrycze, żeby się z nią zobaczyć. Po prostu spotkaliśmy się przypadkiem, gdy szedłem do przyjaciół, od których ona właśnie wychodziła. Było to na ulicy Saints-Peres. Zobaczyłem ją w bramie, jak skręcała w stronę bulwaru Saint-Germain. Ja szedłem od Sekwany. Pobiegnęłam parę metrów i zawołałam ją. „Coś takiego! Filip!”-powiedziała. Wydała mi się czarująca. Rozmawialiśmy przykładowo w nieco wymuszony sposób.

- Może byśmy się spotkali? Bardzo bym się ucieszył - powiedziałem.

- Zatelefonuj - odpowiedziała i wyciągnęła do mnie rękę.

Wzięłem podaną dłoń i ucałowałem Beatrycze tak, jak się całuje dziecko, w oba policzki.

To spotkanie zostawiło mi pustkę w głowie. Ona zachowała się dosyć miło. Może mogłem jeszcze się powstrzymać. Lecz miałem cierpieć. Po trzech dniach zatelefonowałem.

Wykreśliłem trzy litery i cztery cyfry, które teraz tak łatwo zapamiętałem, a które w moim życiu miały zająć ważne miejsce wraz ze wzrastającym niepokojem w czasie nie kończących się sygnałów, z którymi wiązał się mój los. „Nie odezwie się” - pomyślałem. Równocześnie obawiałem się i pragnąłem tego. Wreszcie podniesiono słuchawkę. To była Beatrycze. Rozmowa trwała dosyć krótko. Zaproponowałem wspólną kolację. „Raczej umówmy się na drinka” - powiedziała. Wyznaczyła spotkanie na najbliższą środę w jednym z barów przy ulicy Franciszka I.

Spędziłem parę przyjemnych dni, czekając na środę. Wszystko się ułożyło. Spotkałem się z Franciszką, stwierdziła, że jestem wesoły. Żyłem nadzieją. A resztki niepewności wznagalały moją miłość i podsycaly nadzieję, nie pozwalając się jej urzeczywistnić.

Lokal przy ulicy Franciszka I składał się z salki na poziomie ulicy, gdzie goście zasiadali przy wysokim barze. Schodziło się z niej krętymi schodami do ciemnej i dość przestronnej sali, gdzie wokół szafy grającej stały ławki z czerwonymi obiciami. Tam byliśmy właśnie umówieni. Przyszedłem pierwszy. Melancholijnie przypomniałem sobie, że jeszcze niedawno było inaczej - to Beatrycze na mnie czekała.

Zacząłem się zastanawiać, czy w ogóle przyjdzie, Medy zobaczyłem, jak schodzi po schodach. Na dworze było chłodno. Miała twarz zarumienioną i wyglądała świeżo w przegrzanym mroku.

Moja ufność okazała się słuszna. Beatrycze prawie naty-

chmiast przybrała ton łagodny. Swoje zimne dłonie włożyła w moje. Nie wiedziała, co ma zamówić do picia. Wkońcu wzięłam whisky dla siebie i kieliszek wermutu dla niej. A potem zaczęliśmy rozmawiać powoli, z przerwami.

Działać w miłości znaczy mówić. Zdaje się, że to Giraudoux powiedział, że niemowa nigdy nie zdobył żadnej kobiety. To wolne posuwanie się naprzód dwóch szukających się istot przy pomocy mowy jest czymś strasznym i fascynującym. Tylko czysty poryw, który rzuca dwa ciała biegnące ku sobie z dwóch krańców miasta czy świata, wymiatający śmieszności, oczekiwanie, przezorność, tylko owa dialektyka podporządkowana ofercie i prośbie znosi wszystko, niczego nie pozostawiając między dwiema twarzami, wyciągniętymi dłońmi, między dwiema skórąmi prócz pożądania, któremu nie można się oprzeć. Między Beatrycze a mną wznosił się jakby mur słów. Ale ufałem. Mur runie i wezmę ją w ramiona.

Zacząłem od oskarżania siebie. Powiedziałem, że zachowałem się jak wariat, że żałuję mojej głupoty i że wszystko stało się z mojej winy.

- Tak, to prawda - powiedziała - to była twoja wina.

Miała wygląd poważny i bardzo łagodny. Sciskało mnie w gardle. Położyłem głowę na jej ramieniu. Siedziała nieporuszona. Nie cofnęła się, ale nie otoczyła mnie ramieniem. Zamknąłem oczy i mocno zacisnąłem ręce na jej nieruchomym ciele. Przeszył mnie gwałtowny i gorący ból. Pomyślałem, że to szczęście.

Odwlekałem pytanie, od którego miało zależeć, skoro sam je sobie postawiłem, to szczęście nabierające teraz kształtu. Powiedziałem, że byłem bez niej nieszczęśliwy, że zajęła w moim życiu niezmiernie ważne miejsce, że nie mogę bez niej żyć. Słuchała. Jej ogromne oczy były nieruchome, oddychała szybko. Uwodziliśmy się słowami, które biorąc się z uczuć, z kolei rodzą uczucia. Przeto nie czekając dłużej, rzuciłem się na głęboką wodę.

- Beatrycze - powiedziałem - ^czy chcesz, żeby było tak jak dawniej? Czy chcesz, żebyśmy żyli razem?  
Na chwilę wstrzymałem oddech. Patrzyliśmy na siebie. Wreszcie potrząsnęła głową.  
- Nie, Filipie - powiedziała - za późno.



Namiętność, zazdrość, gniew, wściekłość, rozpacz, zraniona miłość własna, wszystko razem wkroczyło w moje życie i w całości nim zawładnęło. Odmowa Beatrycze zburzyła moje nadzieje, ale wzmogła jeszcze miłość. Ogarnął mnie gwałtowny poryw; prawie fizycznie chciałem złamać opór Beatrycze, zadać jej ból, rzucić ją na kolana, aby czołgała się u moich stóp. Nieco później obraz jej twarzy, gdy odmawiała mi siebie, był przyczyną długich i okrutnych rozważań.

Wspomnienia przeszłości sprawiały mi najgorszy ból. Te oczy, rozmyślnie pozbawione wyrazu, wpatrywały się we mnie z wszystkimi oznakami żarliwości. Niemoc wzruszenia ich wydała mi się teraz czymś niesprawiedliwym, a także była dowodem mojej nieuleczalnej głupoty. Siła ducha Beatrycze wprawiła mnie w rozpacz i oczarowała. Dopiero nieszczęście uświadomiło mi, że zagubione dni były samym obliczem szczęścia. I pomyślałem, że to wszystko, co ona kiedyś znosiła z mojej winy, ja teraz z kolei będę znosił. Tocząca mnie rozpacz nie była czymś przytłaczającym, co otępia i usypia. Była to wspaniała i okropna wściekłość przeciwko sobie. To prawda, sam wszystko straciłem i zepsułem. Rozumiałem teraz prawdziwość absurdalnych gestów, przez które tłumaczy się rozpacz: bicie głową o ścianę, wyrywanie włosów z głowy, gryzienie pięści. Brała mnie nieodparta chęć opuszczenia siebie samego. Skamlałem więc jak zwierzę. Wszedłem w tę ostatnią fazę cierpienia, która składa się z banałów.

Poza małą grupą Franciszki, Beatrycze i Riccarda, których imion nie śmiałem teraz wymawiać, i paru innymi osobami krążącymi wokół nas, miałem jeszcze kilku przyjaciół, którzy wyrobili mi opinię cynika, lekkoducha, obojętnego na wszystko - z czym chętnie się godziłem. Niektórzy mówili, że czasem zachowuję się dziwnie; moja pogarda dla ogólnie przyjętych reguł moralnych ułatwiła mi podboje i zuchwałe zachowanie; miałem wrogów, co mi'

schlebiało; nie pogardzałem robieniem szumu koło paru nieważnych spraw w naszym ograniczonym kółku, które miało rozrosnąć się do pięćdziesięciu osób. Z dnia na dzień wszystko to zaciążyło mi okropnie. Dowiadywałem się stopniowo, że jestem nudny dla wszystkich. W ciągu paru tygodni zagłębiłem się w prawie kompletną samotność, w której mogłem swobodnie oddać się rozmyślaniom. Łapałem się na tym, że publicznie bronię najbardziej wyświechtanych i konserwatywnych zasad moralnych. Zrozumiałem raz jeszcze, ile racji miał Proust, pisząc z owym niezwykłym geniuszem długie i rozwlekłe na ogół zdania, ale także krótkie i przesywające jak to: „Człowiek staje się moralny, kiedy jest nieszczęśliwy”.

Moje życie zmieniło się we wstrętne polowanie, którego bronią jest podejrzenie, a zwierzyną istoty ludzkie. Tropiłem Beatrycze. Staralem się wypełnić rozpaczliwie pusty czas. Riccardo miał Fiata w jaskrawym kolorze. Kiedy widziałem samochód stojący przed domem Beatrycze, przeżywałem tortury, banalne, ale nikomu bym ich nie życzył, i te udreki nie dawały mi żyć.

Przyłapałem się na niepokojącej namiętności, która polegała na klasycznej i śmiechu wartej zabawie: liczyłem cyfry numerów rejestracyjnych autobusów, kroki między jednym chodnikiem a drugim, słowa moich rozmówców, których znaczenie mało mnie obchodziło, bez wytchnienia grałem z sobą w loterię, a stawką była miłość Beatrycze do mnie. „Jeśli ten węglarz poprosi mnie o ogień, ona mnie kocha; jeśli ów chłopiec przejdzie przez ulicę, ona mnie kocha”. Wszystko, co absurdałne i beużyteczne i co jest dziełem przypadku, ja przyjmowałem jako najdroższe, najbardziej szalone, rozpaczliwe przekazy.

Wiele razy spotykałem Beatrycze. Zgodnie z ciągłymi sprzecznościami, jakie targają kochającym człowiekiem, miałem prawie żal do Beatrycze, że zgadza się na spotkania, o które ją błagałem. Czułem, że robi to przez litość.

i wychodziłem z tych spotkań zraniony i zrozpaczony. Jedną z niskich pobudek, dla których prosiłem ją o widywanie się ze mną, było wyznanie, że spotyka się ze mną w tajemnicy przed Eiccardem. Oszukując go w ten sposób, doznawałem gorzkiej przyjemności. Szybko zresztą zrozumiałem, że ta tajemnica była ze strony Beatrycze jeszcze jednym dowodem sympatii, a może nawet miłości do niego. Ale już się przyzwyczaiłem. I odczuwałem potrzebę widywania Beatrycze dokładnie tak samo, jak chorzy potrzebują narkotyku, który pogrąża ich w bólu.

Sądzę, że każde z tych spotkań coraz bardziej nudziło Beatrycze. Nie, nie cierpiała przeze mnie, nie budziłem jej rozczulenia, nie była niczym oburzona. Nudziłem ją moją miłością. Za każdym razem obiecywałem sobie, że będę błyskotliwy i swobodny. Nie mogłem. Już nie potrafiłem.

Często znajdowałem również niezręczny pretekst - kiedy rzucała okiem na witrynę jakiejś wystawy z okazji urodzin albo powiedzianego od niechcienia zdania - żeby kupić jej coś w prezencie, przyrzekając sobie równocześnie za każdym razem, że robię to po raz ostatni. Cieszyłem się ogromnie, kiedy przyjmowała ten dowód dla mnie jasny jak słońce, dla niej nic nie znaczący, mojego niepotrzebnego już uczucia.

Zima powoli mijała. Kończyły się chłody. Tegoroczne oznaki wiosny na zawsze wycisnęły na mnie piętno owych przerażająco niejasnych sytuacji, nieporozumień, bezwolnej gry, z jakich utkana jest nieszczęśliwa miłość.

To, co było we mnie z tak zwanej kultury, subtelności, inteligencji, czyniło tylko agonię tym dłuższą i boleśniejszą. Wszystkie niedorzeczności, cokolwiek są warte, dostarczają paszy do przeżuwania. Jak ryba, która chcąc się oswobodzić, wbija sobie coraz głębiej haczyk w gardło, tak wszystkie moje wykręty jeszcze głębiej mnie pogrążały. Czytałem wszędzie po trochu te wyświechtane sentencje, które w dziedzinie psychologii miłości są odpowiednikami

banalnych formułek spekulujących środowisk politycznych: „Jeśli wy będziecie prowadzić dobrą politykę, ja poprowadzę dobrze finanse” barona Ludwika albo „My i nasze cywilizacje...” Pawła Valery. Te spostrzeżenia przypominały na przykład, że zwycięstwem w miłości jest ucieczka. Wiele razy oznajmiałem Beatrycze listownie, przez telefon, w rozmowie, że już jej nie kocham. Jeszcze dzisiaj czerwienię się na myśl o tych niskich i bezskutecznych chwytach. A jaki okropny i mimo woli okrutny cios zadawała mi Beatrycze, kiedy cieszyła się, że już przestałem cierpieć. Mówiła: „Ach! Filipie, tak się cieszę”. Wobec tych oznak, które były odbiciem obojętności w stosunku do mnie, łzy napływały mi do oczu. Te wspomnienia, które tu przywołuję, są okrutne. Nigdy naprawdę nie byłem głodny, spragniony, nigdy naprawdę nie cierpiałem cieleśnie, ale kiedy Beatrycze oznajmiała mi swoją radość z powodu moich jakoby wygasłych uczuć, wówczas, o tak, cierpiałem bardzo.

W gruncie rzeczy zawzięłem się mimo wszystko, wierząc uparcie, że ona jeszcze mnie kocha. Upór w miłości jest niewiarogodny. Tak jak wszystkie namiętności, nieszczęśliwa miłość wzbrania się od ustąpienia przed faktami. Jednakże nie lekceważyłem hojnych oznak, jakich dostarczała mi Beatrycze. Przeciwnie, bardzo się z nimi liczyłem. Ale interpretowałem wszystko po swojemu. I zawsze tak, aby odżywała moja nadzieja. Obsesyjnie trzymałem się myśli, że Beatrycze ukrywa swoją miłość do mnie, broniąc się przede mną w ten sposób. I (nie chcę gromadzić tu różnych subtelnosci, ale czytelnik sam się przekona, jak wszystko jest jasne) w pewnym sensie ta myśl nie była pozbawiona słuszności. Była ona absurdalna - a to jest ważne - o ile dotyczyła prawdziwej Beatrycze. Lecz jest rzeczą pewną, że chcąc zatrzymać moją miłość (w wypadku gdyby mnie jeszcze kochała), Beatrycze nie powinna by działać inaczej. Mogłem więc mieć nadzieję. Ale na nie-

szczęście racji nie miałem. Gdyby chciała prowadzić grę, należało grać w ten właśnie sposób. Tylko że ona nie prowadziła żadnej gry. Nasze plany na przyszłość już się z sobą nie zbiegały. Ale ja, w moim nieszczęsnym egoizmie, jak dawniej w bezdusznosci, zajmowałem się bardziej tym, co działo się we mnie, niż tym, co mogło się dziać w niej. Czasem przepelniała mnie nadzieja. I wreszcie pewnego dnia zdarzyło mi się coś cudownego. Rano wysłałem do Beatrycze list pocztą pneumatyczną. Napisałem, że nie wytrzymuję dłużej tej sytuacji, że kocham ją nieprzytomnie, ale że nie mogę czekać na nią całe życie. Krótko mówiąc, klasyczne, nieefektywne pogrożki i zużyte słowa czułości. Dość późno wieczorem, kiedy byłem już w domu, ktoś zadzwonił do drzwi. Na progu stała Beatrycze. Wyraz twarzy miała nieprzenikniony, weszła śmiało. W jednej chwili ogarnęła mnie nadzieja, ale pohamowałem się, zachowując rezerwę i wyniosłą minę. Przyniosłem coś do picia. Usiedliśmy. Przez chwilę wyglądało, że się waha.

- Otrzymałaś mój list?

- Tak, dlatego przyszedłam.

Serce, jak to się mówi, przestało mi bić; a może było mocniej, nie wiem. Coś działo się pod moją skórą. Zapadło milczenie. Cały świat słuchał.

- Twój list sprawił mi przyjemność.

Zacząłem mówić bardzo przyciszonym głosem i bardzo powoli o tym, jak się nacierpiałem, jak żałowałem tego wszystkiego, co narobiłem, i jak ogromnie ją kocham. Zobaczyłem dwie łzy spływające z jej oczu. Więc pochyliłem się i wziąłem ją w ramiona. Przytuliła się do mnie i powiedziała tylko:

- Ach! Filipie...

Z wielką ostrożnością spytałem ją, czy jeszcze mnie kocha. Wzruszyła ramionami i powiedziała:

- Zawsze cię kochałam.

I w tym momencie obudziłem się. Byłem sam w pokoju i śniłem.

Wydało mi się to zbyt okrutne. Zacząłem litować się nad sobą. Ale nie dość jeszcze cierpiałem. Jeszcze znajdowałem tysiące sposobów obrony, aby móc przeżyć i jeszcze bardziej cierpieć.

Od czasu do czasu perswadowałem sobie, że nieszczęśliwa miłość jest rzeczą dobrą. Dotychczas miałem raczej powodzenie u kobiet. Przybierałem więc dziarską minę i mówiłem sobie: „No, no, nie jest tak źle; nie ma nic lepszego niż miłość bez wzajemności”. W czasach kiedy to ja byłem kochany, okazywałem wżgardę dla tak zwanych miłości szczęśliwych z ich zatechłym konwencjonalizmem i straszącą z daleka zmorą mieszczańskiego ożenku. Teraz mógłbym to stosować do siebie; pocieszałem się również babskim sposobem, powtarzając znane przysłowia i powiedzenia w rodzaju: w tym największy jest ambaras, żeby dwoje chciało naraz.

Zacząłem również myśleć - może było to wzniosłe, wstydlive albo tylko śmieszne, że napiszę książkę o tej miłości. Przypomniałem sobie kolację w trattorii San Vicente w Rzymie, gdzie byliśmy razem, Beatrycze i ja, i gdzie powiedziałem jej, że piszę powieść. Napiszę powieść o niej, opiszę Rzym i moją głupotę, Paryż i moje cierpienie. Przeto dochodziłem do wniosku, że nie dość jeszcze cierpię.

Przestałem się widywać z wieloma osobami. Przeraziła mnie myśl o naszej rozbitej gromadce. Uciekałem przed Franciszką, a ponieważ nudziłem wszystkich, miałem teraz więcej czasu na sen i czytanie niż kiedykolwiek przedtem. Racine i Proust dostarczali mi jasnych i harmonijnych obrazów mojego nieszczęścia. Powracałem bez końca do skarg zmartwionych księżniczek i do pięknych stronic „Czasu odnalezionego”, które z góry zostały napisane dla

mojej osobistej pociechy. „Bo choć tylko szczęście jest zbawienne dla ciała, zgryzota rozwija siłę ducha” albo „Co zaś do szczęścia, jeden tylko wynika zeń pożytek-uczynić strawnym nieszczęście”.\*

Kiedy przeczytałem te strony, na których wszystko zostało napisane i wyjaśnione, tłumaczyłem sobie słowami samego Prousta, że „Tam, gdzie życie wznosi mur, inteligencja przebija wyjście, bo jeśli nie ma lekarstwa na miłość nieodwzajemnioną, wyzwalamy się skonstatowawszy cierpienie, choćbyśmy nawet wyciągnęli zeń zawarte w nim konsekwencje. Inteligencja nie zna owych zamkniętych sytuacji życia beznadziejnego”.\*

I znów byłem prawie szczęśliwy. Będę żył z moją miłością, jak chory ze swym rakiem. Ona już nigdy nie będzie mnie kochać, więc ja nigdy jej nie zapomnę. Moje życie upłynie w spokoju, poświęcone nauce i rozmyślaniu o Beatrix, chociaż nie będę jej widywał. A umierając będę ją jeszcze kochał.

I znowu powracała nadzieja. Tak oto ciągle zmiany, raz rezygnacja, raz sprzeciw wobec świata, który nie miał już sensu, zrodziły piekło. Wreszcie pewnego dnia wraz z nawrotem smutku zdało mi się, że ujrzałem wyjście z labiryncie nieszczęścia, który sam zbudowałem.

Spotkania z Franciszką nie sprawiały mi już przyjemności. To ona otworzyła mi drzwi do świata koszmaru, w którym się motałem, dając zwiastunowi, jak w tragedii greckiej, nieść złą nowinę posłyszana z jej ust. Franciszka była zresztą o wiele bardziej winna niż ci biedni zwiastuni z tragedii Sofoklesa czy Anouilha, którzy wykonywali jedynie polecenie, nie będąc za nie odpowiedzialni; Franciszka przeciwnie, byłem tego pewny, odczuwała złośliwą radość, kiedy posługując się tym biednym dzieckiem, zadawała mi ból, najpierw przyczyniwszy się do oddzielenia

\* Przekład Juliana Rogozińskiego

nas, a teraz torturując nim. Złośliwą radość, powiedziałem, a może coś więcej. Franciszka, odkąd spostrzegła moje przywiązanie do Beatrycze, zaczęła się mną jeszcze bardziej interesować. Może moja niespodziewanie gwałtowna reakcja na to, co powiedziała, zadziwiła ją albo nawet zraniła. W dalszym ciągu oczywiście nie kochała mnie, ale moja wysublimowana miłość do Beatrycze irytowała ją potajemnie. Czy to przez przyjaźń, czy też przez głębsze uczucie do mnie? Niewykluczone; albo wskutek zazdrości? Możliwe i to. Uczucia wyrażają się przez słowa, które pociągają za sobą, a w szczególności przez czyny, do których prowadzą. Jeśli jakiś czyn lub zachowanie są niejasne i istnieje możliwość różnych interpretacji, wówczas trudno jest wybrać odpowiednie ich umotywowanie. Krótko mówiąc, z tych czy innych powodów, Franciszka nie bez satysfakcji oznajmiła mi, że Beatrycze ma kochankę. Ale skutek, jaki wywarła na mnie ta wiadomość, dla niej bez znaczenia, rozgniewał ją i zirytował.

W tego rodzaju okolicznościach, które obrazowały jej własne życie, Franciszka niejednokrotnie zachowywała się raptem jak pracownik laboratorium albo naukowiec pracujący nad jakimś doświadczeniem. Miała ten właśnie rodzaj ciekawości, umiejętność zachowywania zimnej krwi, brak uczuciowych reakcji, jednakże pewien rodzaj żarliwej pasji dla przyczyn, które poruszają istotami ludzkimi. Oznajmiła mi pewnego dnia, że sprawy między Beatrycze a Riccardem nie układają się najlepiej.

- To dziwne, można było pomyśleć, że ta mała ma prawo przyjąć komunię bez spowiedzi. A tymczasem śpi ze wszystkimi na prawo i lewo, z pierwszym napotkanym.

Jeszcze jeden cios w serce, ukłucie sztyletem, przypalanie żywym ogniem. Najpierw wyobrażałem sobie Beatrycze w ramionach Riccarda, teraz widziałem ją w anonimowych uściskach. Przedtem mogłem dorzucić imię do mego bólu, kogoś nienawidzić, mogłem oczami wyobraźni peł-



nymi łez przyglądać się obojgu; teraz abstrakcja wyrywała mi Beatrycze i torturowały mnie z j a wy. Zacząłem z powrotem wychodzić, spotykać się z przyjaciółmi, żeby dowiedzieć się czegoś o życiu Beatrycze: tak bardzo człowiek w nieszczęściu chce wiedzieć. Tysiącami sposobów wprowadzałem jej imię do rozmowy, czekałem z bijącym sercem na ironiczny uśmiech lub na coś nieoczekiwanego; i zawsze właśnie w tym momencie przejeżdżał autobus, mało nas nie rozjeżdżając, albo stara kobieta pytała o drogę, albo jakiś łobuz wpadał na nas w biegu: więc temat się urywał a moje wysiłki pozostawały daremne, wszystko przepadało, a rozmowa toczyła się dalej o tym i owym, o komunizmie i Czechowie, o wzniosłych rzeczach, dla mnie rozpaczliwie obojętnych. Nie chciałem nic wiedzieć o literaturze rosyjskiej ani o losach świata, o czym życzliwie ciągle chciano mnie informować. Pragnąłem tylko wiedzieć, czy Piotr lub Henryk nie widział jej w tym małym bistro na placu Saint-Severin, do którego lubiła kiedyś chodzić, czy może Helena spotkała ją u krawca naszych wspólnych przyjaciół, mieszkającego przy ulicy<sup>ac</sup>, gdzie chodziły razem kupować spódnice i swetry.

Jakże dziwny jest ból zadawany przez ciała. Czyjaś dusza, czyjeś serce, czyjaś wyobraźnia cierpią w oddali najstraszliwsze męki, dlatego że jakieś ręce po nich się przesuwają, ponieważ zbliżają się do nich twarze, oddechy się łączą, a wspólny pot kapie te rozkosze, które przyjęto nazywać rozkoszami fizycznymi. Odtwarzałem sobie obraz Beatrycze, a widziałem ją w obcych ramionach. Cier- i piałem, wyobrażając sobie gesty, pozycje, uległość. Mocne i delikatne więzy łączą nas wszystkich ze światem, z innymi - mi, i jak wojna, epidemia, jak wszystkie codziennie wymieniane gesty solidarności, miłość wyrzuca nas poza nas samych, we wszechświat, w którym szukamy naszego szczęścia i gdzie znajdujemy tylko łyż. Okrutne jest to w miłości, że najcięższy cios zadają nam ci, którzy są nam

najdrożsi. Dwa lub trzy razy Franciszka przyłapała mnie ze łzami w oczach. Ta czułość ubawiła ją i zasmuciła. Czy sprawiła jej przykrość dlatego, że cierpiałem, czy też dlatego, że inna, nie ona, zadała mi ból, tego nie mogłem wiedzieć. Mój ból doprowadzał mnie zresztą do rozpacz. Chętnie okazywałem pogardę dla cierpień moralnych. Okazywałem zrozumienie, gdy ktoś krzychał, bo sobie przyciął palec; ból moralny uważałem za śmiechu wart. Demonstracyjnie obnosząc cynizm, lubiłem posługiwać się aforyzmami w stylu Chamfórt: „Uwolnij mnie, Boże, od cierpień fizycznych; duchowymi sam się zajmę”. Denerwowało mnie nie tylko to, że cierpiałem, ale że cierpienie miało nade mną władzę.

Schudłem. Ludzie mojego pokroju są bardzo silni w miłości szczęśliwej, gdyż zdają się nie posiadać serca. Za to miłość nieszczęśliwa łączy ich wszystkimi wstrętnymi więzami miłości własnej, współzawodnictwa! prawdziwego szaleństwa: i tu nie można mi zarzucić, że chcę sobie schlebiać. Najgorsze są cierpienia, których na dodatek się wstydzimy.

Mówiąc jednak ściślej, ponieważ zachowanie Beatrycze doprowadzało mnie prawie do obłędu, zacząłem znowu mieć nadzieję. „Przeciwko jednemu — mówiłem sobie — walka jest niemożliwa. Na pewno kochała go, a on ją trzymał przy sobie. Natomiast w walce przeciwko wielu moja szansa rośnie. A poza tym to rozdrabnianie się, ta niestałość, czyż nie są dowodami pewnego niezrównoważenia, a może żalu za tym, co straciła?” Za wszelką cenę chciałem znowu zobaczyć się z Beatrycze. Ale zamiast niej spotkałem Riccarda.

Zastałem go przypadkiem u przyjaciół, dokąd jak zwykle poszedłem w przekonaniu, że dowiem się czegoś o Beatrycze. Wchodząc spostrzegłem go natychmiast. Słyszałem, że mnie nie znosi. Cieszyła mnie ta antypatia, gdyż była to jakby ostatnia nić łączności z Beatrycze. Obserwo-

wałem go chwilę, zanim mnie spostrzegł. Mimo woli stwierdziłem, że jest całkiem przystojny i, choć moja wyobraźnia gwałtownie się temu sprzeciwiała, sympatyczny. Chcę być w końcu sprawiedliwy dla siebie: nie lubię pomniejszać tych, którzy są mi niemiłi, a nawet nienawistni. Przypisywanie tylko wad osobom, których z jakichś powodów nie cenimy, dowodzi niskich uczuć. Chętnie wynajduję tysiące zalet fizycznych, a nawet moralnych u moich wrogów i rywali. Riccardo prawie mi się podobał.

Podszedłem, żeby z nim porozmawiać. Nagle mnie zobaczył i wydało mi się, że cały zeszywniał. Ogarnęła mnie wielka radość: widać jeszcze liczyłem się w jego życiu, a więc i w życiu Beatrycze. Uścisnął mi rękę kurtuazyjnie, ale bez wylewności. Zaczęliśmy rozmawiać o teatrze i literaturze, o morzu i górach - to znaczy o wszystkim i o niczym. Wyszliśmy razem. Już w przedpokoju miałem jakby ściśnięte gardło i szum w uszach. Machinalnie uścisnąłem kolejno kilka wyciągniętych dłoni. Zeszliśmy ze schodów i minęliśmy bramę. Riccardo wyciągał właśnie rękę na pożegnanie, kiedy wreszcie, czyniąc nadludzki wysiłek, zebrałem się na odwagę, aby spokojnie wypowiedzieć te parę słów, które wprawiły mnie w stan pomieszania:

- Jak się miewa Beatrycze?

Zatrzymał rękę ruchem niezdecydowanym.

- Chyba dobrze. Nie widziałem jej od paru dni.

- Pozdrów ją ode mnie serdecznie.

- Powtórzę, jeśli się z nią zobaczę. Ale nie jestem pewny, czy będę ją widział.

Szczęście jest jak balsam, jak miód. Wchodzi w ciało, namaszcza je, usprawnia ruchy, ułatwia oddech. Nie był pewny, czy ją zobaczy! Godziny tego wieczoru liczą się do najszcześniejszych godzin w moim życiu. A więc już się nie kochali. Może nigdy się nie kochali. Odzyskam Beatrycze. Oddawała się innemu, tak, innym zapewne, cierpiałem na myśl o tym, ale była to cena, którą płaciłem za moją

głupotę, za moją obojętność, to cena naszej przyszłej i wiecznej miłości.

Zacząłem sobie wyobrażać, że rzuci się w moje ramiona. Moja męka przybrała na powrót sprecyzowany kształt aparatu telefonicznego. Nie ośmielałem się wychodzić z domu nawet na pół godziny, bojąc się, że ona może zatelefonować. Pewnej nocy telefon zadzwonił około drugiej nad ranem. Była to pomyłka. Leżałem do białego świtu z bijącym sercem. Los współczesnej miłości umieszczony jest w tym dziwnym aparacie, który rozdaje czułe słowa albo wszystkie odcienie rozpacz. Ten ślepy robot, zastępujący dzisiaj korespondencję, nagle czyni z ucha, potem z oczu, z ust, z rąk jeden ze zbolałych i spragnionych organów pożądania i udręki miłosnej.

Beatrycze nie zatelefonowała. Oparłem się chęci zatelefonowania do niej. Cierpiałem. Spałem, chodziłem do kina, pracowałem mało i źle, ciągle o niej myśląc. Miłość tak właśnie wygląda. Niestety rzadko „jest tym, co dzieje się między dwojgiem szczęśliwie zakochanych”, jak mówi piękna definicja. Przede wszystkim jest to pustka, brak obecności, samotna troska; tkwiąca gdzieś w" tyle głowy myśl, której mimo tego, co powiedziałem przed chwilą, nie uświadamiamy sobie stale, ale która zawsze jest obecna, ponieważ nieobecny jest obiekt rozmyślań. Często zastanawiałem się nad tym, że miłość w naszym życiu dlatego zajmuje tyle miejsca, że poświęcamy jej tak wiele uwagi; posługując się tym truizmem chcę powiedzieć, że jest to może przyjemność sztuczna, owoc zaawansowanej kultury, sposób spędzania wolnego czasu. Bardzo dobrze mogę sobie wyobrazić istnienie cywilizacji bez miłości, gdzie te problemy były takim samym przeżytkiem jak bibeloty minionego stulecia. I wcale nie jestem pewny, czy tego rodzaju cywilizacje dzisiaj już nie istnieją. Jednakże sztuczna czy nie, nic nie jest tak tragicznie okrutne jak miłość raz zrodzona. Jak choroby nerwowe, nawet urojone, zżera-

ją organizm, tak miłość przez nas kształtowana niebawem zaczyna kształtować nas samych. Nic więcej nie liczyło się teraz dla mnie - czyż to nie głupie, czyż to nie banalne! - tylko to ciało ważące około pięćdziesięciu kilogramów, ten uśmiech, te trochę myśli, ta uparta niewinność, którymi pogardziłem.

Zacząłem śledzić i szpiegować Beatrycze, zbierając informacje u innych. Wystarczyło, że ktoś widział ją w towarzystwie jakiegoś mężczyzny, natychmiast byłem pewny, że z nim sypia. Owe zabiegi wyczerpywały mnie i pogrążały w bezradności.

Jak można było wcześniej zauważyć, w szczęściu ulegałem zmianom nastrojów i zachowywałem się lekkomyślnie. Byłem taki i w nieszczęściu. Ból został, nie mogłem go od siebie oddzielić. Motywy cierpienia natomiast zmieniały się łatwo. Czasem cierpiałem myśląc o Riccardzie, czasem odwrotnie, dlatego, że on jej nie wystarczał. Przyłapałem się na dziwnym uczuciu: byłem zazdrosny o kogoś, kto dzielił aktualnie Riccarda i mnie od Beatrycze. Nie miałem już żadnych praw do niej. Ale Riccardo miał. Cierpiałem na myśl, że Beatrycze nie jest mu wierna. Jakże skomplikowany jest umysł ludzki! Mimo cierpienia myśl o tym urzekała mnie. W takich momentach byłem zdolny do wszystkiego, byle nie dopuścić do zdradzenia Riccarda przez Beatrycze.

Kiedy indziej sprawiał mi jakąś potworną radość widok Beatrycze przechodzącej z ramion w ramiona. Jeśli nigdy już naprawdę nie ma do mnie należeć, niech zostanie zbrukana, zniszczona, na zawsze stracona, może dla wszystkich. Może pewnego dnia ja też jej nie zechcę. A potem owe nikczemne myśli sprawiały mi coraz większą udramę. Zacząłem zachowywać się jak wariat. Na próżno waliłem w mui, którym sam się otoczyłem.

Najważniejsze stało się cierpienie. Środki prowadzące do niego nie miały większego znaczenia: wszystkie były

dobrze. Krążyły mi po głowie myśli krańcowo *różne*: Beatrycze była czysta, czysta. Ale w tym też nie znajdowałem ucieczki.

Wracałem myślą do powieści, które kiedyś nieroztropnie zacząłem pisać. Próbowałem przypomnieć sobie ich tematy, do których chciałem wrócić, główne wątki. Żadna z tych spraw w moim obecnym życiu nie wydawała się ważna. Gdybym chciał opisać historię miłosną, tak banalnie nudną, nie należało niczego dopisywać. Smutek sam podejmował bez trudu dalszy ciąg. Czasem malał, zdawał się zanikać, jeden, dwa dni nie wracał. A potem wchodził jakiś spotkany idiota, mówił: „O, wiesz co, widziałem Beatrycze z grubym Henrykiem u Lippa. Czy coś jest między nimi?” albo, porządkując papiery, znajdowałem fotografię Beatrycze przed Santa Maria della Navicella. Siadałem lub kładłem się na łóżku. Gromadnie nachodziły mnie męczące wspomnienia. Myślałem jasno i sprawnie; cierpiełem — wiedziałem, dlaczego cierpię, tłumaczyłem sobie pewne rzeczy, które mi się przypominały, budowałem hipotezy i mówiłem sobie: „Ja lepiej rozumiem Beatrycze, niż ona rozumie siebie”. Może to była prawda. Było to ponure.

Czytelnik przypomina sobie Helenę? Zakochała się we mnie. Traktowałem ją jak dzikus. Ale byłem jej wdzięczny. Zwracała mi trochę szacunku dla siebie samego. Łagodziła nie smutek, który ciągle był jednakowo *żywy*, ale urażoną miłość własną. Pewnego wieczoru powiedziała, że kochała się z Riccardem. Mój Boże! Jak to wszystko dawniej mnie bawiło, owe splatające się ciała, owe związki powstające w przestrzeni i czasie. Twierdziłem, że współczesny świat - a prawdopodobnie i świat dawniejszy - na tym był zbudowany. To był materiał do tragedii Racina, literatury XVIII wieku, życia społeczno-politycznego wieku XIX. Wszystko od tego brało początek, wszystko się na tym kończyło. Ratowano upadające rządy, komponowano symfonie,

wznoszono barykady, a potem kochano się z kobietami, może z jedną kobietą, ale obrazującą szczęście całego świata. Ona kochała innego. Był to bohater albo wielki malarz, albo znany aktor. Mógł to być wreszcie zwykły człowiek: wchodził do wielkiego cyrku, w łańcuch splecionych ciał, i tańczył najbardziej szaleńczą farandolę, makabryczny taniec największego upojenia. Jak te dzieciinne składanki słowne, gdzie jeden wyraz niemądrze zająbia się • z następnym - „Stróż to pieniądz, pieniądz to grunt, grunt to ziemia, ziemia to matka, matka to anioł, anioł to stróż...” - tak dla mnie świat przedstawiał się w kształcie ronda, gdzie nie wiadomo kto prowadził nie wiadomo do kogo. Pomyślałem, że dla zabawy można by przeciągnąć linię, zaczynając na przykład od związków miłosnych Chateaubrianda i dotrzeć tak do Merimee, Feliksa Faure, Henryka Bernsteina, Maurice Druona i wielu innych. Byłem pewny za każdym razem udanej zabawy, skoro tyle osób wpłatało się w każde ogniwo łańcucha. Ponuro oddawałem się grze kojarzenia uścisków, krzyżowania związków, jak mały chłopiec, który marzy o pożarach, napaściach, wielkich katastrofach, ponieważ ani jego wyobraźnia, ani jego przeżycia nie potrafią dostrzec rodzącego się nieszczęścia w tych dla niego tak zabawnych wstrząsach. Helena opowiedziała mi o sobie i Riccardzie w nocnym lokalu, w którym często bywałem z Franciszką i jej przyjaciółkami. Wstałem od stolika i poszedłem zwymiotować. Nie byłem już odporny na tego rodzaju przyjemności, które dawniej mnie śmieszyły. Teraz mnie raziły.

Biedna Helena! Sądzę, że naprawdę mnie lubiła. Łączyły nas dziwne związki. W odróżnieniu od Franciszki, z nią wszystko było proste. Wiedziała o mojej miłości do Beatrycze. Czekwała cierpliwie. Przy niej nie czułem się nieszczęśliwy. Bawiła mnie. Była niegłupia i niebrzydka. Kiedyś pojechaliśmy na wieś, do matki Heleny. Jacyś dawni przyjaciele naopowiadali jej na mój temat dość zresztą słusz-

nych okropności, które kiedyś bezwstydnie przyprawiały mnie o śmieszny i może wstydlivą dumę. Dostojna pani nie wiedziała, że już - niestety! - nie jestem na tym etapie. Miała nienaganne maniery i iluzję: we mnie widziała uwodziciela, w swojej córce niepokalaną czystość. Wieczorem przy kominku odbyliśmy uroczą i groteskową rozmowę. Będąc nieszczęśliwy z powodu Beatrycze, ostrzegałem ją przed współczesnym, odrażającym światem, przed czyhającym wszędzie niebezpieczeństwem. Wystąpiłem w roli apostoła i opiekuna młodej dziewczyny. Opowiedziałem jej, pełen oburzenia, parę historyjek, które mnie dawniej upajały, a których sam czasem byłem bohaterem. Zostawiłem starszą panią pełną zgrozy i drżącą ze strachu, ale upewnioną co do mojej moralności. Wyraziła Helenie swoją radość, że jesteśmy razem. Żywiła co do mnie wielkie nadzieje i przychyliła się do naszych spotkań. Mogłem więc bez przeszkód sypiać z jej córką.

Helena nie robiła, jak Franciszka, doświadczeń na mojej osobie. Chciała mnie po prostu zatrzymać albo raczej zdobyć dla siebie. Było mi z nią dobrze. Myślałem, że może to jest szczęście. Pewnego wieczoru powiedziała mi rzecz okropną: „Przypomnij sobie początek twojej historii z Beatrycze. Może byś mnie pokochał, gdybym cię zdradzała?” Z nieprawdopodobnym trudem, próbując wejść w siebie, zacząłem rozmyślać. Tak, może bym ją kochał. Ale to ona mnie kocha i nie będzie mnie zdradzać. Ogarnęła mnie gwałtowną pogardą dla siebie samego. Czulość Heleny była wzruszająca. Pojechaliśmy na parę dni w góry.

Zaczęła się już wiosna. Słońce paliło, choć jeszcze leżał śnieg. Byliśmy bardzo szczęśliwi. Z samego rana wsiadaliśmy do wagoniku, nie zajętego jeszcze przez tych, którzy za długo bawili się w nocy, i jechaliśmy ku szczytom oblanym słońcem. Potem szliśmy piechotą. Kiedy Helena była zmęczona, gderając dźwigałem jej narty. Promieniowała szczęściem. Jeśli przypadkiem czyta te słowa, chciał-



bym, żeby wiedziała, ile owo szczęście sprawiło mi radości. Ale to jej szczęście czyniło mnie szczęśliwym, nie moje. Wiedziała o tym, lecz nie dała niczego po sobie poznać. Szliśmy ciągle wyżej. Czasem zawieszaliśmy na czubkach nart nasze skafandry z foczej skóry. Kiedy zrobiło się " gorąco, zdjąłem koszulę. Smarowała mnie kremem albo oliwą, całowaliśmy się. W południe zaszliśmy już bardzo wysoko. Tu nie widać było żadnych śladów nart ani kolejki linowej, ani tej wstrętnej obecności ludzkiej. Byliśmy sami we dwoje. Śnieg miał nieprawdopodobną biel, a niebo nieprawdopodobnie niebieski kolor. Jakież to było piękne! Nasz śmiech w słońcu przypominał afisze reklamowe w metrze. Helena miała bardzo jasne włosy, skórę ciemno opaloną. Pisaliśmy nasze imiona na śniegu, po którym nikt nie chodził. Kolejne masywy gór i szczytów tworzyły zachwycający obraz. Powiedziałem Helenie, jaka to szkoda, że we współczesnej powieści niepodobna opisywać obłoków na niebie ani gór pod śniegiem. Zartowała ze mnie. „Wystarczy mieć talent" - powiedziała.

Przysiadłszy na nartach zaczęliśmy rozmawiać, wolno, używając niewiele słów, jak górale. Budowaliśmy życie, które biały śnieg, zimno i palące słońce czyniły cudownie czystym.

- Wiesz, jakie to będzie przyjemne - mówiłem-będziemy mieć dom z...

Helena słuchała. Zamykaliśmy oczy. Potem ona mówiła, a ja słuchałem. Kiedy zapadał wieczór, ludzie na dole całowali się w nocnych lokalach jak w Paryżu. Helena i ja nawet nie dotknęliśmy się. Potrzebowałem odtrutki.

„Dziękuję, Heleno". Powiedziałem jej „dziękuję". Nic nie odrzekła. Słońce chyliło się ku zachodowi. Dziękuję, Heleno. Jest coś rozdzierającego w spokoju, jaki schodzi do uciszonego serca. Oddychałem głęboko, „do dna", jak mówią górale. Ta część świata i spraw, niedawno wyszydzanych przeze mnie, teraz wydała mi się pełna słodyczy:

natura, spokój, wiejski krajobraz, góry, szlachetne uczucia. Mówiłem też, że zarówno nasze radości jak i smutki nie są autentyczne, zależą od czasu i pieniędzy, którymi dysponujemy. „O, nie, mówiła Helena, przytłacza cię nadmiar szlachetności”. Wybuchaliśmy śmiechem. Po wzniosłych rozmowach w górach rozmawialiśmy równie wzniosie o sprawach społecznych. Uparcie trwałem przy swoim: rozrywki i gotówka warunkują nasze smutki i radości. Oczywiście, że nie łączą się bezpośrednio z ilością posiadanych pieniędzy. Za nic mieliśmy pieniądze. Ale tryb naszego życia wymagał, żeby mieć ich dużo. Wszystko to nagle wydało mi się godne pogardy i wstydlive. Może jest w tym pewna śmieszność, zgoda: mimo wszystko utrzymywałem uparcie, że nasze rozrywki, które z powodzeniem mogły równie dobrze cieszyć sprzątaczkę czy prostego robotnika, były luksusem, nasze łzy także były luksusem, a nieszczęścia nieautentyczne.

Kiedy myślałem o tych bzdurach przyprawiających o wyrzuty sumienia i o dobre intencje, poczułem się szczęśliwy. Byłem zdrow, nie miałem chorych dzieci, dookoła mnie nie widziałem nędzy, nie dokuczał mi głód i byłem wolny. Parę razy pomyślałem, że wszystko jest najlepsze w tym najlepszym ze światów: wbrew mnie sameTiu Beatrycze dała mi wolność. Zmusiła do zachowania nietkniętych wszystkich możliwych form szczęścia, jakich mogłem zaznać w przyszłości.

Mimo wszystko, mówiłem sobie, byłem szczęśliwy także z Beatrycze u mego boku. A więc zaczynałem rozmyślać o Włoszech, gdzie miałem ją przy sobie, gdzie miałem ją dla siebie. I znowu ogarniał mnie wstyd i ból.

Góry, tak jak morze i weekendy, są odtrutką na współczesną cywilizację. Pociągi pędzą z coraz większą szybkością, do samolotu wsiadamy coraz łatwiej: służą nam, aby Udać się tam, gdzie nie ma ani pociągu, ani samolotu. Ale Wiele osób ma te same pomysły i nasza samotność jest

przeludniona. I trzeba płynąć daleko i wspinać się wysoko, żeby nikogo nie spotkać. Jeśli Helena lub ja spotykaliśmy kogoś ze znajomych, staraliśmy się zawsze uciec: ona, ponieważ mnie kochała; ja, ponieważ bałem się, że jedno słowo, jakaś aluzja może mi przypomnieć Beatrycze.

Było zresztą niewiele szans, żeby ktokolwiek wspominał o Beatrycze. Ludzie dość rzadko rozmawiają z kimś o osobie, która jest mu najdroższa - chyba że przez grzeczność albo złośliwość. Niech tylko zobaczą, że istnieje „coś” między kobietą a mężczyzną, a rozmawia się o nich pod ich nieobecność, ale rzadko mówi się jednemu o drugim.

A kiedy więzy pomiędzy dwojgiem zakochanych ulegają rozluźnieniu, wówczas ludzie szybko zapominają i z trudem mogą sobie przypomnieć, co łączyło tych dwoje, którzy się rozeszli. Ja byłem tak spokojny, tak daleko od wszystkiego, że bałem się niespodziewanego incydentu, imienia Beatrycze wymienionego głośno podczas jakiegoś głupiego obiadu, przyjaciela, który zabrał ją do kina, albo przypadkowego spotkania u Lipa czy w Epi-Klubie.

Przez długi czas przerażała mnie myśl, że mogę dowiedzieć się o jej zaręczynach czy małżeństwie. Nie śmiałem prawie czytać tych stron w gazetach, gdzie sfery mieszczańskie ogłaszają o swoich ruchach demograficznych, które dla nich stanowią podniecającą lekturę. Mogłem sobie do woli tłumaczyć, że zaręczyny czy ślub Beatrycze nie musiały być ogłaszane w gazetach, wszystko z jej strony było teraz możliwe. Wyjdzie za mąż za wicehrabiego albo spadkobiercę fabryki metali i wspaniały orszak ślubny wypełni kościół Świętego Horacjusza z Eylau lub dowiem się, że żyje z chińskim kucharzem z Tampico. W ten sposób miłość mnoży fantastyczne niebezpieczeństwa i stwarza świat przerażających możliwości bez granic i podstaw.

Owe marzenia osaczające mnie bez przerwy, kiedy świeciło słońce, a wokół leżał śnieg, zostawiały mi trochę spokoju. Helena jeździła dobrze na nartach. W ostatniej

chwili przed zapadnięciem zmroku zjeżdżaliśmy w dół po pochyłościach, po urwistych zboczach, wzdłuż śnieżnych korytarzy, robiąc w pół godziny drogę, na którą potrzebowaliśmy siedmiu albo ośmiu godzin, aby pokonać ją, idąc pod górę. Docieraliśmy na dół zziębnięci, szczęśliwi, przesiadnięci zimnem i cali mokrzy. Helena niejednokrotnie wyprzedzała mnie, jeździła szybciej na nartach. Widziałem jej zgrabną sylwetkę odcinającą się od tła nieba i śniegu, od białych świerków i roztopiającą się wreszcie w zapadającym zmroku.

Byłem spokojny, prawie szczęśliwy. Na dworcu w Lyonie wczesnym rankiem, kiedy stałem na peronie, a na dworze padał drobny deszcz, znowu ogarnął mnie lekki niepokój.

Wszedłem w piekło, nie zdając sobie z tego sprawy. Opatrzność w swoim miłosierdziu kryje przed nami czekającego nas raka lub rozpacz. Żyłem jak dawniej. Smutek ciągle jeszcze obecny ukrywał się we wspomnieniach, w codziennym zachowaniu, ale upływający czas owijał go jakby wata, po trochu znieczulał. Cierpiałem, ale mogłem już żyć. Smutne życie; czekanie zastąpiła rezygnacja, a nadzieję krwawe wyrzuty, jakie sobie robiłem. Nie zszedłem jeszcze na samo dno udręki, gdzie wyznaczono mi tajemnicze spotkania, na które miałem się stawić. Dzisiaj sędzę, iż wiedziałem już wówczas o czekającym mnie jeszcze cierpieniu. Ale łatwo jest przewidywać po czasie. Może dlatego sędzę, że wszystko z góry wiedziałem, ponieważ owe potworne powiązania tak wiele razy obróciłem w myślach. Błądziłem chyba po Paryżu, czekając, aż coś poruszy smutny pozorny spokój: miał on zmienić przeżycia w jeszcze okrutniejsze.

Spotykałem znowu paru przyjaciół. Przesztano rozmawiać ze mną o Beatrycze. Widziano ją, owszem, to tu, to tam, raz z jednym, raz z drugim. Piłem trochę. Wieczorem w domu ogarniał mnie rodzaj paniki. Wychodziłem bez wielkiej ochoty napić się czegoś przy ulicy Saint-Benoit ■ albo przy bulwarze Saint-Michel. Właśnie w tym czasie zdarzyło się to, czego tak oczekiwałem.

Po prostu zadzwonił telefon. Telefon od Beatrycze. Spytała, czy mogłaby wpaść do mnie. Zgodziłem się. Wyznaczyliśmy spotkanie na następny dzień. Spędziłem nieprawdopodobnie ożywioną noc, przerywaną sennymi koszmarami. W jednej chwili powracająca nadzieja wyniosła mnie na powierzchnię, jak morze wyrzucony przedmiot, w czym nie brak było osłupienia i niedowierzania. Głos Beatrycze był bardzo oschły, prawie lodowaty. Powtarzałem sobie, że szczęście nie może już wrócić. Jednakże musiałem mieć nadzieję, skoro zastanawiałem się nad tym, w jaki sposób mam przyjąć Beatrycze: chciałem nawet

zmusić ją do Czekania. Nie opuściły mnie dawne marzenia: rzuci się w moje ramiona i cały świat zostanie odmieniony.

Następnego dnia wieczorem zazdzwoniła do drzwi. Była to sobota. Cały dzień był raczej pogodny, małe obłoki przesuwwały się szybko po niebie. Prawie nic nie robiłem; czas leżał przygnieciony ogromnym ciężarem: ciężarem oczekiwania. Weszła. Ucałowawszy się w policzki, staliśmy chwilę w pewnej odległości od siebie. Wyglądała na zmęczoną i mizerną. Miała na sobie nieprzemakalny płaszcz, na głowie beret. To była sobota, na głowie miała beret: życie zostawia nam takie oto obrazy i nic ich nie wymaże.

Nie przypominam sobie, jak to wszystko przebiegało. Zdaje się, że ona stała, a ja przysiadłem na łóżku; i że zaczęła od tych słów: . - Stało się coś...

Tak, właśnie tak. Powiedziała: „Stało się coś...” Oddychała szybko i wyglądała... nie, nic sobie nie przypominam. Ale jestem pewny, że zaczęła od słów: „Stało się coś...”. Dalej wszystko zostało wyjaśnione bardzo prędko w paru słowach, wypowiedzianych powoli. Tak, stało się coś w tym ciele, które było moim własnym życiem. Beatrycze oczekiwała dziecka.

W podrzędnej literaturze mówi się o tych zaszczutych stworzeniach, broniących się na wszystkie strony przed atakiem; szukają one jakiegoś wyjścia, którego nie ma nigdzie, i rozpaczając daremnie wiodą dalej swój ciężki żywot. Znalazłem się jakby w wielkiej próżni, otoczonej grubym murem. Sądzę, że byłem bardzo błady i w zdenerwowaniu wykręcałem sobie palce. Rósł we mnie wielki ból zatruwający wszystko i wstrzymujący czas.

- Niepotrzebnie tak się przejmujesz - powiedziała Beatrycze obojętnym tonem. - Te rzeczy zdarzają się na porządku dziennym.

Cierpię jeszcze teraz, pisząc o tym. Cierpię jeszcze.

W głowie miałem zamęt. Brakowało mi tchu. Ból w pierśsiach ciążył nieprawdopodobnie. Zaczęliśmy powoli rozmawiać. Ona ze spokojem, ja zacinając się.

Mówiła niejasno i mało rozumiałem. Tak jakby wszystko działo się we mgle. Raptem z tej mglistej zasłony wyłoniła się sama pewna myśl: poślubię Beatrycze. Właśnie powiedziała, że nie kocha ojca dziecka. Przypominało to parodię śpiewaną przez braci Jacques. Powtarzałem sobie z przymusem, że cała sprawa jest może śmiechu warta. A moja rozpacz znalazła podłoże dla trochę smutnego szczęścia.

Usiadła na łóżku. Wziąłem ją za rękę. Mówiłem do niej. Miałem wrażenie, że udało mi się wzruszyć ją trochę: łzy zakreśliły jej się w oczach.

- Ach! Beatrycze - powiedziałem - cośmy zrobili? Wszystko z mojej winy. Przebacz mi. To wszystko będzie trudne, ale wszystko uratujemy.

Było to i śmieszne, i cudowne. Płakaliśmy chyba razem. Czułem się szlachetny i wspaniałomyślny. Przebaczymy sobie nawzajem i będziemy szczęśliwi.

Ciągle płacząc, rzuciła się ku mnie. Od jej łez naprawdę pękało mi serce. Był to jednak ból specjalny, łagodny, a nie bezsensowny i rozpaczliwy.

Uśmiechając się, powiedziałem:

- O mój Boże! Ile łez...

Wytarłem jej oczy swoją chusteczką.

Przestała płakać. Nagle, nieoczekiwanie umiała wspaniale zapanować nad sobą.

- Chcę się pozbyć tego dziecka - powiedziała.

Ogarnęło mnie uczucie niewytłumaczalnego pomieszania szczęścia i bólu: bólu, kiedy myślałem o tym zmarnotrawieniu szczęścia, ponieważ wyraźnie widziałem, że nie przywiązuje wagi do tej przeszłości, która w niej żyła, a także ponieważ każde jej słowo brałem za dowód miłości do mnie. Tak, żeby być szczęśliwym, trzeba cierpieć. Cier-

pienie nas odmieniło. Ulotniła się moja lekkomyślność. Stałem się za wszystko odpowiedzialny. Z mojej winy Beatrycze zagrażała zguba. Ale naprawię wszystko. Teraz płaciłem za moje szaleństwa i głupotę. Nie, nie wszystko można wymazać z pamięci i zapomnieć; ale wszystko już zostało wybaczone. Życie widziałem teraz prosto przed sobą. Będziemy iść przez nie razem. A dłoń Beatrycze na zawsze zostanie w mojej dłoni.

- Chcę się pozbyć tego dziecka.

Popatrzyłem na nią. Była blada i piękna. Jakże zmieniła się mała dziewczynka z Rzymu! Wyraz twarzy miała prawie zacięty, ton głosu zimny i zdecydowany. Wyrzuciłem sobie, że nigdy nie starałem się jej zrozumieć. Byłem zamknięty w egoizmie aż do chwili, gdy moja śmiechu warta wrażliwość, podobna raczej do czułości, zmusiła to, czym się broniłem, do kapitulacji. Jednakże teraz występowałem z całą odwagą.

- Beatrycze - powiedziałem - jeśli chcesz, możesz je zachować.

Mówiłem cicho, cicho i powoli. Oto losy całego życia rozgrywają się w paru słowach.

- Mogłabyś je zachować. **Tak**, będziesz mogła je zachować.

Wydawało mi się, że to ogromne poświęcenie z mojej strony. Na pewno wszystko było z mojej winy. Ale dlaczego Beatrycze... Nie chciałem jednak robić wymówek. Chciałem wszystko ofiarować. Wyobraziłem sobie jeszcze i to, że czekała na moje słowa, by rzucić mi się w objęcia. Lubiłem ten nastrój smutku. Mój Boże! Życie może być tak ogromne i piękne. Drogi prowadzące do szczęścia są równie nieoczekiwane jak drogi zbawienia. Chrześcijanie mówią, że grzech wiedzie do Boga. Może głupota i szaleństwo też prowadzą do jakiejś formy zbawienia. Moje próby doprowadzą mnie do szczęścia, które nie będzie już szczęściem beztruskim. Nie wiem, czy apelowałem do mojej odwagi,



czy też przeciwnie poddałem się temu, co unosiło mnie nieodparcie.

- Beatrycze - spytałem - Beatrycze, chcesz mnie poślubić?

Odwróciła się do mnie, widziałem, jak zmieniała jej się twarz, gdy na nią patrzyłem. Ach! Te uderzające W nas słowa, ten wyraz twarzy odsłaniający nam nagle przepaść! Zawisłem, jak to się mówi, na jej ustach. Zapadła głęboka cisza. Nagle zrozumiałem, że ani szczęście, ani radość, ani bezgraniczna wdzięczność nie malowały się na jej twarzy ani w jej oczach. To było zdumienie. Zdumienie z wyrazem zmęczenia.

Siedziała teraz przy mnie blisko i powiedziała głosem spokojnym i bardzo cichym tylko te trzy słowa, z bolesną ironią, a przy tym prawie czule, lekko dotykając opuszkami palców mojego czoła.

- Moja biedna miłość... - powiedziała.

W jej głosie była cała słodycz i cała pogarda świata.

Siedzieliśmy całą noc, to rozmawiając, to znów milcząc. Wypowiadaliśmy- parę słów bez dalszego ciągu, po czym zapadała długa cisza. Poszedłem po whisky. Piliśmy w stanie pewnego odrętwienia gwałtownie i dużymi łykami. Wszystko z nastaniem dnia stało się niesamowicie jasne. Odtwarzałem w myślach subtelne szczegóły. Ale w gruncie rzeczy było to proste i nie nowe: Beatrycze mnie nie kochała. Beatrycze już mnie nie kochała. Zrozumiałem chyba, że kocha kogoś, kto jej nie kocha, a dziecka spodziewa się z kimś, kto jest jej najzupełniej obojętny i komu oddała się z nudów albo dlatego, że chciała zmiany. Nie, już nawet nie cierpiałem. Zacząłem recytować poezję. Przypomniałem sobie jeden wiersz Heinego, którego kiedyś się nauczyłem i który podobał się Beatrycze:

*Ein Jiingling liebt ein Madchen,  
Die hat einen Andern erwahlt; Der  
Andre liebt eine Andre, Und hat  
sich mit Dieser verma'ht.*

*Das Madchen heiratet aus Arger  
Den ersten besten Mann Derihrin  
den Weg gelaufen; Der Jiingling ist  
iibel dran.*

*Es ist eine alte Geschichte, Doch  
bleibt sie immer neu; Und wem sie  
just passiert Dem bricht das Herz  
entzwei.*

Długo siedzieliśmy nad tym wierszem, próbując go przetłumaczyć. Beatrycze powtarzała go niezręcznie i z lubością. Można by pomyśleć, że nie mieliśmy innych zmartwień jak przełożenie tych wersów niemieckich na język francuski. Poszedłem po dwa ołówki i papier. Wypiliśmy zdrowie

Heinego i jego ucieleśnionej miłości. Ów krótki wiersz, którego Beatrycze nauczyła się na pamięć, znaczy mniej więcej to:

Młodzieniec pokochał dziewczynę,  
Ona wybrała innego. Ten drugi  
kochał inną I żenić się z nią miał.

Ze złości dziewczyna poślubi  
Pierwszego lepszego napotkanego mężczyznę,  
Który w ramiona jej wpadł.  
Młodzieńca smutnego choroba złamała.

Jest to historia stara, Ale  
ciągle nową zostanie; A  
temu, kto do niej wraca,  
Serce pęka na dwoje.

- Moje serce pęka na dwoje - powiedziałem do \_ 13  
trycze. >

Podawała mi whisky. Wypiłem łyk.

- Sądysz, że nie da się już nic zrobić?

Pokręciła przecząco głową. Chwilami ogarniała mnie  
wściekłość. Rzuciłem się na Beatrycze i potrząsałem nią.  
Spokojnie spojrzała na mnie. Ukryłem twarz w poduszce.

Rozmawialiśmy także o rzeczach poważnych, to znaczy  
o pieniądzech. Beatrycze ich nie miała. Wybuchnąłem  
więc niepohamowanym śmiechem.

- Mówię ci to poważnie — powiedziała z irytacją.

- Tak, wiem — odrzekłem — ale cała reszta jest bardzo  
zabawna.

Ustaliliśmy, że wypożyczę samochód od przyjaciela  
I sam zawiozę Beatrycze do Szwajcarii, gdzie podano jej  
adres. Przeglądając mapę wypiliśmy jeszcze. Mieliśmy

wyjechać nazajutrz około piątej po południu, a po drodze zatrzymać się gdzieś na noc. Nie jest tak źle! Oto podróż zapowiadająca się całkiem przyjemnie. Wypiliśmy jeszcze za pomyślność naszego planu. Beatrycze wyszła około szóstej nad ranem, a ja spałem źle do południa.

Było tysiące kłopotów ze znalezieniem samochodu. Przyjaciel, na którego liczyłem, nie mógł mi wypożyczyć. Zacząłem biegać na prawo i lewo jak w filmie z epoki realizmu włoskiego. Nastąpił szereg dzwonek do drzwi, krepujące przeprosiny i niepowodzenia. Wreszcie pomyślałem o Helenie. Miała starego 11 CV, oczywiście czarnego koloru, wyglądającego dość okropnie i pasującego zarówno do ceremonii chrztu jak i pogrzebu. Helena zachowała się bezbłędnie. O nic nie pytała i pożyczyła samochód. Jej brat Roger, który był przy tym obecny, nie stawiał żadnych sprzeciwów ani pytań. Byłem wesoły prawie jak szczygieł. Każdy w swojej roli, pomyślałem. Samochodem Heleny zawiozę Beatrycze na zlikwidowanie dziecka, którego nie chce, a którego ja tak bym pragnął, chociaż nie jest moje, ja, który nie chciałem z nią mieć dziecka wówczas, kiedy mnie o nie prosiła. Było to bardzo komiczne.

Wyjechaliśmy około piątej po południu, prawie o przewidzianej porze. Pojechałem po Beatrycze. Miała ze sobą małą walizkę w szkocką kratę i szary niepozorny płaszcz. Wyglądała biednie, co zgadzało się z jej rolą. Ja nie czułem się nieszczęśliwy. Może ciągle jeszcze tliła się we mnie nadzieja. Łudziłem się, nie wyznając przed sobą, cudowną przyszłością, w której Beatrycze i ja, oczyszczeni przez cierpienie, będziemy znowu razem. Piękne, prawda? Ale tymczasem należało jechać szybko, żeby uwolnić Beatrycze od ciężaru, którego nie chciała dźwigać. Pojechaliśmy drogą na Fontainebleau, Sens, Avallon. Była to dla mnie droga łącząca wszystkie przyjemności, ta, która prowadziła w stronę Prowansji i Południa, w stronę Florencji i Rzymu, w stronę Alp i Szwajcarii, gdzie pewnie leżał

jeszcze śnieg i można było jeździć na nartach pod palącym słońcem. Lecz my jechaliśmy do Lozanny, do kliniki. Jechaliśmy szybko. Powiedziałem Beatrycze, że może zginie w wypadku samochodowym. Zrobiła obojętny gest. W ten sposób wszystko zostałoby załatwione pomyślnie. Prowadziłem jednak ostrożnie czując się odpowiedzialny za Beatrycze. Otepiał mnie nadmiar cierpienia, którego nawet nie czułem, i nadziei, której nie śmiałem głośno sformułować. Zakrety brałem jak we śnie. Najważniejsze chwile naszego życia, które wspominamy długo jak bolesne ślady oparzenia, przebiegają często podobnie do z daleka widzianych i niewyraźnych obrazów filmowych, w których nie bierzemy prawie udziału. Od czasu do czasu wymienialiśmy parę słów. Niebo zapadającego wieczoru było cudowne. Zaczęliśmy szukać gwiazd. Pierwszą zobaczyła Beatrycze. Świeciła bladym światłem, ale w miarę jak niebo ciemniało, stawało się granatowe, a potem czarne, nabierała coraz mocniejszego blasku. Ogarnęła mnie fala smutku. Wyciągnąłem otwartą dłoń do Beatrycze. Położyła na niej swoją. Coś jakby wybuchło we mnie: to była miłość do niej.

Jechaliśmy ciągle naprzód. Sama obecność Beatrycze wracała mi ufność i pogodę ducha. Żeby zrozumieć życie takim, jakim było naprawdę, musiałem myśleć o tym, co nas skierowało na tę drogę: rodzaj snu śmiesznego i męczącego, gdzie rzeczy miały swój sens. Dlaczego, mój Boże, dlaczego? O, jakże mogliśmy być szczęśliwi, Beatrycze i ja, na tej ciemnej, pachnącej drodze, którą omiały światła reflektorów, gdzie, gdy mijał nas sportowy wóz albo gdy przejeżdżaliśmy przez most, gwizdało nam w uszach, gdybym ja jej nie kochał, gdyby ona nie kochała innego, gdyby nie przespała się z facetem, do którego nic nie czuła. O! Naturalnie, gdybyśmy się kochali... Ale to za duże żądanie. Teraz pragnąłem tylko jednego, żeby już nic się nie działo między nami prócz zrównoważonych uczuć, będących f or-

mą zrezygnowanego szczęścia. Kochałem ją może dlatego, że ona mnie nie kochała. Smutne stwierdzenie. Mimo wszystko kochałem ją. Na tej drodze pomiędzy Sens i Joigny, między Auxerre i Avallon znowu zaczynałem cierpieć. Cierpiałem już miesiące. Dziwny mały i głuchy ból w samym środku, który odbierał wagę wszystkim przyjemnościom, pogodzie, inteligencji, przyszłości, włączając się w cały mój organizm.

Beatrycze położyła głowę na moim ramieniu i usnęła. Objąłem ją. Zatrzymałem samochód i patrzyłem, jak spała, na jej zamknięte oczy, na czoło i półotwarte usta, widziałem, jak oddycha. Trzymałem coś żywego w ramionach, ona nosiła coś żywego w sobie, a związki łączące te przypadkowe egzystencje zapisały się na zawsze w upływającym czasie: były to nasze życia.

Ruszyłem dalej z ciężarem Beatrycze na ramieniu. Na prawo Vezeley, na lewo Dijon, przy zajazdach i stacjach benzynowych grupami stojące ciężarówki. Niełatwo jest kierować krajem. Wszyscy ci ludzie mają swoje problemy, swoje namiętności i wady; szosy i drogi, koleje, kanały i mosty; giełdy, strajki, głód; ambicje jednych, skąpstwo drugich. Byliśmy jak wróble złapane do wielkiej sieci. Obracały się wskazówki zegarów, my zmienialiśmy miejsca na mapie; a cierpienia potłobne do szczurów zjadały nas podstępnie. Wszystko funkcjonowało wspaniale: czas, przestrzeń, dni i noce przekazywały sobie dziedzictwo, ogromny mechanizm społeczny, którego mała część pozwoli nam zabić to dziecko. Znakomicie, znakomicie. Ja jednak ciągle cierpiałem.

Trzeba będzie żyć z tym bólem. Beatrycze miała swoje dziecko, ja miałem swoje cierpienie. Ona była mną. I znowu oklepany frazes: byłem jak oszalały z udreki. Od czasu do czasu mówiłem: „Nie, nie”. Beatrycze nie słyszała, pogrążona we śnie.

Na kolację zatrzymaliśmy się w przydrożnym obskur-

nym barze. Byłem głodny. Nic nie mogłem przełknąć. Spod sufitu świecił neon. Trzech mężczyzn rozmawiało przyciszonego głosem. Hałas popychanych krzeseł i brzęk szkła rozbrzmiewały ponuro.

- Co chcesz zamówić? - spytałem Beatrycze.
- Piwo i dwa jajka sadzone.
- Nie jesteś zbyt zmęczona?
- Nie, czuję się nieźle. A ty?
- Ja? Też nieźle.

Takie były nasze rozmowy w barze pod neonem przy szosie. Możliwość opieki nad Beatrycze napelniała mnie łagodną słodyczą". Lecz banalność sytuacji, to, czego nie ośmielaliśmy się powiedzieć ani o co zapytać, surowe światło neonu, ten rozpaczliwy pośpiech i zamęt - wszystko to stało się piekłem.

- Wiesz, lubię życie - powiedziałem głupio do Beatrycze.

Popatrzyła na mnie prawie z nienawiścią.

- - Ja także - odrzekła.

Myśli skakały mi po głowie jak błyskawice i zostawiały za sobą palący ślad. Czas jest nieodwracalny, płaciłem zbyt drogo za swoje uczynki. Jutro, mój Boże! Jutro. Zmusiłem się jednak do mówienia.

- Pamiętasz włoskie drogi?

Tak, pamiętała.

Zniżyłem głos i powiedziałem szybko:

- Przebacz, przebacz.

Bardzo późno dojechaliśmy do surowo wyglądającego i rozciągniętego wzdłuż miasteczka, którego mieszkańcy o tej porze już spali. Chyba było to Pontarlier, ale nie jestem pewny. Upadałem ze zmęczenia. Zatrzymałem samochód przed szczelnie zamkniętym hotelem, z którego nie wydobywało się żadne światło. Po naciśnięciu dzwonka słyszeliśmy jego dźwięk wewnątrz, ale nikt nie otwierał. Beatrycze miała rysy ściągnięte i była śmiertelnie śpiąca.

W końcu otworzono drzwi. Poprosiłem o dwa pokoje. Dysponowali tylko jednym z podwójnym łóżkiem.

Tak, tej nocy spaliśmy razem. Pokój był odrażający, obity wyblakłą tapetą, łóżko spróchniałe. Trzymałem śpiącą Beatrycze za rękę. Kiedy się obudziliśmy, miałem jej głowę w moim ramieniu. Przedziwne rzeczy wyczynia cierpienie, żeby robić nam na złość.

Lozanna miała wesoły wygląd. Pogoda była ładna. Może zdołamy zapomnieć? O! Tak... może się uda. Klinikę znaleźliśmy bez trudu, a także uroczy hotelik. Postanowiliśmy zapomnieć o wszystkim do dnia następnego. I zapomnieliśmy. Poszliśmy na spacer i zjedliśmy kolację. Kolacja upłynęła wesoło. Opowiadaliśmy sobie historie, które nas śmieszyły. Przez parę godzin nie czuliśmy druzgocącego ciężaru czasu.

Wyglądało to trochę jak zabawa w chowanego. Staraliśmy się omijać zdania, które wywoływały wspomnienia albo przepaści w pamięci. Tej nocy w Lozannie... po kolacji poszliśmy potańczyć.

Szampan dobrze smakował. Piliśmy za nasze miłości, za naszą przeszłość, prawie mieliśmy odwagę rozmawiać.

- Czy kochasz kogoś? - zapytałem.
- Tak - odpowiedziała. Beatrycze.
- A on też cię kocha?

Potrząsnęła przecząco głową. Nie, nie kochał jej.

- Nie kocha cię? - spytałem wstrząśnięty. - To szalenie.

Popatrzyła na mnie. Otworzyła się jakby przepaść, którą należało lepiej obejść. Uśmiechając się dołąłem szampana do kieliszków.

- Czy sądzisz, że będziemy znowu szczęśliwi?
- Nie wiem, może?
- Ale oddzielnie.
- Tak, oddzielnie.

W otaczającym nas półmroku i harmiderze orkiestry



podnieśliśmy nasze kieliszki, zbliżając je do siebie. Uśmiechaliśmy się. Wyglądaliśmy jak obraz samej radości życia. Byłem potwornie smutny.

Do hotelu wróciliśmy późno. Rano wstaliśmy niezbyt wcześnie i Beatrycze pojechała do kliniki. Odprowadziłem ją do samych drzwi, niosąc małą walizeczkę. Słońce świeciło ciągle nad głowami zamożnych i spokojnych Szwajców. Pocałowałem Beatrycze w oba policzki i nie oglądając się odszedłem. Nie miałem przecież nic wspólnego z usunięciem tej ciąży.

Siedząc nad brzegiem jeziora, czytałem „Pożegnanie z bronią”. Katarzyna na końcu umiera, gdy on przychodzi odwiedzić ją w klinice. Przez moment wyobraziłem sobie, że Beatrycze także umrze. Często jesteśmy pod wrażeniem tego, co czytamy. Ale nie umarła. Zobaczyłem ją ponownie, z zaciętym wyrazem twarzy, z suchymi oczami i z pustym ciałem.

Nic nie mówiła. O nic nie pytałem. Nie bardzo ją bolało. Mieliśmy jeszcze jeden wolny dzień przed sobą. Ogarnęły mnie na nowo bezsensowne nadzieje. Wszystkie więzy Beatrycze z przeszłością teraz umarły. Nie, nie wszystkie. Powiedziała mi, że kogoś kocha. Zdecydowany jednak byłem czekać. On jej nie kochał. Moje nadzieje bazowały na tym, że ten drugi mężczyzna będzie chciał odsunąć Beatrycze od siebie. Wyobrażałem go sobie jako gwałtownego i brutalnego idiota, takiego samego, jakim ja kiedyś byłem. Może ją wyrzuci, może nie będzie chciał jej widywać? Wiedziałem, że tego rodzaju postępowanie może doprowadzić Beatrycze do wybuchu skrajnej namiętności. Ale ja będę czuwać, tak spokojny, tak pełen opanowania i miłości, że wreszcie zapomni i pokocha mnie od nowa. Żyłem oglupiały, widząc wszystko w różowych kolorach, kierując całą energię wyobraźni na użytek smutnej dzieci-nady.

Beatrycze była mi wdzięczna za to, co dla niej zrobiłem.

Zwracała mi część przyjaznych uczuć. Tak oto namiętność ci przechodzą przez spokojne i łagodne obszary, gdzie ciężkie i gwałtowne przeżycia ustępują na chwilę miejsca pozornemu uspokojeniu, którego jedynym zadaniem jest przywrócenie nas do normalnego życia; jednakże przez kontrast wydaje się nam, że osiągnęliśmy wymarzony szczyt szczęścia. Nawet w myślach z trudem formułowałem moje nadzieje. Zbyt wiele kombinowałem, budowałem zbyt wiele hipotez. Teraz dawałem się ponieść chwili, w której nic się nie działo, ale mogłem spokojnie oddychać. Wszystko to opierało się oczywiście na smutnej iluzji. Przyłapałem się też na tym, że próbowałem wyobrazić sobie moje życie po powrocie do Paryża na stawianiu sobie pytań, jakie będzie lato, zima, następna wiosna, potem następne lato i zima. ^Zarliwa namiętność chce trwać wiecznie. Zachłannie rzuca się w przyszłość. Jeśli nie szczęśliwa, obiecuje sobie przyszłe szczęście, którego od mówił jej czas teraźniejszy, stroni od niepokoju, ponieważ go doświadczyła. ^

Nagle popatrzyłem na Beatrycę z trwogą: to, co dokonało się w tej istocie, której tak bardzo pragnąłem, zdało mi się czymś przerażającym. Całe nieszczęście świata oddane dla naszego prywatnego użytku zawarło się w tym zużytym ciele, w zahamowaniach i wymyślonych sytuacjach. Zarówno jej przyszłość jak i moja odstraszały mnie. Żyjąc w namiętności kochamy to, czego z reguły nienawidzimy, i jest to właśnie jej okrucieństwem: wielbimy najgorsze przywary, przywiązujemy się do tego, co zadaje nam najśroźszy ból. Nie miało dla mnie ceny wszystko, czego w niej nienawidziłem. A moim szczęściem było samo nieszczęście; moje, jej, tak, nieszczęście całego świata, ukrywające się najczęściej pod krótkotrwałą rozrywką, przejściową miłością i złudną chwilą. Ach! Gdyby mi wolno było wziąć na siebie ciężar tego zmartwienia i powiązać nim obie nasze biedne egzystencje, dzielić go wraz z nią, wymazać

to, czego się dopuściłem i czego ona się dopuściła z mojej winy... Ale musieliśmy cierpieć osobno.

Rozmowa przychodziła nam ciężko. Milczenie stało między nami, milczenie zrodzone z naszych grzechów i wyrzutów sumienia - nie, z moich grzechów i moich wyrzutów sumienia. Pomyślałem, że gdybyśmy mogli jakimś nadzwyczajnym wysiłkiem przebić to milczenie i nieznacznie rzucić między siebie pomost wzajemnego zaufania, wówczas zostałyby zburzone to, co zamykało serca, i zaczęlibyśmy mówić. Jednakże w owych chwilach milczenia tylko ja zapewne kierowałem cały wysiłek w tę jedną stronę, pragnąc za wszelką cenę przerwać ciszę! Milczenie Beatrycze dotyczyło twarzy, których nie znałem: twarzy mężczyzn, których kochała albo kocha. Więc znowu ból się wzmacniał. Jakże był dziwny: on mieszkał we mnie, a ja w nim. Palił od wewnątrz i wznosił się aż do ust, ale ja poruszałem się także w nim; przeszkadzał mi w oddychaniu i hamował ruchy. Był już moim starym znajomym, ale nie przyzwyczyłem się do niego. Stworzony byłem do szczęścia, może życie upajało mnie, może traktowałem je zbyt łatwo. Przeznaczenie jednak pomyliło się co do mnie i cały splot okoliczności sprawił, że za wcześniej albo za późno, a w każdym razie w nieodpowiednim momencie Beatrycze opuściła mnie, wykazując przy tym odwagę. Przeto wszystko, co słabe, ukryte pod zręcznym cynizmem, ułatwiającym mi życie, rozleciało się za jednym zamachem. Wyglądałem jak śmieszna marionetka, która nie może sama ustać na nogach.

Dziwiłem się niegdyś samobójstwom popełnianym z nieszczęśliwej miłości. Słusznie uważałem, że najlepiej jest przeczekać. Kiedy spoglądałem na Beatrycze, jeszcze wiedziałem, że wszystko minie i że pewnego dnia będę się uśmiechał, myśląc o tym wstrętnym cierpieniu. Ale\* nie chciałem tego. Uczepiłem się cierpienia, ponieważ było jedyną rzeczą, jaka została z mojej rozbitej miłości. Chcia-

łem je starannie przechować, zagłębić się w nie, a jeśli stanie się nie do zniesienia, wówczas szczeznąć wraz z nim. Sądzę, że ludzie popełniają samobójstwa z miłości zarówno po to, żeby nie żyć dłużej niż ich miłość, jak i po to, żeby się od niej uwolnić. Ach! Moje cierpienie! Tak, żyliśmy razem jak para przyjaciół, którzy nie mają tajemnic przed sobą, rzadko się rozdzielają, na chwilę tracą się z Oczu, lecz zaraz wiernie do siebie wracają. Wiedziałem, kiedy i w jaki sposób objawi mi się brutalnie, i wyczekiwałem go przy każdym geście, przy każdym słowie Beatrycze. Mogło z powodzeniem zadawać mi ciągle ten sam ból, ja niemal zacząłem je kochać, w każdym razie przyjąłem je, prawie obłaskawiłem. I drżałem na myśl, że pewnego dnia ono także mnie opuści i wówczas wszystko się skończy.

Przyłoczyło się też wielkie zmęczenie fizyczne, ociążałość, zniechęcenie do siebie i do innych. Do innych i do Beatrycze. Wszystko było stracone i sprzeniewierzone. Gdyby Beatrycze wróciła pewnego dnia do mnie, czy byłbym w stanie zapomnieć wszystko, co przecierpiałem? A jeśli zapomnę, tym samym przestanę ją kochać. Człowiek jest okrutny dla siebie. Wpadałem w takich momentach w rozpacz. I rozumiałem wówczas, że można sobie życzyć śmierci.

Rozmawiać, rozmawiać, rozmawiać. Jak ci wiele żalobnicy, nie mogąc już płakać, pragną łez, tak ja całą nadzieję kładłem w owe palące słowa, które wymienimy. Ale twarz Beatrycze pozostała sucha i znieruchomiła, gdy mówiłem: „Może, pewnego dnia...” albo gdy stawiałem pytania. Bałem się tej zamkniętej szczelnie twarzy, na której to, co wyczytałem, było dla mnie wyrokiem skazującym. Więc nie pozostało mi nic innego jak śmiech. Beatrycze śmiała się także. Śmiech ten gorszy był od wszystkiego.

Wyrzucam sobie jeszcze, że z pewnością nie wypróbowałem wszystkich możliwości. Z tchórzostwa, ze słabości? Tak, to prawda, bardzo się bałem. Zbyt wiele cierpiałem.

Nie wiem, czy sprawiała mi przyjemność, czy też nie, myśl, że może Beatrycze oczekiwała czegoś ode' mnie, jakiegoś gestu, nie wypowiedzianego jeszcze słowa... Wolę wyobrazić sobie, że nasze przeznaczenie zostało już zapisane. Nie ma nic gorszego jak szczęście lub nieszczęście wynikające z przypadku, z nieprzewidzianych okoliczności, z ryzyka, z chwilowej słabości, z uchwyconej lub umykającej okazji.

A gdyby tak Beatrycze opisała swoje dni? Co by też powiedziała? Że mściła się na mnie? Że w ogóle już o tym nie myślała? Że gotowa była mnie kochać i że postępowałem niezręcznie? O, nie! Sądzę, że Beatrycze naprawdę wierzyła, że już przestałem cierpieć. Była zbyt zajęta cierpieniem, które kto inny jej zadawał.

Jakże wstrętne w nieszczęściu jest to pogmatwanie związków, które bawi tych, co patrzą na nie obojętnym wzrokiem. Pomyślałem o Franciszce: sprawiło mi to ból; o mojej Szwedce z Rzymu, i to też bolało; myśl o wuju Jerzym i jego blondynce również mnie bolała; o Helenie także myślałem z bólem, bo przespała się z Riccardem. Każda z tych spraw prowadziła do Beatrycze i dręczyła mnie. Wydawało się, że Beatrycze zachowuje spokój. Chyba cierpiała w inny sposób. I może przeze mnie nauczyła się dzielności i opanowania.

Gdy pomyślałem o wybuchach szczerości, o jawności uczuć wówczas, kiedy miłość jest wzajemna, o owej swobodzie, z jaką dwa ciała przybliżają się do siebie, o tej banalnej nudzie, o tym, co do niedawna wyszydzałem - czułem się jak wygnaniec z utraconego raj. Na to nieszczęście składał się niejasny obraz świata, gdzie wszystkie rzeczy mają własną interpretację, a którym my pragniemy nadawać sens, rzadko będący ich prawdziwym sensem. Szukałem znaków, motywujących nadzieję. Jak niewolnik z tragedii Ajschylosa „Agamemnon” wypatrujący z wysokości zamku w Argos zapalonych pochodni, tak'

ja wypatrywałem w mojej rozpacz i bezsensownym czekanu pochodni, która się nie zapalała.

Lozanna zawsze będzie dla mnie naznaczona wszystkimi stygmatami smutku. Szczęśliwa czy nieszczęśliwa, miłość płowieje na tle świata, któremu stale dodaje kolorów. Czas i przestrzeń tracą neutralność. Biorą na siebie ciężar naszych nadziei i oczekiwań i dlatego powoli świat pokrywa się siecią znaków nadających mu czasem absurdalny sens.

Najokropniejsze było to, że w końcu, pod wpływem wesołej atmosfery panującej w Lozannie oświeciły mą nadzieję i radość życia. W dniu wyjazdu poszliśmy na śniadanie do baru położonego nad jeziorem. Pogoda była piękna. Wziąłem Beatrycze za rękę, a ona nie protestowała. Mówiłem trochę, Beatrycze słuchała. Strach przed cierpieniem podsuwał mi ostrożne słowa. Ale milczenie Beatrycze dodawało mi odwagi. „Nie da mi cierpieć - mówiłem sobie - powstrzyma mnie w porę”. Ponieważ nie powstrzymywała, mówiłem dalej. Opisywałem swoje męczarnie, tłumacząc, że rozumiałem, jak głupio postąpiłem, i że wszystko jej przebaczam, gdyż wszystko było z mojej winy, i że zadając mi ból, nauczyła mnie tego, co mój łatwy stosunek do życia kazał mi ignorować.

Popatrzyła na mnie tak, że nie od razu potrafiłem odróżnić w jej wzroku smutek od zemsty. Na jej ustach błąkał się jakby cień uśmiechu. Czy była to złośliwość?

- Dlaczego znowu zaczynasz? Za każdym razem to samo. Wiesz dobrze, że moja odpowiedź będzie taka sama.

Ból jest niezmordowany. Doświadczyłem go jeszcze raz. Chciałem ze wszystkich sił zmusić Beatrycze do okrucieństwa, żeby zadawała mi cierpienie i mściła się na mnie: wówczas tylko mogłem mieć nadzieję. Tym jednak razem wydało mi się, że sprawia jej przykrość to, co mówi. Nachyliła się trochę w moją stronę. Wyglądało na to, że

żałuje prawie tego, co musiała mi powiedzieć. A jej uśmiech, nie, nie był złośliwy, raczej przepraszający. Widząc jej przyjazny stosunek do mnie, zrozumiałem, że nie ma już nadziei, aby kiedyś znowu mnie pokochała.

Wstaliśmy. Beatrycze miała przed wyjazdem spotkać się jeszcze z przyjaciółką. Poszedłem sam na półgodzinny spacer. Trudno zrozumieć, jakie prawa rządzą myślami i uczuciami, kierują całym naszym ciałem. Nagle doznałem ulgi. Czuję, że rozpacz, ciągle głęboko tkwiąca we mnie, była teraz pogodna i spokojna. Wszystko stało się jasne. Beatrycze z powrotem darzyła mnie pewnego rodzaju uczuciem. Już mnie nie kochała. Ja jeszcze ją kochałem. Jakoś się to ułoży. Myślałem, że będę miał teraz dosyć sił, aby doczekać, aż się rozwiąże ten węzeł tkwiący we mnie, i że powróci radość życia bez Beatrycze. Może zgodzę się na tę banalną sytuację, która trochę przeszkadzała mi żyć, tylko dlatego, że Beatrycze nachyliła się ku mnie? Wolałbym tysiąc razy, żeby jej okrucieństwo budziło moje nadzieje, ale ona darzyła mnie teraz przyjaźnią, która przynosiła uspokojenie, jak zapadający zmrok, upływające lata, jak wszystko, co się kończy.

Wspominam ten spacer po Lozannie jak coś nieskończone smutnego, a jednak łagodnego; może jak zakończenie? Rozwiązywały się ostatnie więzy i to sprawiało ból, ale nie tak silny jak walka o ich utrzymanie. Drażyły ciało i okręcały się wokół niego. Teraz byłem spokojny, melancholijny. Zrezygnowany. Tak: zrezygnowany. Byłem zrezygnowany. Beatrycze powiedziała, że jej odpowiedź zawsze będzie taka sama. Od tego momentu nie miałem o co walczyć. Należało zapomnieć. Zapomnimy oboje. Pogoda była łagodna w Lozannie. Po jeziorze pływały statki. Mijały mnie młode dziewczęta. Niektóre były bardzo ładne. Spotkałem się z Beatrycze i wyjechaliśmy z miasta.

Lubiłem mieć ją przy sobie w samochodzie. Drogę przecinały cienie i smugi światła. Niebo pokryte było małymi

chmurkami. Powietrze pachniało. Wokoło wszystko napa-  
wało szczęściem. Ogarnęła mnie nieodparta chęć wzięcia  
Beatrycze za rękę. Ale powtórzyłem sobie, że to na nic nie  
wplynie.

Jechaliśmy dalej. Droga, drzewa, obłoki na niebie. Ta  
długa wstęga przed nami. Jeśli zapomniałem przez chwilę,  
co nas tu przywiodło i że już między Beatrycze a mną nie  
było tych gorących związków, których tak pragnąłem,  
wyglądało to prawie jak szczęście. Taki był jego obraz.  
Szczęście jest tym właśnie. Łzy napływały mi do oczu. To  
niesłychane, jak łatwo byłem skory do płaczu. Wypełniała  
mnie słodycz. Przypomniałem sobie przyjazd do Rzymu  
i marzenia, jakie wówczas snulem. Jakże to wszystko było  
dalekie! Zmieniłem się. Ciężko wyznać. Zmieniłem się,  
ponieważ zostałem pokonany. Może od tej chwili stanę się  
bardziej ludzki, może zrozumieć teraz rzeczy, których  
przedtem nie rozumiałem. Jednakże mało w tym było  
mojej zasługi. To przypadki, obróciwszy się przeciwko  
mnie i wbrew mojej woli, uświadomiły mi, czym jest ciężar  
życia i że nie zawsze się zwycięża. Nieszczęście samo  
spowodowało utratę tej pewności siebie, która czyniła  
życie łatwym i pozwalała igrac z ludzkimi istotami. Teraz  
inni igrali ze mną. Nie, Beatrycze nie igrała. Było to jeszcze  
gorsze. Sam dałem się nabrać, przycisnąć do muru, wejść  
w mechanizm, którego już nie mogłem kontrolować. Stra-  
ciłem tę władczą swobodę pozwalającą mi poruszać się  
w nieważkim świecie. Już nigdy nie będę beztroski, obojęt-  
ny, już nigdy nie będę traktować powierzchownie spraw,  
które mnie nie dotyczą. Wszedłem w życie. Ono przylepiało  
się do mnie. Nie przeskoczę go.

Tak, owa droga ze Szwajcarii do Francji była końcem  
pewnej zapalczowości w stosunku do życia. Dawniej wal-  
czyłem, cierpiałem, miałem nadzieję wbrew i przeciw  
wszystkiemu. Jeszcze dawniej nie przejmowałem się ni-  
czym. To było cudowne. Teraz przestałem walczyć. Ta



łagodna rezygnacja, ten cichy smutek, to spokojne zmęczenie oznacza chyba przegraną.

Jechaliśmy ciągle z tą samą szybkością. Zżyję się z moim cierpieniem. Prowadziłem uważnie, zakręty brałem prawidłowo, spokojnie. Będę jakoś żył. Nadejdą wiosny i jesienie, spadnie śnieg w zimie. Trzeba będzie coś sobie zorganizować na lato, żyć z pustką w środku. Trzeba będzie zapełniać pustkę. Jakoś się urządę. Będę sypiał z dziewczynami; zadam im jak najmniej bólu. Może nie będę już wesoły kochając się z nimi. Będę stary.

Silnik pracował. Zapłasn benzyny mieliśmy wystarczająco. Sprawdziłem hamulce, była to prawie mania. No tak, był rozluźniony. Bardzo lubiłem samochody. Może kiedyś kupię sobie mały sportowy wóz i będę nim jeździł bardzo szybko. Zapomnę o Beatrycze. Nagle objawienie szczęścia: zapomnę o Beatrycze.

Trzeba będzie pomyśleć o moim życiu. Zacznę pisać książki. Bałem się, że nie mam dosyć talentu. A może cierpienie na coś się przyda? O, mój Boże, jakież to było banalne. Powinienem raczej być stworzony do szczęścia. Trzeba będzie unikać prawienia morałów i okazywania wielkoduszności: nie zapominać, że wszystkie te piękne rzeczy dane mi były przez przypadek, niezależnie od mojej własnej woli. Ja chciałem zawsze tylko być szczęśliwy.

Gdybym to ja wygrał, nadal operowałbym tryumfalnie cynizmem. Trzymałbym z mocniejszymi przeciwko słabszym. Śmiałybym się w nos tym, którzy by mi zarzucali, że pragnę wszystkiego powierzchownie, bez solidnego przywiązania do czegokolwiek. Tak samo z pieniędzmi. Zarabiać dużo pieniędzy! Na narty w zimie, na żaglówkę w lecie. Może kiedyś będę miał dom i dzieci. Z inną kobietą. To też zabolalo.

I dalej będę się bawił myślami. Jeszcze nie umarłem i nie pogrzebano mnie. Żyję. Dawniej jakże kochałem wszystko! Rzuciłem okiem na Beatrycze. Patrzyła na szosę.

- Wiesz co - powiedziała - chciałabym wstąpić do Dijon.

Nie przewidziałem przejazdu przez Dijon. Wyznaczyłem sobie mały plan drogi, którego chciałem się trzymać. To życzenie Beatrycze zniosło zapory: miała na coś ochotę, chciała coś wspólnie ze mną zrobić, zobaczyć domy, wzgórze, dzielić coś ze mną. Jak to się potocznie mówi, serce wyskakiwało mi z piersi. Wszystkie pocieszenia, jakie wynajdywałem, w jednej chwili opadły wobec owego przypuszczenia, owego cienia nadziei, które unicestwiała wszystko inne. Przez moment pomyślałem, że moje szczęście nazywa się Dijon.

Byłem pożałowania godnym rekonwalescentem. Udawałem obojętność, dobrze wiedząc, że udaję. Dawniej nigdy nie wiedziałem, kiedy gram i czy naprawdę gram. Wszystko nurzało się w obojętności. Teraz pragnąłem tylko jednego: nadziei, jakiegoś światła, czegoś, czym mógłbym się zaczepić o najwęższy znak miłości - niemożliwej czy możliwej? - miłości Beatrycze do mnie.

Wiedziałem, że jestem szaleńcem. Od czego właściwie uzależniałem moje szczęście, moje życie? Od trzech słów Beatrycze, która miała ochotę zobaczyć Dijon. Nawet nie miałem odwagi zapytać dlaczego? Chciałem, żeby słaba nadzieja osnuwała mnie marzeniami.

O moim szczęściu stanowił niepokój, ten ciężar, jaki czułem w sobie i na moim ciele. Nie śmiałem zapytać Beatrycze, dlaczego chciała zobaczyć Dijon. Bałem się katastrofy, jaką mogły sprowadzić wypowiedziane słowa. Chciałem uratować mój niepokój, gdyż on ożywiał nadzieję.

Miłość to nic innego jak tortura zadawana nadzieją. Jeżeli cierpimy z powodu odejścia drogiej istoty, cierpimy najpierw dlatego, że zostaliśmy osamotnieni, ale nade wszystko dlatego, iż nie mając pewności myślimy, że może pewnego dnia wróci ona do nas. Dlatego zazdrość niejed-

nokrotnie gorsza jest od śmierci kochanej istoty. Czasem udawało mi się bez wewnętrznego rozdarcia myśleć o życiu Beatrycze z innym mężczyzną. Pocieszała mnie myśl o jej ewentualnym szczęściu. Ale kiedy mówiłem sobie, że mogłaby być nieszczęśliwa, wówczas tym okrutniej jawiła się rozpacz i zaczynałem myśleć od początku, że ona stworzona jest tylko dla mnie. Lepiej byłoby przeto widzieć Beatrycze martwą niż związaną z innym mężczyzną! I nie tylko dlatego, że wyobrażenie splecionych ramion, wspólnego potu, ciała Beatrycze przy innym ciele, którego anonimowość nie chroniła przed moją bezsilną nienawiścią, przekraczało to, co słowa mogą wyrazić, ale również dlatego, że jeżeli istniała najmniejsza szansa powrotu Beatrycze do mnie, właśnie ta szansa stawała się najokrutniejszym cierpieniem. Czyste cierpienie, cierpienie zwykłe, cierpienie-żałoba było niczym w obliczu tego odraczanego cierpienia, wyostrego czekaniem, stałym odradzaniem się. To, co żywi tego rodzaju zgryzoty i ich monstualne nadzieje, to cała mitologia miłości. Istnieje logika typowa dla nieszczęśliwych miłości, nadająca słowom nowe znaczenie. Jeśli uwodziciel, poza zalotnością, postępuje dwuznacznie, jeszcze wysubtelniając w ten sposób naturalnie okrutne określenia i zachowanie, wówczas można sobie wyobrazić, jakie uczuciowe spustoszenie sięją nieporozumienia. Uwodziciel jest zawsze niewinny. Przecież to była tylko przyjaźń, niczego nie zauważył; w najgorszym razie, jeśli się go przycisnie do muru, wyzna, że był nieświadomy. A jeśli gdzieś padł strzał, jeśli rozbiło się czyjeś ciało albo jeśli użyto potrójnej lub dziesięciokrotnej dawki proszków nasennych, wymamrocze, zastępując z trudem wyraz samozadowolenia zgrozą, że postąpił jak szaleniec, że nie wiedział. Nigdy się nie wie. Znałem te gry, zbyt często posługiwałem się nimi. Brak wyobraźni czyni człowieka nieczułym. Nie wyobrażamy sobie cierpienia innych. Jeśli film porusza tyle wrażliwych i niewrażliwych istot, poka-

zując straszliwe oblicze świata, wielkie kataklizmy i wojny, złośliwość elementów i ludzi, to dzieje się tak dlatego, że owe obrazy gwałtem włamują się do uśpionej wyobraźni. Gdyby człowiek był zdolny wyobrazić sobie cierpienie wystarczająco żywo, nie miałby już odwagi zadawać nikomu bólu.

Gry miłosne tym łatwiej ukrywają za' lekkomyślnym i wesołym zachowaniem najokrutniejsze męki, im bardziej ich ofiara nie chce dać niczego po sobie poznać. Do licha! Czytanie romansów na coś się przydaje. Nabiera się doświadczenia. Wiadomo, że nie należy nigdy płakać, nigdy niczego nie dać po sobie poznać. Tak pogłębiają się rany, tak zapowiada się nieszczęście.

Czasem uwodziciel naprawdę jest niewinny. Zdarza się to rzadko. Beatrycze nie grała ze mną. Po prostu myślała o swoim życiu, podczas gdy ja myślałem o swoim. Moje życie to była ona; jej życie to już nie byłem ja. Ale miłość tak nieodparcie lubi żywić się najdrobniejszymi oznakami, że wszystko jest dobre, co usprawiedliwia jej nadzieję. Logika nieszczęśliwej miłości, dałem tego sto przykładów, dalsza jest od zdrowego rozsądku niż najprymitywniejszy umysł. Jeśli istota, którą kochamy, nie zachowuje się tak, aby zaspokoić nasze pragnienie czułości, natychmiast mamy do dyspozycji najbardziej szalone pomysły: to podstęp, to wykręt; w każdym razie miłość potrzebuje dowodów ponad miarę. Znowu powiedziałem sobie, że Beatrycze mnie kocha.

Dijon było dla mnie długo oczekiwaną nadzieją. Wmieście książąt Burgundii sekretne uczucia Beatrycze, którym zaprzeczały jedynie jawne fakty, doprowadzą w końcu nasze pogodzone serca do bicia zgodnym rytmem. Zatrzymamy 'się przed pałacem książęcym - dlaczego przed pałacem książęcym? A dlaczego nie przed pałacem książęcym? Jakież ukryte więzy łączą z pewnością Beatrycze z księciem Burgundii, z jego dobrym miastem i jego pała-

cem - zatrzymamy samochód, zrobimy parę kroków albo wejdziemy do jakiejś restauracji albo do sławnego hotelu w Dijon i wówczas Beatrycze odwróci się ku mnie i powie mi to, co powiedziała w owym okrutnym śnie: „Zawsze cię kochałam”.

O, słodczy! Życie było cudowne. Wszystkie udreki pójdą w niepamięć. Balsam miłości zagoi szybko wszystkie rany. Wezmę Beatrycze w ramiona, będę długo na nią patrzył nic nie mówiąc. Wówczas rozpocznie się moje życie: będzie to nasze życie.

Tak marzyłem na drodze do Dijon. Od teatru Hebertot, poprzez Trinita degli Monti, od Santa Maria in Trastevere aż po pałac książęcy w Dijon, jakże dłużyła się droga! Jakiego rodzaju zasadzki sam ustawiłem na drodze do wspólnego szczęścia? Rzym, Asyż, Paryż, Lozanna, Dijon: była to dziwna uczuciowa marszruta. Ale tym lepiej zasmakujemy szczęścia po tylu szalonych groźbach, tylu popełnionych błędach, tylu nieszczęściach.

Przejeżdżająca ciężarówka prawie zaczepiła o nasz samochód. O, nie! To było zbyt głupie. Wypadek drogowy przy wjeździe do Dijon. Dwoje umierających, którzy przed wyzionięciem ducha może zdążyliby jeszcze wyznać sobie miłość. Uśmiechnąłem się. Wyciągnąłem rękę do Beatrycze: włożyła jeszcze raz swoją dłoń do mojej.

Tak, kochaliśmy się, tym razem nie był to sen. To, co mną poruszało, było i w niej. Niczego sobie więcej nie przypominam. Niektórzy mają szczęśliwe dwa tygodnie albo trzy miesiące, albo dwadzieścia lat. Moje szczęście trwało przez pięćdziesiąt kilometrów.

Milczeliśmy aż do Dijon. Zapadał wieczór. Było jeszcze widno, ale już zapowiadała się noc. Lubię te godziny pomiędzy dniem i nocą, kiedy serce ogarnia spokój. Zobaczyłem tablicę z napisem: Dijon. Nieraz pytano mnie, co najbardziej liczy się w moim życiu: wojna, wybór zawodu, sztuka czy pieniądze, malarstwo, dom czy parę dobrych

uczynków, moje drogie studia, Bóg? Nie, żadna z tych rzeczy, lecz kilka wieczorów w Rzymie lub w Paryżu, parę szalonych pomysłów, trochę zawiedzionych nadziei i niebieski drogowskaz z napisem Dijon. Wjechaliśmy do miasta. Drżałem.

- Zmarłeś? - spytała Beatrycze.

- Nie, nie zmarłem. Dokąd jedziemy? - spytałem.

Beatrycze nie powiedziała: „Wszystko jedno gdzie”,  
lecz:

- Do hotelu de la Cloche.

Coś we mnie podskoczyło: może serce, a może dusza albo żołądek. Odnalazłem ulicę, plac, hotel. Zwolniłem.

- Tu mnie zostawisz - powiedziała Beatrycze.

A potem wszystko poszło bardzo szybko.

- Masz się z kimś spotkać? - zapytałem.

Beatrycze spojrzała na mnie.

- Tak - odrzekła.

- Czy z ojcem dzie...

Wskazałem brodą.

- Nie - odpowiedziała Beatrycze.

- Z tym, którego kochasz?

- Tak.

- A on cię nie kocha?

- Nie - odpowiedziała Beatrycze.

- Czy mu się oddasz?

- Tak, mam nadzieję.

- No dobrze - powiedziałem.

Beatrycze umilkła. Czekałem. Położyła rękę na klawecie.

- No to żegnaj - powiedziałem.

Wyciągnąłem głowę, żeby ją pocałować. Nachyliła się i ucałowałem ją w policzki. Chciałem coś jeszcze wyszeptać, co miało przypominać klasyczną formułę: „Mam nadzieję, że będziesz szczęśliwa”. Ale żaden dźwięk nie wyszedł z moich ust.

Uśmiechnęła się jakby przepraszająco. Była trochę

zmęczona. Wysiadła z samochodu, wziąłem jej walizkę i zaniósłem aż do holu hotelowego. Stała wysmukła, trochę pobladła. Usiadłem z powrotem za kierownicą. Samochód był brudny. Popatrzyłem na hotel. Wzrok miałem nieco zamglony. Zapewne ze zmęczenia. Była już prawie noc. Zapaliły się światła. Podniosła rękę, dając mi znak. Ja także podniosłem rękę. Uruchomiłem silnik i odjechałem. Wszystko jest w porządku, powiedziałem sobie: tak brzmią ostatnie słowa rozpaczy.

Jak dłuży się czas w nieszczęściu! Godziny mijały nieskończenie powoli; nie kończące się dni; nie kończące się tygodnie; nie kończące się miesiące. Nie zobaczyłem już więcej Beatrycze. Czas, który upływał na czekaniu, teraz się zmienił. Nie w brak obecności, skoro aż do obrzydzenia czułem jego pustkę i podstępne mijanie, ale w czas, który nie kierował się już w stronę tej jedynej nadziei: zobaczenia jej znowu. Czas jakby się zapadł, zostawiając mnie w smutnym osamotnieniu, porzucając mnie bezpowrotnie. Świat nieszczęśliwej miłości jest zarazem światem kierowanym i absurdalnym: kierowanym, ponieważ rządzi nim obecność tylko jednej istoty; absurdalnym, ponieważ ta zaborcza obecność nie jest niczym innym jak nieobecnością i istnieje chyba tylko po to, żebyśmy mogli znosić pustkę.

Wyszedłem ze świata obojętności, aby wejść w świat, w którym uczucie zmusiło mnie do nadawania jakiegoś sensu rzeczom. W dalszym ciągu wierzyłem, że wszystko może się zdarzyć nie wiadomo kiedy i nie wiadomo komu. Lecz nauczyłem się jednego, że życie może zadawać ból i że cały sens egzystencji może być skierowany w stronę jednego celu. Tego celu ja nie osiągnąłem. Możliwe, że tylko dzięki temu wydawał mi się on tak cenny. Obojętność wspaniale przygotowuje do przyjęcia wielkich namiętności: obojętność nie liczy się z niczym; w namiętności również nic się nie liczy oprócz jednej tylko istoty, która nadaje sens wszystkiemu. Nie interesowało mnie państwo ani sztuka, ani losy świata, ani pieniądze, ani Bóg i jego niejasne zamiary. Tylko wspomnienia pozwalały mi żyć. W dalszym ciągu. Tak, życie nabrało wreszcie dla mnie znaczenia: jego obliczem było nieszczęście.

Od czasu do czasu buntowałem się przeciwko bezsensowi mojego życia, przeciwko złośliwości rzeczy. Przeto mówiłem sobie, że jest niemożliwe, aby nic nie pozostało z tego, co po tylu szaleństwach i omyłkach tak głęboko



zakorzeniło się we mnie. Owa stracona miłość powinna być zapisana gdzieś w niebie. Wszystkie utracone sprawy winny być gdzieś zapisane. Byłem nawet skłonny sądzić, że tylko to, co stracone, jest zdobyte na wieczność. Przyjemności, szczęście, może samo zbawienie z góry są już zepsute przez to, że przyzwyczajają do posiadania i do śmierci i dają do osiągnięcia podły cel tym, co mają władzę i nienaganne myśli. Jeśli o mnie chodzi, wszystko zostało zniszczone i przepadło z mojej winy. Ale słoneczne i czyste wspomnienia istniały gdzieś w głębi, gdzie nie mogło ich osiągnąć nic z tego odrażającego świata, czyhającego na każde uderzenie serca, na łzy i upodlenie nieszczęśliwych istot.

Prawie wszystko, co robiłem wspólnie z Beatrycze, przypominało mi się z przejrzystą i prawie straszną dokładnością. Kiedy jakiś szczegół umykał pamięci, spędzałem całe godziny na dokładnym odtwarzaniu faktów. Odtworzyłem w ten sposób, posługując się drobnymi znakami, które odsyłały mnie jedno do drugich i za cenę czasem nadmiernego wysiłku, chronologię naszych stosunków, poczynając od Rzymu. Ł rozpaczy, wspominając owe czarujące chwile, zacząłem pisać tę książkę. Usiłowałem odtworzyć w sobie stany uczuciowe, które towarzyszyły mi w różnych etapach owej historii; prawdziwa trudność brała się stąd: wszystkie miały zabarwienie epilogu.

Z udreką znosiłem każdą aluzję na temat Włoch. O bicie serca przyprawiało mnie imię Beatrycze, wykrzyknięte do jakiegoś dziecka na ulicy. Bez przyjemności spotykałem się znowu z Franciszką i jej przyjaciółmi. A potem miłość zaczęła się powoli ulatniać. Wspomnienia dotkliwie stały się wspomnieniami żalnymi. Czasem tylko przyłapywałem się na rozpamiętywaniu przeszłości: pewnego dnia przypomniałem sobie, spacerując po bulwarze Saint-Michel, że Beatrycze telefonowała z Lozanny do Francji. Całymi godzinami, bez skutku, torturowałem umysł zasta-

nawiając się, czy właśnie wtedy umówiła się na spotkanie w Dijon. Zajmowały mnie takie oto pytania bez odpowiedzi. Tylko one mnie interesowały.

Przygody miłosne, do których dawniej miałem skłonność, teraz wydawały mi się śmiertelnie nudne. Straciłem ochotę do gry i intrygi. Pewnego wieczoru, przechodząc przed kościołem, nawiasem mówiąc był to kościół Męki Świętej, pomyślałem, żeby wejść do środka. Zdałem sobie sprawę, że nie pamiętam modlitw, których usiłowałem nauczyć mnie rodzice. W drugą część „Zdrowaś Maria” ciągle wtrącałem zdanie z „Ojczyzna Nasz”. Przypomniałem sobie tylko modlitwę „Pomnij Najlitościwsza”. Zmówiłem ją. Wzruszyła mnie. Zmówiłem ją jeszcze raz. Lubiałem tę modlitwę, w której jest powiedziane, że nikt nie będzie opuszczony. Przypomniałem sobie niejasno jeszcze tę, co mówi o tych, którzy się kochają i są rozdzieleni. A potem zobaczyłem konfesjonał o uchylonych drzwiczkach okienka i w środku kiwającą się głowę staruszka. Ukłąłem i zacząłem opowiadać mu różne rzeczy. Wypieki na twarzy podeszły mi aż na czoło. Kiedy powiedział, żebym żałował za grzechy, wziąłem na odwagę i powiedziałem mu, że przywiódło mnie tu nieszczęście. Boga traktowałem jak marnotrawne dzieci w mieszczańskich rodzinach, które wracają wtedy, gdy brak im pieniędzy albo gdy zrobiły dziecko służącej. Nie wydawało mi się to uczciwe. Z wielkim szacunkiem pokłoniłem się czcigodnemu człowiekowi i podniósłszy się z kłęczek odszedłem.

Nieoczekiwaną i żywą pomoc znalazłem w literaturze. Doświadczyłem już tego przy modlitwie: tylko słowa przynosiły mi trochę pociechy. Nadawały pełni moim uczuciom, a ból i osamotnienie nagle nabierały sensu. Kiedy powtarzałem wiersz Baudelaire'a:

Błogosławionyś, Boże, co darzysz boleścią,  
Za którą odpuszczone będą nasze grzechy

I która jest najczystsza, najwznioślejszą treścią,  
Co gotuje silnego na łono uciechy! \*

zdawało mi się, że nareszcie została mi zwrócona część mojej własnej godności. Pocieszenie, którego dostarczała mi od czasu do czasu poezja, niekiedy bardzo piękna, niekiedy bardzo mierna, powieść, a nawet piosenka, są czymś niewiarogodnym. Ale uliczna piosenka, książki, obrazy bywają również zdradzieckie. Czytając jakąś gazetę lub czasopismo, patrząc na afisz, spotykałem często jedno zdanie, jedno słowo, które przywoływały wspomnienia i od nowa zaczynałem cierpieć. Musiałem szybko zamknąć książkę albo gazetę, odwrócić się od afisza, uciec w banalność, w nijakie poczucie piękna, które destylowały moich poetów. Unikałem płyt z nagraniami Piaf, fotografii z Asyżu czy Rzymu: były zbyt dobrą pożywką tego, od czego uciekałem.

Po długich, długich miesiącach zapomnienie, którego z nadzieją oczekiwałem i równocześnie obawiałem się, powoli zaczęło rozpościerać się nade mną. Cierpiałem coraz mniej. Tylko moje życie było puste. Od czasu do czasu wracały obrazy niektórych scen: pewien ranek w Rzymie, jakiś wieczór w Paryżu. Franciszka telefonowała do mnie. Helena też do mnie telefonowała. W urzędach pocztowych patrzyłem na wiszące kalendarze, z których urzędnicy zrywają kartki dzień po dniu. Zdaje mi się, że dwa lub trzy razy widziałem Beatrycze na ulicy. Bardzo trudno ustalić, gdzie jakaś historia zaczyna się i gdzie kończy: jej punktem wyjścia jest zawsze punkt dowolny; jej zakończenie, nawet brutalne, ciągnie się nieskończenie, w strzępkach wspomnień, w goryczy zapomnienia, którego się pragnie i nie pragnie. Czasem wynurzałem się na powierzchnię; mówiłem sobie: stało się, skończone. Jakby gęsta mgła nagle

"Przełożył Czesław Jastrzębiec-Kozłowski

została przebita. I byłem równocześnie szczęśliwy i nie-  
szczęśliwy. Może przyjdzie dzień, w którym już jej nie  
rozpoznam? Czasem noce były jeszcze ciężkie. Budziłem  
się zły potem myśląc, że moja głupota i szaleństwo  
dostatecznie zostały ukarane.

Zaprzyjaźniłem się z Riccardem. Był to miły chłopiec.  
Rozmawialiśmy rzadko o Beatrycze. Pewnego dnia u Lip-  
pa po wyjściu z Champo, siedząc na czerwono obitej  
kanapie, którą odnalazłem, wyciągnął z kieszeni list i po-  
kazał mi. Było to pismo Beatrycze. Zawiadamiało o swoim  
ślubie z tym chłopcem, trochę głupawym, z bratem Heleny.  
Czytelnik zapewne przypomina sobie: na imię miał Roger.  
Było to nieoczekiwane. Doznałem wrażenia, że cierpienie  
obiegło w koło moje życie. Lubię, kiedy sprawy przybierają  
zamknięty krąg. Podniosłem w górę kieliszek z winem,  
popatrzyłem na Riccarda i powiedziałem: „Za nasze mi-  
łości”. Zaczęliśmy się śmiać, ale ja miałem ochotę za-  
płakać.